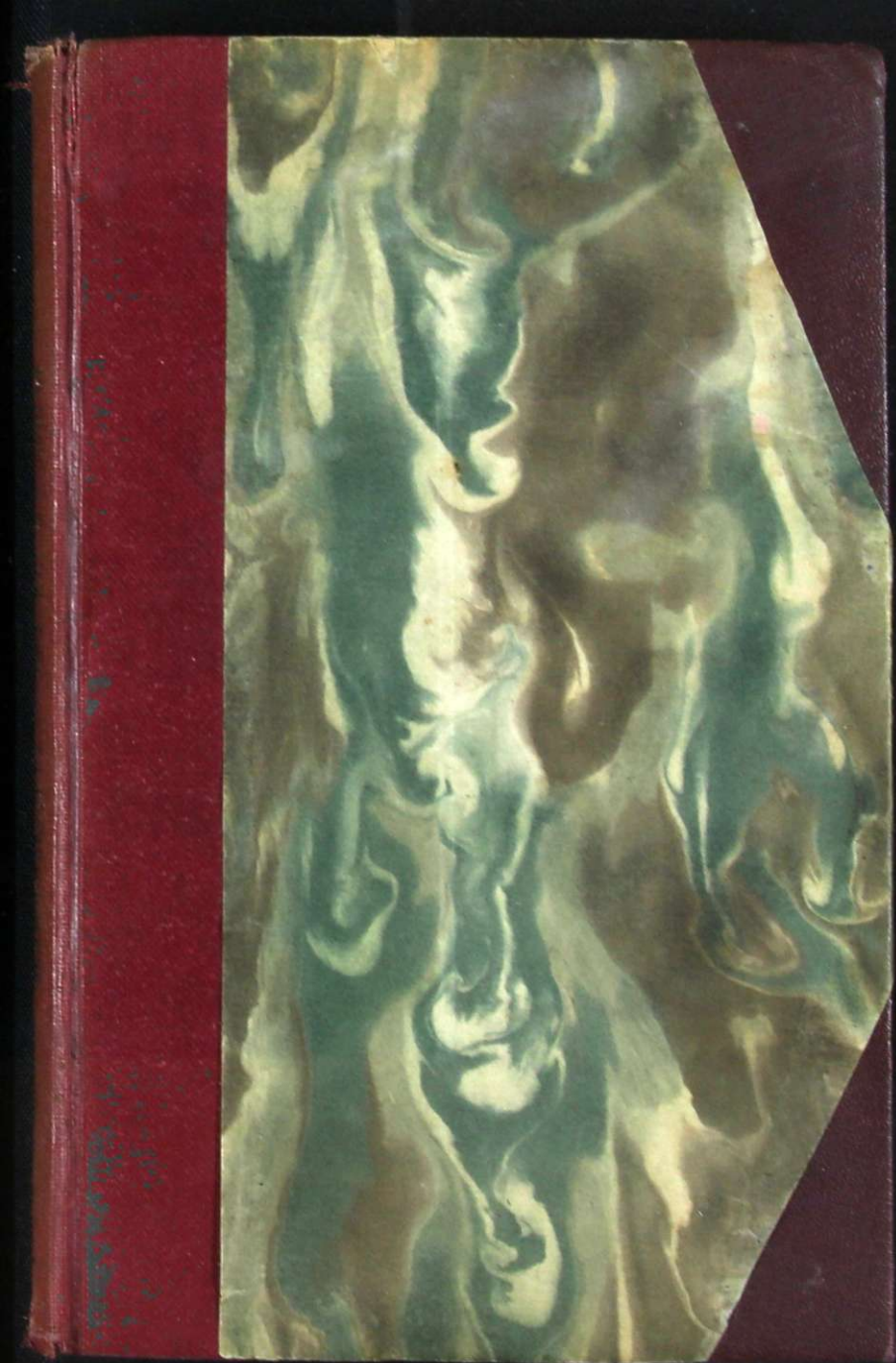
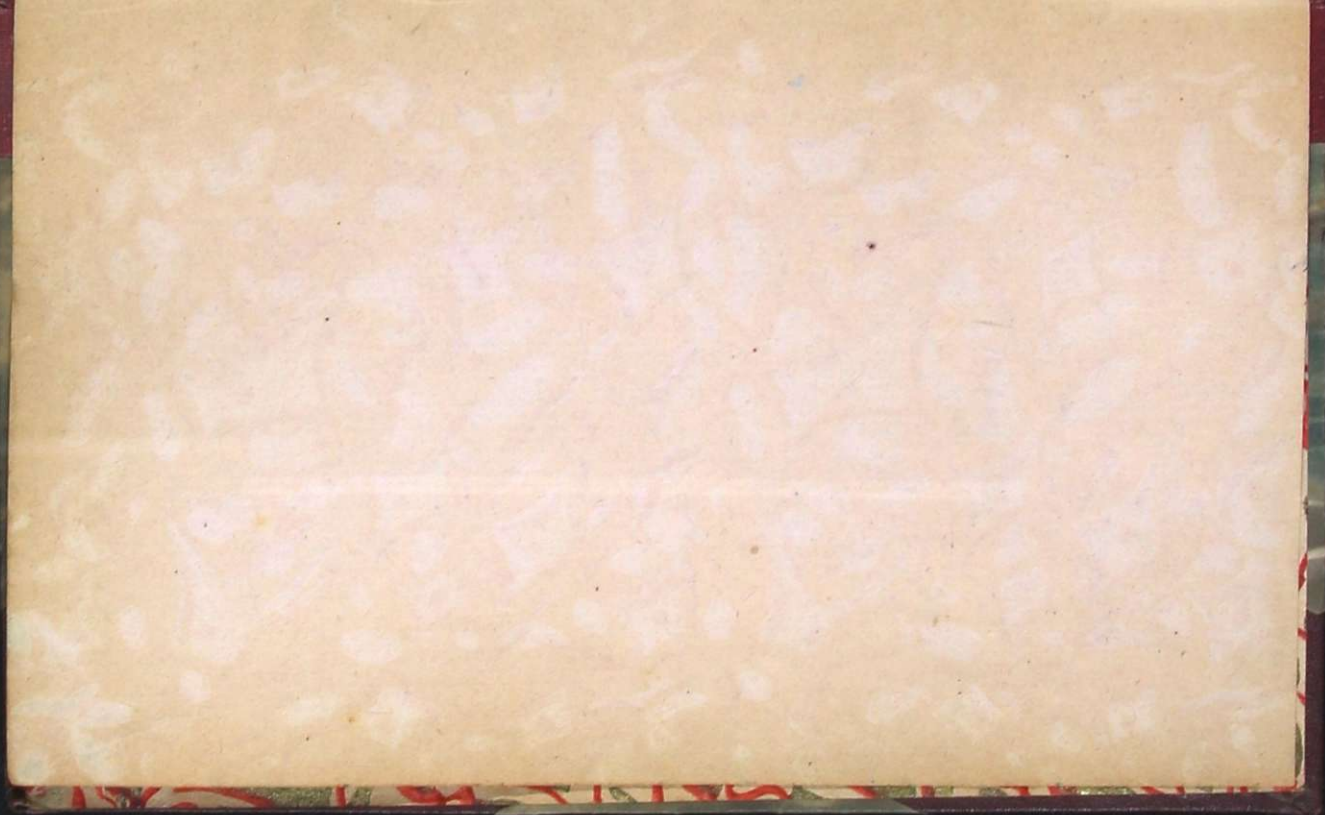










Przypadki Króla Jegomości

Garwedy o dawnym obyczaju

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW
XVIII. i XIX. STULECIA

POD REDAKCYĄ

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

TOM I.

Przypadki Króla Jegomości



LWÓW 1920

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

Przypadki Króla Jegomości

OPOWIEŚCI LUDZI WSPÓŁCZESNYCH

Zebrał i przedmowę napisał

STANISŁAW WASYLEWSKI

I—IV TYSIĄC



LWÓW 1920

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

881



9438
Was.
Prz.
14891

~~14891~~

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

07

S



94(438).06:929
Stanisław August
Poniatowski

7189/cz

Odbito na papierze bezdrzewnym
w drukarni „Prasa” we Lwowie

7/28/98

Ludzie ośmnastego stulecia, świadkowie i uczestnicy życia dworskiego za panowania Stanisława Augusta proszą tu o posłuchanie. Będą opowiadać o królu Najjaśniejszym i smutnym, o swem życiu kolorowem „entre cour et jardin“, zabiorą głos sami i sami przedstawią się, nie szukając impresaryahistoryka. Nie mają zamiaru ujawniania szczególnych rewelacyi historycznych, nie olśnią cię też, czytelniku, szczególną wspaniałością wymowy. Sztuka życia wytwornego nie idzie w parze ze sztuką wytwornego pisania. Ujawnią za to wdzięk inny, przeżyły: wdzięk bezpośredniości i urok antycznego słowa. Ludzie ośmnastego stulecia starali się być zawsze interesującymi, więc i teraz nudzić nie chcą. Wydawca zebrał z mało znanych lub też zupełnie zapomnianych pamiętników współczesnych ustępy barwne i zajmujące, starając się, by stanowiły zwartą całość dla siebie, by powstał stylowy, żywy, o ile możliwości, obraz życia obyczajowego i towarzyskiego w epoce rozbiorów od wstąpienia na tron Stanisława Augusta, aż po ostatnie upokarzające lata petersburskie.

Osoba króla Jegomości jest głównym przedmiotem opowieści, on sam też „in persona“ najpierw

VI PRZYPADKI KRÓLA JEGOMOŚCI

mówić raczy. Dosłownie: mówi, gdyż to, co czytamy, spisywali pod dyktandem sekretarze. Jest to wyjątek z ciekawego polskiego fragmentu pamiętników króla (całość pisał St. August, jak wiadomo, w języku francuskim), odnalezionego niedawno przez S. Goriainowa („Przegląd historyczny“, Warszawa, t. X. str. 122 i nast.). Czytając nie można zapominać, że przemawia człowiek stary i znękany, suweren, który nie był nigdy artystą słowa. Ciężki, nieudolny nawet, bieg opowiadania, jakże słabo odtwarza wewnętrzną pełnię umysłową i żywość St. Augusta! Ale, że to król mówi, tedy czytajcie cierpliwie, tem więcej, gdy ujrzymy się wpośród sytuacji o szekspirowskiej dynamice (rozmowa z wujami), albo w węzowisku intryg, przez osobę chyba powołaną odslanianych, lub też gdy nam król dyskretnie powierzy swe buduarowe tajemnice.

Z kolei na bal pójdziemy. Toalety pań opisane ze skrupulatnością modystki, nazwiska z dokładnością reportera. — To Leon Bonawentura Potocki, ze współczesnego korzystając opisu odtworzył bal królewski u marszałkowej Lubomirskiej. Pamiętnik ten, spisany już w wieku XIX. nie przedstawia wielkiej wartości dla historyka, który spostrzeże odrazu dowolności historyczne (nie mógł być na tym balu ani Franciszek Karpiński, ani p. Kossakowska, która wówczas gniewała się z królem i t. d.), ale naogół chwytła trafnie fizyognomię epoki.

Słynne pamiętniki Casanovy drukowano u nas nierzad w urywkach i streszczeniach. Tutaj dajemy

po raz pierwszy zupełny tekst jego wspomnień o pobycie w Polsce w przekładzie, dokonany przez p. Idę Wieniewską z krytycznego wydania niemieckiego. (*Die Erinnerungen des Giacomo Casanova, vollständig übertragen von Heinrich Conrad* — Tom VI. str. 19—69.)

Dziesięciotomowa spowiedź awanturnika jest jednym z najciekawszych dokumentów epoki i pozwala spojrzeć w głąb lekkomyślnej duszy człowieka oświecenia. Tu zasię niech mówi, co widział w Warszawie.

W roku 1785, po pogodzeniu się z Radziwiłłem, wybrał się Stanisław August z rewizytą do Nieświeża. Mamy o tem w „Przypadkach” dwie relacje: pierwszą zapisał Ambroży Wejla (*Ateneum Kraszewskiego*, 1845, t. VI. str. 171), druga jest oficjalnym biuletynem, na rozkaz księcia spisany. Należy sobie wyobrazić, że gdyby w 18-tym stuleciu istniały agencye telegraficzne, to tak wyglądałby urzędowy opis podróży króla. Wyjeliśmy go ze starej książki: „Pamiętnik o ks. Karolu Radziwille”. (Lwów 1864, str. 74—6, 101—108).

Milutkie wspomnienia pazika Płotnickiego spisał z jego opowiadań, Kraszewski (*Okruszyńy*, Warszawa 1856, str. 77), ale je po swojemu upiększył, toż samo rzecz trzeba o barwnym i żywym „Czwartku w Łazienkach”, który nie jest autentycznym dokumentem współczesnym, lecz ma silny retusz z wieku 19 tego. (Ogłoszony po raz pierwszy w „Przyjacielu Ludu” 1838, str. 113—152). Dosadą w opowiadaniu i opi-

VIII PRZYPADKI KRÓLA JEGOMOŚCI

sach rewolucyi Kościuszkowskiej zaleca się ustęp z pamiętnika innego z paziów królewskich, Jana Sagatyńskiego (Poznań, 1845), z którego już nieraz historycy korzystali.

Dwa następne obrazki malują Grodno, pierwszy etap wygnania królewskiego. Do Grodna przyjechała pani Urszula i z kobiecą wrażliwością, nie bez ostrego bólu, na jaki się nie każda grande dama zdobyła, notuje wrażenia w liście do męża, wprowadzając nas doskonale w „métier“ i nieznośną sytuację wygnańców. Jest to ustęp z dłuższych pamiętników p. Urszuli Tarnowskiej („wspomnienia damy polskiej wieku 18-go“. Archiwum wróblewskie. Zeszyt I. Poznań 1869, str. 84—108). Może najciekawszym obrazkiem obyczajowym jest opis wizyty kuglarza Pinettego z Grodna, pióra Michała Małuskiego, pomieszczony w pracy Piotra Bykowskiego: Dwór królewski w Grodnie. — (Warszawa 1884, str. 91—101).

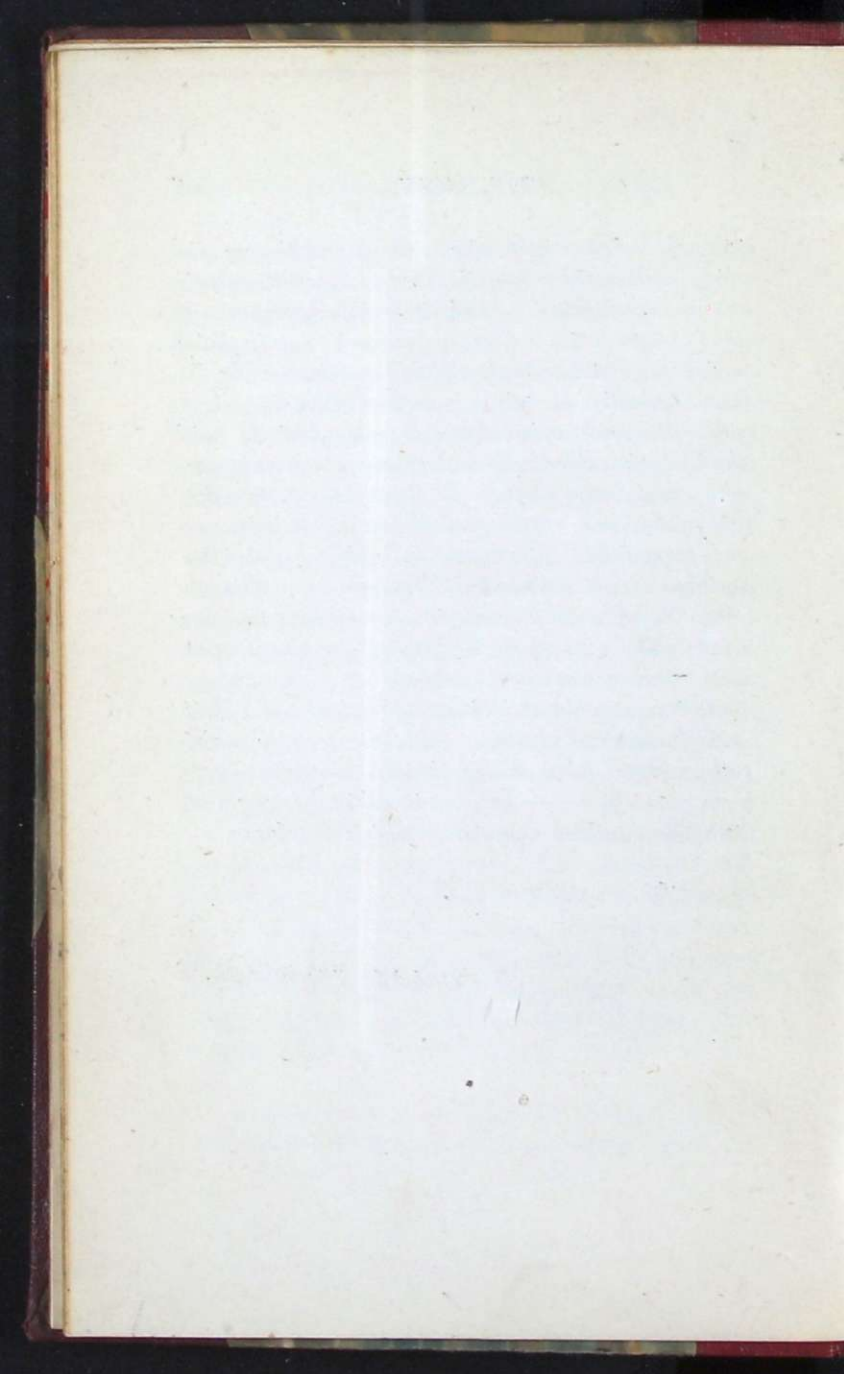
O Petersburgu niech opowie krótko, ale z sercem ostatnia portrecistka króla, tyle głośna artystka pani Vigée Le Brun (ustęp odszukany w wydawnictwie: „Madame Vigée Le Brun. Souvenirs. Paris, Ollendorf, 1894, str. 184—190), oraz bolesne urywki z dyaryusza współczesnego, który przed wielu laty ogłosił Lucyan Siemieński. (Ostatni rok życia Stanisława Augusta, Kraków 1862).

Jeszcze słowo o wydaniu. W doborze i edycji pamiętników nie zawsze przestrzegaliśmy zasad, za-

lęczonych przez historyków. Nie o publikację dla celów naukowych chodziło, lecz o uprzystępnienie lektury czytelnikowi, o uniknięcie szarżyzny w wyborze fragmentów. Autorzy starych pamiętników mają niezastępowaną może opinię nudziarzy. Są też często rozwlekli, zrzedzą i coraz odbiegają od tematu. Zaczem trzeba nieraz przystępować do dzieł ich tak, jak zabiera się malarz do odnowienia starego, czcigodnego płótna. A skoro usunie się ostrożnie nadmierne wtręty moralizatorskie, ukróci gawędy przydługie, zobaczycie, że zdolni są zająć kapryśnego nawet czytelnika! N. p. owa pani Urszula pisze do mężusia z wielkim pośpiechem, nie dba o porządek wydarzeń, nadużywa frazesu francuskiego, ale wystarczy przestawić te i owe ustępy, opuścić szczegółliki nieciekawe, a wyłoni się całość, nieporównana w plastyce. Podobnie, acz w mniejszej mierze, dokonaliśmy skróceń w pamiętnikach Sagatynskiego i w relacji nieświeskiej. Ustępy z innych pamiętników wydano w tekście zupełnym.

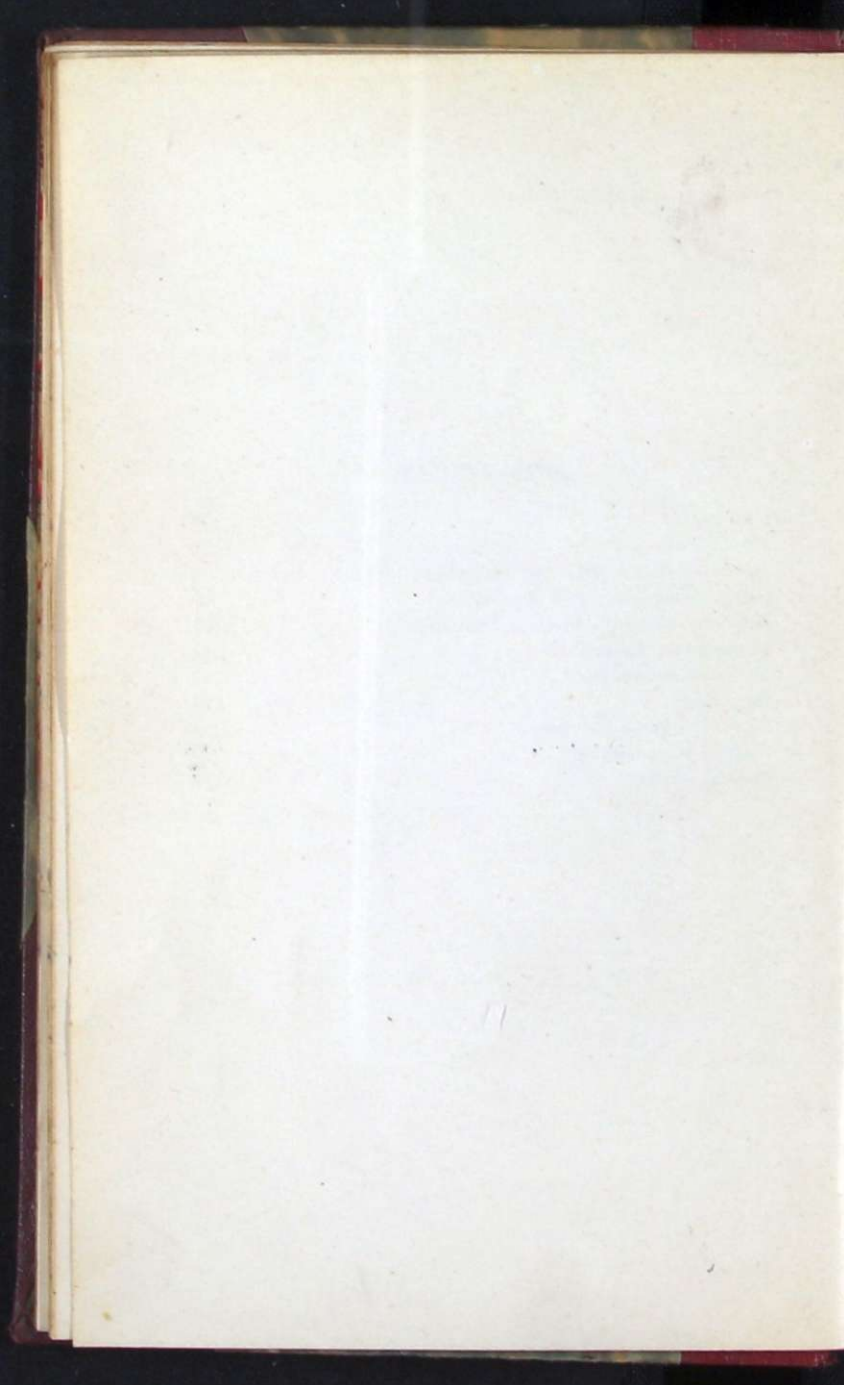
Lwów, w styczniu 1920.

STANISŁAW WASYLEWSKI.

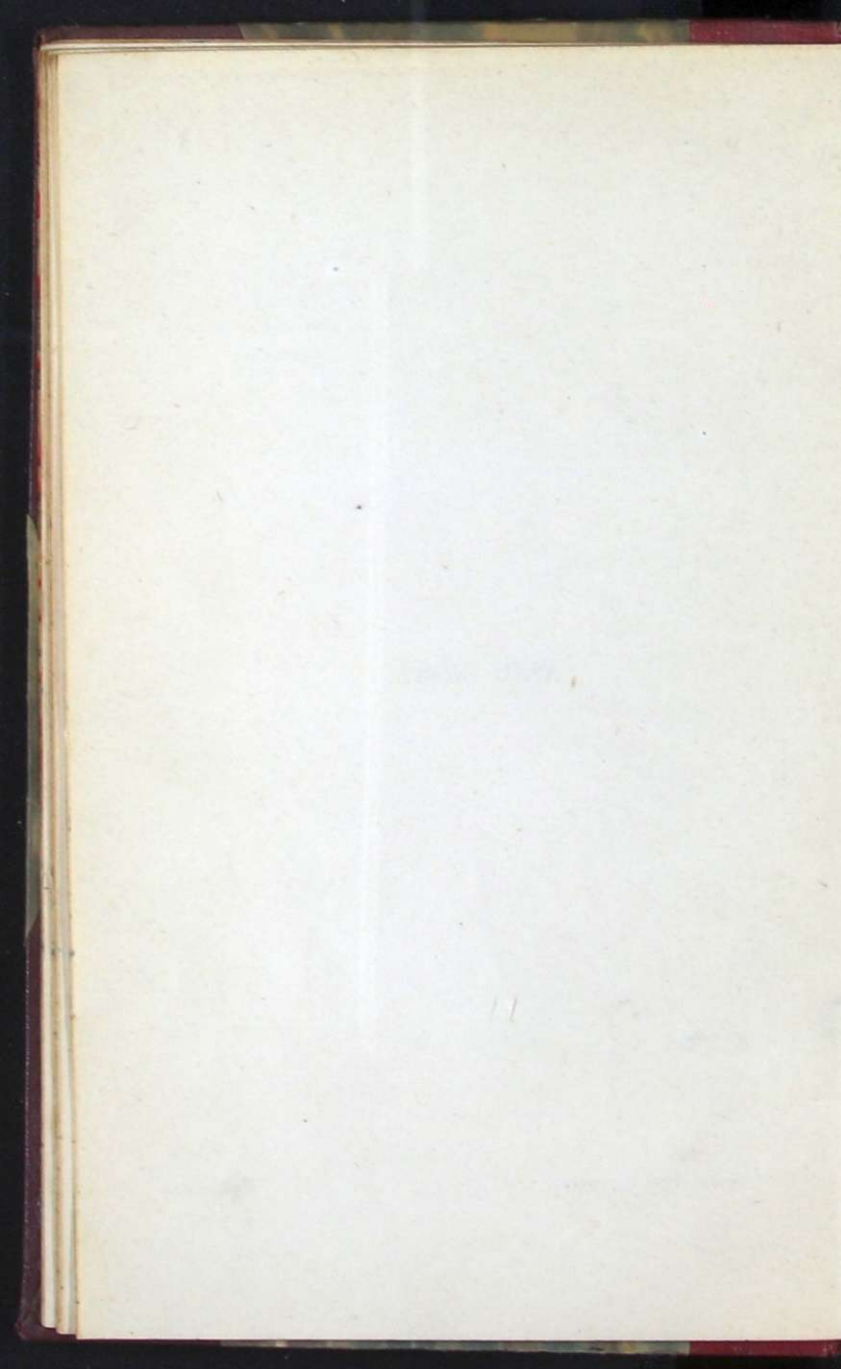


SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	I
Król mówi	3
Bał królewski w dniu św. Stanisława	25
Signor Casanova w Warszawie	47
Król warszawski u króla w Nieświeżu	121
Czwartek w Łazienkach	145
Co pazik zapamiętał?	163
Rewolucya	185
Pani Urszula w Grodnie	205
Kuglarz na pociechę!	229
Ostatni portret	239



KRÓL MÓWI...



Starcem już był król Stanisław August, gdy na wygnaniu w Petersburgu dyktował sekretarzowi Friesemu takie o swym królowaniu wspominki:

PIERWSZE CHWILE PANOWANIA.

Przez pierwsze pół roku bezkrólewia po śmierci Augusta III. dość powszechnie rozumiano, że ks. Czartoryski, wojewoda ruski, prawdziwym będzie kandydatem, i że o siostrzeńcu jego stolniku, Poniatowskim, tylko na pozór mówiono; to zbliżało ku skutkowi tych wielu, którzy od lat kilkunastu tegoż księcia wojewodę ruskiego na czele partyi widzieli, i przywykli byli jego uważać jako najmędrszego oraz najbogatszego z polskich magnatów: A że całowiecznym jego staraniem było, udając moderata, pokrywać despotyczność umysłu swego, nie inne, jak słodkie z niego obiecywano sobie panowanie.

Litwa zaś prawie cała, w osobie brata Jego księcia kanclerza w. litewskiego, mieniła mieć najbliższy do przyszłego króla przystęp i zasłonę od zbytnich opresyi już doznawanych i obawianych nadal od Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, który lubo z natury nienajgorszy, ale przez niesłychanie zaniedbaną edukację, siebie i całą moc

i dostatność domu swego zdał był zupełnie na dependentów, jednych tylko rozpustnych, a drugich już i zbrodniami krwawemi wsławionych.

Było jednak wielu jeszcze i takich w Polsce i Litwie, którzy wielbili jeszcze i kochali pamięć Stanisława Poniatowskiego, kasztelana krakowskiego, ojca stolnika, pamiętali go podskarbin wielkim litewskim, i że był nieskazanym w tym urzędowaniu.

Pamiętali kilkoletnie jegoż regimentarstwo koronne, i jegoż we wszystkich czasach przystępność, ludzkość wesolą i hojność. Pamiętali w nim sławnego niegdyś wojownika, widzieli dzieńczą męstwa sławę w synach jego Kazimierzu, podkomorzym koronnym i Jędrzeju, generale austriackim. Te ojcowskie i braterskie zaszczyty przyświecały stolnikowi Poniatowskiemu.

O stolniku samym była ta w powszechności opinia, że był pracowity, do nauki przywiązany i charakteru prostego. Ale rozumiano o nim, że był pyszny, zawzięty i mściwy, dlatego, że lubo mniej nierównie obfitych darów fortuny spodziewał się w przyszłości, niżeli książę Adam Czartoryski, wojewodzie ruski, cioteczny brat jego, jednak daleko mniej od tamtego powierzchownej okazywał weselości, daleko mniej sobie i drugim zdał się pozwalać, niżeli tamten.

Cokolwiek wprawdzie ostatnie dwa sejmy i ostatnie trybunałów inwoacye oswoiły były publiczność z stolnikiem Poniatowskim, aliści w sam

dzień elekcji słowa, które wyrzekł tenże stolnik do prymasa, jako czytać w dyaryuszu, już słodsza o nim dały otuchę.

Zaraz potem, gdy widziano, że stolnik nieodmienił sposobu przyjmowania każdego, obchodzenia się ze wszystkimi, tak się zdało, że się on stał łagodniejszym i mniej hardym od momentu, jak zaczął być królem. A w rzeczy samej odmiana i różność nie w nim się stała, ale w pozycyi na niego patrzących, którzy póki obok z nim stali, coś nad nich górować chcącego w nim upatrywali, gdy zaś wyżej go nad siebie postavili, sami się dziwowali, że on ani górniej, ani ostrzej z nimi nie postępował, ani mawiał, jak gdy był z nimi w równości. Ks. wojewoda ruski, lubo w duchu strawić niemógł, że siostrzeniec przed nim wziął koronę, po staremu, jakoby przymuszony mocą prawdy, wyrzekł te słowa wieczór po skończonej całej solenności dnia elekcyjnego do córki:

— Zdaje się, że mu Pan Bóg przystawił osobnego na ten dzień Anioła Stróża, bo ani słowem, ani krokiem więcej ani mniej nie powiedział i nie uczynił, tylko właśnie, ile było potrzeba.

Ale też za to nazajutrz 8. września, gdy pierwszy raz król otwarte w zamku miał apartamenta, wieczór dla dam i całej publiczności, gdy wszyscy mówili, że umiał król figurować po królewsku, książę wojewoda ruski, zaparłszy syna

w samym kącie, w tym samym audyencyjonalnym pokoju, przy piecu, ściśnioną pięść przybliżywszy mu do gęby, z popędliwością rzekł do niego :

— A cóż durniu, nie chciałeś korony, kiedyś ją mógł mieć. Widzisz teraz, jak tamtemu pięknie w niej. Już teraz po czasie.

INTRYGI KUZYNKI.

W dniu swojej elekcji, 7. września 1764, stolnik, który nie mógł się znajdować na polu elekcyjnym, obiadował *iête à tête* u swej kuzynki ks. strażnikowej, późniejszej marszałkowej wielkiej kor. Rozmawiali czas długi i z największym wylaniem serca. W końcu strażnikowa rzekła do stolnika ściskając go czule.

— Zrozumiesz przecie, ile razy zapytywałam siebie, co będzie lepszem dla kraju i dla nas wszystkich, czy, jeżeli ty zostaniesz królem, czy mój ojciec? Przeznaczenie zdecydowało na twoją korzyść, mówię sobie teraz, że to jest lepiej i gratuluję ci tego z najszczerzego serca, tak szczerze i tak czule, jak cię teraz ściskam!

A gdy skończyła mówić, dały się słyszeć strzały armatnie, oznajmujące, że elekcya dokonana.

(Ale nie dotrzymała obietnic kuzynka, „nad sercem swego ojca (ks. Augusta Czartoryskiego woj. ruskiego) wiele mogąca“. I chociaż „zwabiła sobie była przez lat kilka to prawo bywać u króla

codziennie o jakiegokolwiek godzinie, najczęściej wieczorem“ — knuła przeciw królowi nieustannie intrygi.)

Zaczęła też ostrzyć umysł brata swego zręcznemi poduszczeniami i w sposób taki, który go powoli miał także od króla oddalać. Jeszcze wtedy ten książę Adam Czartoryski miał cokolwiek zazdrości mężowskiej do żony, i miewał suspicye lubo niesprawiedliwe, jakoby Brühl, generał artyleryi już miał łaski u niej. Otóż zarzucono księciu mniemanie, jakoby żona jego z miłości dla Brühla, wyprosiła u króla dla niego to generałstwo, tak dalece, że książę generał w dawnej wierze, którą miał o rzetelności króla, przyszedł do niego i wręcz się go pytał: Czyli prawda, że to żona jego wraz z księżną Poniatowską z domu Kiński, wyprosiły u niego? (gdyż wtedy te dwie damy najściślejszą były związane przyjaźnią). Odpowiedział król według prawdy, że bratowa raz jeden i to w bardzo generalnych terminach litości królewskiej poleciła Brühlów, nie wymieniając żadnego urzędu, a księżna generałowa [podolska i razu mu ani wspomniała o tem.

Tu król powinienby był przestać, ale uniósłszy się cale zbytnią szczerością, dołożył:

— „Ja wiem, że ci nabijają głowę z dawna zelozią do Brühla, a ta wcale niesprawiedliwa, bo jeżeli do kogo miałaby mieć skłonność, to prędzej do mnie, który z twego własnego żądania tylekroć o nią i za nią wstawiałem się i któ-

remu za to twoja żona wiele ma w sercu wdzięczności“.

Tu trzeba powiedzieć, że właśnie przez czas *interregni*, gdy księżna strażnikowa najprzykrzej dokuczała tej bratowej, gdy umysł ojca przeciwko niej truła, gdy ta, naówczas bojaźliwa bardzo, mówić za sobą właśnie nie umiała, król (wówczas stolnik jeszcze) nieraz jej rady dodawał, listy dla niej koncypował i wyprosił nawet raz u księżnej strażnikowej w Puławach, że zeszła do pokoju chorej bratowej dla pogodzenia się z nią. Lubo to wszystko zostało bez skutku dla przewyższającej nienawiści księżnej strażnikowej, atoli rósł przez to w sercu księżnej generałowej podolskiej afekt do stolnika litewskiego; i zdarzyło się, że ten, wszedłszy do jej pokoju z nienacka, zastał ją kreślącą palcem na zwierciadle pudrem zasypanym, cyfrę jego, co gdy obaczył, wzruszonym został naturalnie, a tembardziej, gdy mu rzekła:

— „Choćbyś własnej do mnie nie miał skłonności, to byś mnie przynajmniej przez wzajemność powinien kochać cokolwiek“.

Sam książę generał tak się był przyzwyczaił widzieć w stolniku, a potem już i w królu najlepszego przyjaciela żony, wtenczas niezupełnie jeszcze dwudziestoletniej, że ją często wieczorami sam woził do zamku i samą posyłał na górę do króla, tak dobrze, że kilkakrotnie kazał się najprzód pytać, jeśli siostra jego księżna strażnikowa była u króla? Gdy była, żonę odwoził gdzieindziej,

a w godzinę potem znowu ją do zamku przywoził, i dopytawszy się, że już u króla siostry nie było, żonę do niego na górę posyłał samą, a sam odjeżdżał. Król tedy miał rację suponować, że właśnie chciał tego mąż.

Jednak ta zbytńia szczerość królewska, (lubo z dołożeniem, że nad miarę przyjaźni nie tam się nie działo), wszelako widocznie przeraziła księcia generała, i mocno go do króla oziębiła, ile gdy insze znowu damy, z którymi książę generał miał swoje związki dla swoich widoków, też żonę coraz bardziej czerniły przed mężem, który przecie nigdy istotnej zwady z żoną się nie dopuścił. Dobrze to wszystko znał książę wojewoda ruski, i tego używał na zaostrenie niechęci przeciwko królowi, z którym atoli córka jeszcze przez lat kilka nie przestała codziennego obcowania, w okazywaniu wielkich afektów, ale przeplatanych częstemi swarami, które sprawiały dni kłopotliwe dla króla.

PRZYJACIELE I DORADCY.

Od dnia elekcyi król ustanowił zwyczaj, że codzień o godzinie XII południowej zjeżdżali się do niego książęta Czartoryscy, kanclerz i wojewoda, Zamojski, którego król zastał wojewodą inowrocławskim, a potem go zrobił kanclerzem W. K., Przezdziecki, którego król zastał referendarzem litewskim, potem go zrobił podkanclerzym litewskim, książę Lubomirski, którego król zastał strażnikiem

koronnym, a zrobił go marszałkiem w. kor.; książę Kazimierz Poniatowski, którego król zastał podkomorzym kor.; książę Michał Poniatowski, wówczas tylko opat czerwiński, który potem prymasem umarł i Ogrodzki, którego król zastał bez urzędu, ale go potem zrobił pisarzem, a na końcu sekretarzem kor. świeckim; a czasem bywał przytomny tym codziennym konferencyom i książę Jędrzej Poniatowski, brat przednajmłodszy królewski. Tych osób wyobrażenie należy wystawić czytelnikowi.

Już książąt Czartoryskich poznał wyżej czytelnik.

Jędrzej Zamojski, brat najmłodszy ordynata Zamojskiego, w pierwszej młodości służywał wojskowo w Saksonii, potem, bez przechodzenia przez inne cywilne stopnie ani funkcyę, został wojewodą inowrocławskim bez znacznej jeszcze przychylności do żadnej partyi i prawie nieznanym z sentymentów swoich politycznych; w tym będąc stopniem, przyszło mu wotować z kolei *in Senatus Consilio* roku 1762. die 27. października.

Ten głos jego, wcale zelancki im mniej był spodziewany, tym większą utworzył dla niego opinię, którą dla niego zaczęła była fundować sprawiedliwie i przykładnie sprawowana łaska trybunałska koron. w roku 1760.

W prywatnem pożyciu, uczciwość i łagodność czyniły go i stąd szacowanym. Powszechna aprobacya uwielbiła wybór króla osoby jego na kanclerstwo. Na tym urzędzie jednak cnotliwości tylko

zachował zaszczyt, lecz poznano w nim mierność talentu ministrowskiego, która mu też z własnego smaku sił poczucia zawsze cichość i modestę zachować kazała.

Przeździecki, podkanclerzy litewski, dówcip i biegłość miał znakomitą w tej sferze, która przez czas panowania Augusta III. była jedynym prawie okręgiem zatrudnień Polaków. Statut litewski i sejmikowe roboty znał dobrze, im zaś bardziej z natury był trwożliwym, tem więcej nadrabiał ostrożnością i wybiegami, tak dalece, że nad miarę prawdy i słuszności u wielu uchodził tylko za franta; przytem żartobliwy, zabawny, o majątek skrzętny, był ulegającym dla tych, o których myślał, że ich powaga w umyśle królewskim przemagać będzie nad własnem króla zdaniem, a przeto równie i przez wdzięczność jednostajnie przywiązany był do księcia Czartoryskiego, kanclerza i Lubomirskiego, strażnika koronnego.

Tęgo już wyższe karty po wielkiej części poznać dały; trzeba tylko dołożyć, że do innych pobudek, które go czyniły niechętnym królowi, przyłożyła się osobista jego zazdrość do braci królewskich, osobiwie po oddanym przez króla bratu starszemu starostwie spiskim, którego żądał książę strażnik. Co do urzędowania samego marszałkostwa, trzeba przyznać, że sobie zarobił na chwałę, pilność, umiejętność i sprawiedliwość. W statycznych okkurencyach trzymał się zdania książąt, równie jako i promocyjnych.

Na sejmikach i trybunałach, wspierał niby teścia swego chęci, ale widać było zamysły i starania figurować głównie w swym czasie na czele opozycji przeciwko królowi.

Ksiązę Michał Poniatowski, opat czerwiński, bardziej z namowy jak z wokacyi ksiądz, pod laską trybunalską Andrzeja Zamojskiego bywszy deputatem duchownym chwalebnym, unikał długo i, można mówić, uporczywie, promocyi stanowi duchownemu właściwych, przez obawę obowiązków do tego stanu przywiązanych, tak przez delikatność sumienia, jak przez obawę pracy, której nie lubił, której jednak nie szczędził, gdy się raz dał do jakiej wprzódz czynności, jako się to pokazało w rozporządzeniach jego biskupich, a najbardziej w prezydowaniu w komisyi edukacyjnej. Uczciwość ściśle sam zachowujący, niełatwo pobrażał błędom i niedoskonałościom obcym, przez ostrość nagany i satyryczny często język nieraz sobie nieprzyjaciół zrobił, i gdy przeciwko komu raz powziął uprzedzenie, nigdy prawie wrócić się nie dał na lepsze mniemanie; ale też gdy komu sprzyjał, utrzymywał go prawie aż do ślepoty, jako się to pokazało względem Tyzenhausza. Słówka jego gdzie-niegdzie uszczypliwe tembardziej raziły, że ich nigdy lekkości ani pierwszemu impetowi nie przypisywano, ponieważ zwykle był tak w sobie skrytym, jak bracia jego zbyt otwarci. Królowi bratu swemu szczerze dobrze życzył i często dobrze radził, ale się ich humory mało zgadzały, gdyż go

król zawsze do pracy naganiał, a on w królu ganił i zbytnią do czynności chęć, zbytnie dla ludzi powierzenie, zbytnią nieoszczędność i stąd wynikające inkonweniencye. Lecz to się wszystko w późniejszych dopiero latach jawniej wydało. W początkowych, mimo jego ochoty, król go przynaglał do trzymania protokołu tych codziennych konferencyi, w których to król chciał znajdować najpoufalszą poradę, a w których istotnie doznał tylko chęci przemagania wujów swoich dla ich osobistych widoków, a najczęściej — ulegania dla nich większej części przytomnych tymże konferencyom.

Książę Andrzej Poniałowski, od pierwszej młodości wszystkie lata strawiwszy w austriackiej służbie, i tam, przez jedenaście lat w różnych potyczkach poniesionych, dosłużywszy się rangi wysokiej, za urlopem tylko od śmierci Augusta III-go przebywał czasem w Polsce, i nie dał się królowi nigdy namówić, aby porzucił tamtą służbę i w Polsce osiadł. W zdaniach i czynach swoich tęgi i całkowity, ale Polskę mało znający, bo w niej mało bywał.

Było myślą królewską, aby trzech bracia jego, bywając na tych codziennych rannych konferencyach u króla, tak wiedzieli o interesach publicznych, tak się do nich przykładali, jak sam król bywał przypuszczany i używany przez książąt Czartoryskich, póki był w prywatnym stanie.

Lecz, że bracia królewscy do niego szczerze przywiązani, nie pobłażali w zdaniach swoich na tych konferencyach książętom Czartoryskim, ile-

króć widzieli, że oni w promocyach i radach swoich swoim osobistym tylko widokom dogadzali. stąd częste sprzeczki i niesmaki wynikały, z których skutku najwięcej król cierpiał w umyśle i szyskował w interesach.

O g r o d z k i, wychowany w domu rodziców królewskich, w łacinie i językach zagranicznych biegły, w departamencie cudzoziemskim saskim przy dworze Augusta III-go używany i przez kanclerzów polskich był przy królu. Sekretarzem w poselstwie jego w Moskwie, zatem jako najpoufalszy domownik przybrany od króla, jako za szefa gabinetowej ekspedycyi. Był to człowiek, który — można było mówić — całą Polskę znał i wszystkie koneksye po województwach, przytem król zawsze chciał mieć przytomnego tymże konferencyom, ażeby zaraz wiedział co *in consequenti* wypadało zrobić, powiedzieć lub napisać, czy w kraju, czy zagranicą ale ten zdania na tych konferencyach nie dawał.

Bywał niekiedy na tych konferencyach i książę Adam Czartoryski, syn księcia wojewody ruskiego, ale sam się starał być od nich uwolnionym, raz z przyczyny, że z natury ten gatunek aplikacyi jemu był niemiły, a powtóre, że dobrze widział, że razem ojcu i królowi dogodzić na nich było trudno.

NIENAWIŚĆ WUJÓW.

Chcąc wyobrazić, jaka była wewnętrzna duszy, osoby i domu królewskiego sytuacja dosyć

jest tu wystawić dwie osobliwsze rozmowy króla z wujami swymi. Pierwsza z księciem wojewodą ruskim:

Król: — Pamiętny na lat tyle młodości mojej, przepędzonych w domu pod oczyma i dyrekcją Waszej książęcej Mości, wdzięczem mu jestem afektu, któryś mi wtenczas świadczył, i który był słodyczą życia mojego. Przytem pełen jestem tej opinii, że umiejętniejszego od zwierzchniego rządu człowieka nieznam nad Waszą książęcą Mość; z tych powodów żądałem i żądam w najszczerszej poufałości trwać z nim jednostajnie, lecz gdy codziennie doznaję dowodów, które mnie przekonywują o nie takiej dla mnie korespondującej od Waszej książęcej Mości skłonności, żalę się o to przed nim samym.

Książę: — Wasza królewska Mość innych nad naszych słuchasz, i to czyni zamieszanie.

Król: — Dobrze rozumiem co znaczą te słowa. Waszej książęcej Mości nie podobają się moi bracia, nierad ich widzisz przytomnych obradom naszym codziennym: aliści, gdy są bracią mymi, gdy codziennie do wykonywania uradzonych między mną a Waszą książęcą Mością zamiarów używani bywają, już by też rzecz była nieludzka, abym ich od tych obrad ekskludował.

Powinienbyś tedy Wasza książęca Mość kontentować się temi dowodami istotnie przezemnie zachowanej maksymy, że własnego mego zdania i zdań młodych radców nie przedkładałam nad zda-

nia wiekiem i doświadczeniem upoważnionych u mnie wujów. Ale pozwól tu sobie Wasza książęca Mość powiedzieć, że przy wysokich odemnie mu przyznawanych przymiotach, zawierasz w swym charakterze dwa szczegóły, to jest: wyniosłość i niechęć do pracy. Nie dość ci na tem, że w radnych u mnie konferencyach finalnie masz zawsze górę, ale sama disputa wydaje się tobie obrażą i fatygą; i uniosłeś się daleko, żeś wyrzekł onegdaj, że ktoby się memu zdaniu sprzeciwił, temu bym powinien kazać wynieść się precz z gabinetu mego, a to mnie przymusiło odpowiedzieć, że gdyby to było regułą, mało kto by w nim pozostał. Powolność moja i tak szanowne dla Waszej książęcej Mości względy, powinnyby uprosić i u niego miłej, łagodnej, wzajemnej poufałości ku mnie dla dobra publicznego, którego ja wyrabiać nie potrafię, kiedy Wasza książęca Mość nie będziesz dla mnie z takim sercem, z jakim ja jestem dla niego. Mówię to sam, że się los poniekąd omylił: powinien był Waszą książęcą Mość zrobić królem, a mnie jego ministrem. Lecz gdy przeznaczenie tak kazało, że ja królem jestem, czynię z siebie wszystko, abym od ciebie doznawał tego, o co proszę.

Książę grzeczniemi kilku słowami zakończył tę rozmowę, ale która innego skutku nie miała, tylko, że tegoż dnia przed synem i córką powtarzał z upodobaniem ostatnie słowa królewskie. Lecz sposobu postępowania wobec króla nie odmienił. W kilka

czasów potem zdarzyła się królowi z księciem kanclerzem Czartoryskim rozmowa takowa:

Król: — Im więcej polegałem na afekcie dla mnie, mianowicie Waszej książęcej Mości, tem mi jest żałośniej widzieć z codziennego obchodzenia i z dowodów, nawet na piśmie trafunkiem mnie doszłych, że Wasza książęca Mość z księciem bratem swoim nie tylko mi nie tak sprzyjacie, jak ja wam, ale owszem dajecie tu starownie poznać publiczności, że ganiecie moje postęпки, prorokujecie źle o moich intencjach, i właśnie odstręczacie ode mnie umysły.

Książę chciał zrazu negować fakta, ale gdy mu cytował król osoby, do których tak pisywał, zwrócił się książę do mówienia:

„My nie chcemy nosić w publiczności imienia dworskich, któreby nas nie zdobiło.“

Król: — Póki w wolnym narodzie król nie tylko nie przestępuje paktów i obowiązków swoich, ale owszem, wszystkie starania i przemyślenia swoje obraca na to, żeby powiększać wewnętrzną szczęśliwość narodu i znaczenie jego u obcych, póty nikogo nie plami tytuł przyjaciela dworskiego, a tembardziej wstydzić się go i zapierać nie powinien minister i wuj królewski, za którego radą wszystko się dzieje i konkluduje przez króla. I owszem, urzędową powinnością jest ministra, widzącego z bliska dobroć intencji postępków króla, one wystawiać i tłómaczyć publiczności w sposób, jak tylko być może najlepiej, bo

Przywołki króla Jegomości.

2



tylko tym jedynym sposobem może ułatwiać i zbliżać skutki uszczęśliwiające ojczyznę. A przeciwnie, kto źle maluje przed narodem, dobrze chcącego i czyniącego króla ten obciąża sumienie, bo tłumiąc ufność ludu w królu, zatrudnia zgodą, bez której w wolnym narodzie nic dobrego stać się nie może, a zazdroszczącym sąsiadom najlepiej przez to wygadza.

Gdy tu, nie mając dobrych racyi, zagadywał tylko księżę jak mógł bez dobrej konkluzyi, król skończył mówiąc:

„Gdybyś Wasza książęca Mość własnego tylko serca słuchał, tobyś był dla mnie trwale tak dobrym, jakeś bywał przedtem. Ale to jest i będzie nieszczęściem mojem i kraju, że się dajesz powodować instynktom i pasyom swoim.“

Ale i ta rozmowa została bez skutku dobrego.

WIZYTA PANI GEOFFRENIOWEJ.

Tu wypada wzmiankować okoliczność aczkolwiek małą, ale służącą w dowód jak był starożytnym księżę wojewoda ruski, uszkadzać króla we wszelkich galunkach, jak był zazdrosnym wszelkich jego pomysłości.

Owa pani Geoffrin, o której w pierwszej części tych pamiętników była mowa, zjechała aż z Paryża do Warszawy w roku 1766-tym nawiedzić króla. Wziętość tej osoby u publiczności paryskiej

— można było mówić — znacność jej już była taka, że nietylko najślawniejsi w tym wieku literaci francuscy, jako to: Voltaire i Montesquieu, nietylko cudzoziemcy wszystkich nacyi europejskich, którzy do domu jej przypuszczani byli w Paryżu, zachowali dla niej poważanie, a wielu z nią i koresponduje, ale i imperatorowa rosyjska do niej swoją ręką kilka razy pisała w stylu nietylko przychylnym ale i familiarnym.

Że tedy taka osoba i w wieku przeszło 60-letnim, którą i cesarzowa Marya Teresa z dystynkcyą i karesami we Wiedniu przyjmowała, trudziła się tak daleko jedynie z afektu dla króla, a przez to samo wzbudziła zazdrość księcia wojewody ruskiego; zatem co tylko było sposobów, żadnego nie opuszczał, aby tę słodycz obrócił w gorycz dla króla.

Jako miał wielką przenikliwość w poznawaniu słabizny każdego człowieka, tak prędko spostrzegł, że przy wielkiej dowcipu bystrości i wielu dobrych przymiotach miała ta dama więcej pretensyi jak prawa do gustu wybornego w rzeczach, tyjących się kunsztów wyzwolonych, i był mianowicie uwiadomiony o tem przez córkę swoją, która od samych artystów tego się w Paryżu nasłuchiwała.

Aby tedy trafić, jak mówią, poprostu jej w samo sedno i rozdrażnić ją najtkliwiej przeciwko królowi, po długiem jej ze wszech miar kadzeniu, po różnych przed nią naganach króla, które niedość nad jej umysłem czyniły impresyi, aby ją zniechęcić

przeciwko królowi, rzucił od niechcenia i trafunkiem to słówko:

„Król, który sam mało ma gustu, a drugich posądzać pozwala sobie tak dalece, że nawet o Wielmożnej pani samej powiedział, że gustu nie masz.”

Taila ona przez czas niejaki, jak głęboko raził jej miłość własną ten strzał: ale zamiast miłego z nią obcowania, doznawał król najprzykrzejszych codziennie jej złego humoru skutków — tak dalece, że ledwie mu nie przyszło żądać, aby czemprędzej oddaliła się od niego. Dość późno dowiedział się król od niej samej o prawdziwej przyczynie tych niesnasków; ledwie potrafił zaleczyć tę ranę, której jednak blizna odnawiała się często przez cały czas jej dwumiesięcznej bytności w Warszawie, w którym najserdeczniejsze jej dla króla oświadczenia, ustawnie przeplatane były scenami burzliwemi, czasem i śmiechu godnemi, lecz które sprawiły, że ta wizyta, która tyle przyjemności obiecywała królowi, stała się prawie nieprzystannym źródłem kłopotliwych plotek, które gdyby z inszą osobą łatwo i krótko przydusić mógłby był król tegim wyrazem, ale którego użyć nie mógł prawie król względem takiej osoby, która mu dała była wielkie afektu dowody, a której popędliwa natura i nieumiarkowana w gniewie gęba, byłaby pokrzywdziła króla u zagranicznej publiczności, gdyby w powrocie swoim stąd, odgłos niby niewdzięczności i złego przyjęcia siebie, o królu rozsiała. Trzeba więc było znosić i znosić ją jak

najmniej źle. Cokolwiek zaś w tem wszystkim było dla króla martwiącego — złośliwą było dla wuja jego radością.

Sama Geoffreniowa poznała to *tandem* tak dobrze, że, żegnając króla powiedziała mu :

— Ten wuj nigdy ci nie daruje, żeś ty królem został a nie on, i będzie on ci to wykalał, gdzie tylko będzie mógł, w wielkich i małych rzeczach.

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

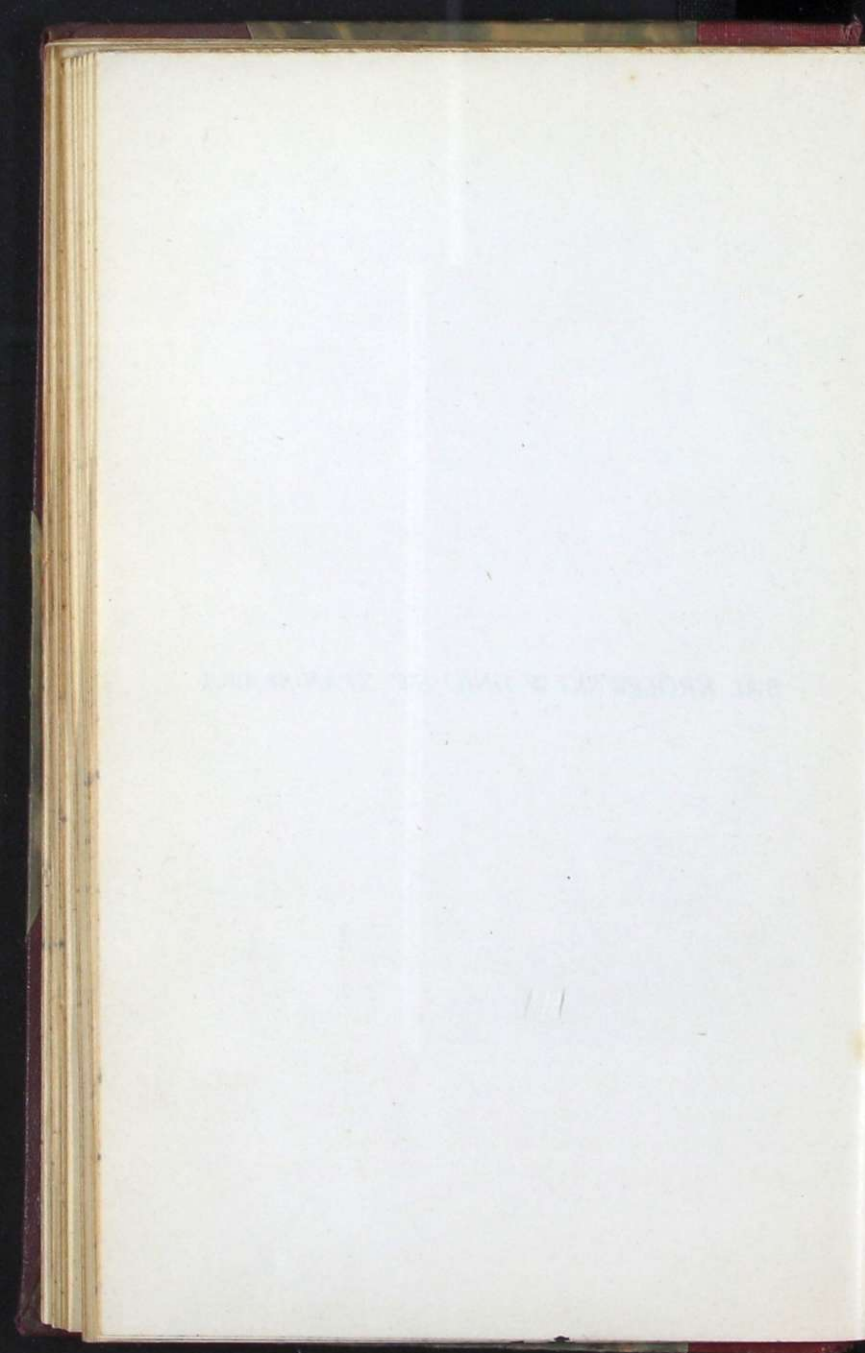
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE
THE HISTORY OF THE

BAL KRÓLEWSKI W DNIU ŚW. STANISŁAWA



Leon Bonawentura Potocki, czerpiąc z żywej tradycji i pamiątek, tak przedstawia bal na królewskim dworze:

Zbliżał się dzień świętego Stanisława, uroczystość patrona polski, a zarazem imieniny jej króla. Tygodniem wprzód marszałkowstwo Lubomirscy, udawszy się do zamku, na dzień 8. maja 1780 r. zaprosili na bal Najjaśniejszego Pana. Zaproszenie jak najmilej przyjęte zostało.

Już od dwóch godzin nieskończonym szeregiem pojazdy pierwszych panów Korony i Litwy w dziedziniec pałacu Lubomirskich jedną bramą wjeżdżały, wyjeżdżały drugą; a przed każdym laurfry lub mastelarze z pochodniami, a dokoła tłum pajuków, hajduków, straż drabantów, bośniaków lub chmara kozactwa. Przed pałacem sotnia książęcych kozaków, w sieni oddział marszałkowskiej straży.

Obszerne straże dolnego apartamentu, zwanego paryskim, najgustowniej przystrojone, tysiącami świec woskowych jakby słonecznem światłem rozwidnione, już się napępiać zaczynały.

Wykwintny strój kobiet, wymuskany ubiór męczyzn, te niewieście rogówki, rubranty, te z najbogatszych lionńskich materyi wyroby; te nie męzkie, ale, niestety! męczyzn, wszelkich kolorów i aksamitne lub jedwabne fraki, te upudrowane fryzury, podobne do litewskich borów, kiedy je śnieg zamieci okryje, te magazyny brabanckich koronek na żaboty i mankiety wyszafowane, ten las szpad trójgraniastych przenosiły nas wyobraźnią ponad brzegi Sekwany, przenosiły do wersalskiego dworu. „Król jedzie!” wpadając do sali, zawołał marszałek księżęcego dworu. Wszyscy z miejsc powstali, a książe Lubomirski z małżonką swoją wyszli do przedpokoju, gdzie Najjaśniejszego Pana przyjąwszy, przez roztwarte podwoje do sali balowej wprowadzili. Kapela poloneza zagrała, a król, skłoniwszy się wszystkimi z lekka z gospodynią domu świetny bal otworzył. Ze sto par przesunęło się zwolna po wytwornych komnatach.

Król Stanisław miał podówczas lat czterdzięci osiem, był wzrostu wyższego nad średni, tuzszy ciała miernej, ale pleczysty i szerokich piersi, gdy siedział, zdawał się wyższym, niż był w istocie. Rysów regularnych, rzymskiego nosa, oka pełnego, ust malowniczo wyciętych, ale warg dosyć wąskich; bez wąsów, faworytów i brody, zarost na jego twarzy w niebieską barwę wpadał. Fryzura upudrowana z piżonami po bokach, a z tyłu z katagonem, okręconym czarną kitajką z kokardą. Rękę miał nadzwyczajnej piękności. Nosił na sobie

wierzchnią suknię z aksamitu koloru à la Pompadour z guzikami brylantami wysadzonemi; błyszczła na nich gwiazda również brylantami naszywana. Pod nią, na białej atlasowej długiej kamizelce, haftowanej złotem, niebieska wstęga orła białego z prawego ramienia na lewy bok spływała. Racymorowe białe spodnie, białe jedwabne pończochy, trzewiki ze złotemi sprzączkami. Wążka biała chustka na szyi. U koszuli z przeźroczystego batystu, żabot i mankiety z najdroższych koronek. W żabocie złota szpilka, w której misternej roboty zegarek wielkości srebrnika. Na palcu sygnet z miniaturą cesarzowej Katarzyny, otoczony soliterami. Przy boku wisiała trójkątna szpada, w białej pergaminowej pochwie z rękojeścią koralową ze złotem, na pamiątkę ofiarowana królowi przez księcia Repnina. Pod pachą miał płaski, trójkątny kapelusz, w lewej ręce obracał złotą tabakierkę, na której z emalii Wenus Tycyana dziwnie pięknej roboty; prawą rękę podawał księżnie z Czartoryskich Lubomirskiej.

Kilka laty młodsza od króla księżna marszałkowska, miernego wzrostu, rysów twarzy delikatnych, (o ile gruba powłoka bielidła i czerwienidła dojrzeć pozwalała), miała na głowie, białym, jak śnieg, pudrem osypaną fryzurę, naśladowującą morskie bałwany, wśród których płynął okręcik, z koralu i złota kunsztownie wyrabiany. Od owego okrętu na łańcuszku weneckim spływała złota kotwica. Byłże to emblemat jeszcze nie straconych

nadziei lub przybicia do portu? możebyśmy dowiedzieć się mogli, ale chyba w sekretne archiwum łańcuckiego zamku. Księżna miała na sobie ciężką robę z jedwabiu na ćwierć cała grubego, twardego jak łosia skóra. Tło sukni było jasno papuzie, na którym bujały ptaki i motyle, najjaskrawszych kolorów. Krótkie po łokieć i coraz rozszerzające się rękawy zakończyły z najprzedniejszych koronek bryzowane manele; pod spodem rozpięta rogówka dwułokciowej średnicy, czyniła ją podobną do chińskiego namiotu; z tyłu długim ogonem zamiatała pokój. Na małych nóżkach pończoszka z przezroczystej pokrzywki, na nich trzewiki paryskie z białego ałtasu z ponsowemi koronkami. Kilka sznurów przepysznych, uryańskich pereł okrażały księżęcą szyję, a przy boku ogromny bukiet z szafirów, rubinów, szmaragdów i innych drogich kamieni, nie napełniał wprawdzie przybytku wonią, ale nie w jednej piękności nienasyconą wzbudził zazdrość.

W drugiej parze Stackelberg, ambasador rosyjski, prowadził księżnę Izabellę Czartoryską. W mundurze zielonym z ponsowym kołnierzem, ze wstęgą i gwiazdą orderu świętego Andrzeja, wabnemi słowy do ucha swej tanecznicy przemawiał. Księżna Izabella, jeżeli pięknnością innych nie przewyższała dam, wspaniałym ubiorem wszystkie zakasować chciała. Nieregularnych rysów, ale pełnej, choć drobnej twarzy, giętkiej i wysmukłej skibici, choć już nie w życia poranku, jeszcze sa-

moładnie nad sercami panowała. Białą grodeturą suknię, naszywaną perłami, pokrywał płaszcz z amarantowego aksamitu, gronostajami podbity. Na głowie korona przybrała strój królowej Jadwigi.

— „Pani, rzekł do niej ambasador, kiedy w tym kraju twojego zastępuję Wilhelma, i czemużbym go w twem sercu zastąpić nie miał?”

— „Cóżby na to mój Jagiełło powiedział?” — zapytała księżna.

— „Tyś wdziękami i królewską szatą podobna królowej Jadwidze, zawołał Stackelberg, a spojrzij tylko, czy twój Jagiełło w tej upudrowanej fryzurze, w tym różowym jedwabnym fraku podobny do litewskiego księcia?”

Za nimi poseł hiszpański, Aranda, w kastylijskim z aksamitu niebieskiego ubiorze, zamiast guzików miał przyszyte złote portugaly. Na ramieniu czarny płaszczyk aksamitny; trzymał w lewej ręce, opartej o rękojeść tolekańskiej szpady, czarny kastorowy kapelusz, spięty dyamentowym karbunkulem; prawą podawał siostrze królewskiej, wdowie po Janie Klemensie Jaxie Branickim, kasztelanie krakowskim, hetmanie wielkim koronnym. Poważna matrona zwolna obok niego postępowała w stroju, przypominającym dwór Ludwika XIV., podobniejsza do marszałkowej de Luxemburg, niż do pani krakowskiej. W czwartej parze Stanisław Szczęsny Potocki, syn wojewody kijowskiego, w mundurze pułku imienia swojego

granatowej barwy z *obszlegami* żółtymi, ze złotymi szlifami i orderem orła białego, prowadził hetmanową Ogińską, pierwszą w naszym kraju damę, słynącą z cnót i gościnności staropolskiej, w ubraniu nawet nieuprzedzającą modę, ale idącą za nią z całą godnością wieku, stanu i urodzenia swojego. Książę Kazimierz Poniatowski, starszy brat króla, asystował jednej z pierwszych piękności stolicy; książę Kazimierz, przepędziwszy część młodości swojej w Paryżu, chociaż już nie młody, w sposobie życia, w ubiorach naśladował popucie obyczajów ówczesnych i przesadzał modę. Nikt od niego wykwinniejszego nie nosił stroju, on do każdej nowo przybyłej piękności musiał palić ofiary. Tanecznica jego słynna z wdzięków i z wybujałej wyobraźni, we wszystkim, jak to zowią *ekscentryczna*, ubraną była, jak druga Magdalena. Na sukni z białej przezroczystej tkanki, przepasanej złotym sznurem, spływały rozpuszczone pierścienie kruczych włosów. Spostrzegłszy ją obok mnie stojący Węgierski, ulubiony ówczesny poeta, obracając się do kolegi swojego, szambelana Trembeckiego, rzekł półgłosem:

Z rozpuszczonemi włosy, i twarzą wyzutą,
Podobna Magdalenie życiem, nie pokutą.

„Brawo! — zawołał Trembecki — i trafnie i sprawiedliwie“. „Ale za ostro“, przerwie mu Franciszek Karpiński, niedawno z dalekiego Po-

kucia do Warszawy przybyły. „Tak pan znajdujesz? — odezwał się Węgierski z pewnym rodzajem pogardy — znać parafianina, niewiedzącego nawet co się w stolicy święci. Ja zaś, chcąc poprzeć moje twierdzenie, powiem panu, iż w przeszłym tygodniu, gdym był na obiedzie u księcia Karola Radziwiłła, zgadało się przy stole o tej Magdalenie. „Piękna panie kochanku“, utrzymywał książę. Na to ktoś się odezwał: „że piękna, widzimy, bo mamy oczy, ale ja państwu powiem jaka między nią a księciem Karolem Radziwiłłem zachodzi różnica?“. „Jakaż?“ — zapytano ciekawie. „Książę każdego, byleby był karmazynowym szlachcicem, nazywa kochankiem, a ona każdego, byle był młodym i przystojnym, bierze za swego kochanka“. Trembecki parsknął ze śmiechu, Karpiński spuścił oczy. Dalej Andrzej Poniatowski, drugi brat królewski w białym uniformie austriackiego generała z ponsowemi spodniami, z krzyżem Maryi Teresy i łańcuchem złotym runa u szyi, wiódł Potocką, Mniszchównę z domu, w prostej linii pochodzącą od carowej Maryny. Pani Potocka, Szczęsnego żona, była jedna z pierwszych elegantek naszych, ubrana za Marie-Antoinette, uprzejmością wabiła, rozumem zatrzymywała, a kokieteryą podbijała każdego. Po niej szła z księciem Marcinem Lubomirskim, jednym z zauszników królewskich, młoda i piękna, jak wiosna, pani generałowa Grabowska, strojna w białą jedwabną suknię z rzuconemi po niej buketami świe-

żych róż. Suknię przykrywała z najdroższych koronek lewitka. Na głowie utrefionej bez pudru, w gęsto spływające pukle à la Sèigné, spoczywała również ze świeżych róż spleciona korona. „To królowa miłości!“ zewsząd powtórzono dookoła. „Już na tron wstąpiła, już ma koronę na głowie“, wołał na głos Trembecki. „To prawda—odpowiedział mu Węgierski, — z wonnych róż korona, ale róże zwiędnieją, opadną, zostaną tylko kolce, zostanie cierniowa korona“. Wczoraj przed nią, dzisiaj za nią widziano krajczynię z Ossolińskich Potocką z księciem Adamem Czartoryskim, generałem ziem podolskich. W aksamitnym ciemnoszafirowym kontusiku, obwiedzionym ogonkami najprzedniejszych soboli, z potrzebami wyszytymi dyamentami; pod kontusikiem kusa suknia, nakształt żupana, z karmazynowego tureckiego dywdyku, na pół okrywała z białego atlasu szarawarki. Dziwnie małą nogę żółty ozuwał bucik. Na głowie kołpaczek również z szafirowego aksamitu z sobolowym brzegiem, gustownie na prawą nachylony stronę. Wiedział już każdy, że Grabowska zastąpiła krajczynę, dziwił się jednak, że ta, co się zawsze tak ściśle trzymała mody, po raz pierwszy w polskim występowała stroju. Stanisław August nie lubił narodowego stroju, byłże to ze strony krajczyny rodzaj urągania, małowania? byłże to rzucona rękawica? tak rozumiał Węgierski, kiedy obróciwszy się do nas, rzekł:

Wczoraj królowa Cythery,
 Ządała tylko nektaru;
 Dziś włożyła hajdawery
 Pono odjeżdża do Baru.

„Zwyczajnie, — dodał — po detronizacyi następuje emigracya“. Gdy uważano, że krajczyna ciągle się do księcia Adama przymilała: „patrzcie — ktoś się z boku odezwał — coś nam krajczyna pana Adama Puławskiemu werbuje“.

Za niemi następował szereg bez końca pierwszych matron w kraju, najcenniejszych piękności, szereg panien, matki zastępujących; jeżeli karty ich dziejów jeszcze zapisanemi nie były, każda z nich z niecierpliwością na dziejopisarza oczekiwała. Na co się tylko wykwintna moda francuska zdobyć mogła, tak w strojach jako i klejnotach, dostregało oko. Tam widziałeś kanclerzynę Sapieżynę w czarnym ubiorze, jakby w żałobie po minionem panowaniu. Tam widziałeś poważną ordynatową Zamoyską, rodzoną siostrę króla, kanclerzynę Borchową, Wielopolską, starościny krakowską, Lanckorońską, kasztelanową połaniecką, Potocką, starościny halicką; tam widziałeś piękną i młodą Kossowską, za Dyana przebraną, ale w rogówce z upudrowaną fryzurą, wśród której błyszczały półksiężycy, wysadzone brylantami. Szkoła, że ta dziwnego stroju Dyana nie prowadziła na różowej wstążce białego bonońskiego pieska, zamiast charta, jak nam ją w mitologii malują. Pani kasztelanowa Oborska, nie wiem, czy przez

pochlebstwo dla księcia biskupa płockiego, ale cała wystąpiła w fiolecie. Pani Przebédowska, starościna solecka, miała na sobie suknię, w której paradowała w Paryżu na ślubie Maryi Antoniny Delfinowej. Pani Dębińska, starościna wolbromska, myśliwa, przybrała zieloną aksamitną amazonkę z ładownicą, drogiemi kamieniami wysadzaną.

Już od pół godziny polonez się ciągnął. Król, prowadząc zawsze księżnę Lubomirską za rękę, gdy z jednej do drugiej przechodził sali, księżę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, w towarzystwie Joachima Potockiego, podczaszego litewskiego, Niesiołowskiego, wojewody nowogrodzkiego, Sapiehy krajczego litewskiego, Matuszewicza, kasztelana brzeskiego, Pocięja starosty rohaczewskiego, Prozora wojewodzica witebskiego i kilkunastu Albeńczyków, zastąpił mu drogę. Król się zatrzymał, na twarzy jego można było dostrzedz chwilowe pomieszenie. „*Tandem* tedy, mości księżę! cóż się to ma znaczyć? — zapytał król, uśmiechając się, — Wasza książęca Mość, czy czasem nie stoisz na czele nowej konfederacyi?” — dodał. W niebiesko-lazurowym żupanie, spiętym zapinką z emalii błękitnej, na której trzy litery F. A. F. znaczenia, *fiducia amicorum fortis*, godło albeńskiego związku, w kontuszu żółto-słomianej barwy, z niebieskim wyłogiem i brylantowemi guzikami, opasany bogatym słuckim pasem, litym ze złota; w żółtych butach, przy nasadzanej turkusami karabeli, rodzinnym spadku po Mikołaju Ra-

dziwille czarnym, na której rękojeści spoczywała z błękitnego aksamitu czapka, wyporkami krymskiego kasztana okolona, ksiązę Radziwiłł spojrzawszy królowi w oczy: „Najjaśniejszy Panie! — zawołał — kiedyśmy ciebie, panie kochanku, królem naszym obrali, niechaj mi wolno będzie — klaszcząc w dłonie, dodał — w odbijanego tancecznicę Waszej Królewskiej Mości odbić“. „Mości ksiązę, odparł król spokojnie, czasy zaborów minęły, a skarb podobny, — ciągnął dalej, mile spoglądając na księżnę — chyba mi z życiem wydrzecie“. „Miłościwy królu — odezwał się Radziwiłł — przeciw przemocy, panie kochanku, nie masz rady, przed majestatem Waszej Królewskiej Mości, Radziwiłł nawet ustąpić musi, zwijam zatem konfederację, ale ponieważ zgwałcenie [naszej złotej wolności i paktów konwentów spostrzegam, niechaj mi wolno będzie, panie kochanku, manifest założyć“. Skończył, pogłaskał czupryny, pokręcił wąsa, wyloty w tył zarzucił i zwolna od drzwi odstepił. Król przeszedł do drugiej sali, a zatrzymawszy się na samym zakręcie pocałował gospodynię w rękę i zakończył taniec.

Król stanął w pośrodku pokoju. Otoczyła go zgraja pierwszych magnatów, urzędników, zausznicy, dworacy. Spostrzegłszy między niemi Franciszka Karpińskiego: „A witajże nam Panie Franciszku, — zawołał — porzuciłeś *tandem* tedy Pokucie dla Warszawy, pozostań teraz z nami, prosimy, a będziemy się starali zastąpić ci twoją Ju-

stynę“. „Najjaśniejszy Panie! — odrzekł Karpiński — człowiek o Justynie zapomina, skoro ma szczęście oglądać oblicze Waszej Królewskiej Mości. Do Warszawy, wyznać muszę, nęciło mnie zawsze serce, na wieś każe wracać rozsądek i potrzeba“. „Ale bo też — przerwał mu monarcha, cóż ci *tandem* tedy zrobiła Warszawa, że ją porzucasz, że tak przeciwko niej powstajesz?...“ „Właśnie, że mi nic nie zrobiła“ — odpowiedział cichym głosem poeta. Król nie wyrzekłszy na to słowa, gdy spostrzegł panią generałową Grabowską, siedzącą na bocznej kanapie, przybliżył się do niej. Powstała z miejsca i przez czas niejaki półgłosem rozmawiała z królem. Pani Grabowska z uśmiechem na ustach odpowiadała królowi. Czarująca wdziękami, oczy jej błyszczały miłością i szczęściem. Trzymała w ręku bukiet ze świeżych kwiatów, z których, gdy upuściła różę, niedaleko stojący Stanisław Kostka Potocki podniósł ją czemprędzej i oddając, temi odezwał się słowy:

Mówią, żeś piękna, jak róża nadobna,
Ja mówię: róża piękna, bo tobie podobna!

„*Tandem* tedy — rzekł król zadowolony — i po guście i po grzeczności poznać można młodego kawalera, świeżo z Rzymu przez Paryż do Warszawy wracającego. Napojony pięknnością sztuki wiesz, co piękne i piękności umiesz winny hołd oddawać“. „Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Potocki — widziałem w Rzymie Wenus z zimnego

Marmuru, tu ją pełną życia spostrzegam". „Cóż na to panie Trembecki? — zapytał monarcha swojego nadwornego poety — czemu tak zachmurzyłeś czoło? Czyliż widok nowego współzawodnika już tobie mowę odbiera?" „Królu! — zawołał smętnie dworak:

Czegoż się dzisiaj wszyscy dziwujecie,
Ze poetę utwarza ta polska Wenera,
Gdy mnie, staremu pocie,
Kadencye nawet odbiera.

Pani Grabowska odurzona, że tak powiem, pochlebstwy, nie wiedziała, w którą stronę okiem rzucić, a trzymając w ręku co tylko podniesioną różę, za gors ją od niechcenia założyła; to spostrzegłszy Józef Szymanowski, szambelan, jeden z pierwszych hołdowników muz na stanisławowskim dworze, zbliżywszy się do niej, temi odezwał się słowy:

Gdyby śniegu odrobina spadła na twe łono,
Widząc swą białość, twoją białością przyćmiona,
Śniegby się nawet z tego zarumienił,
I ze wstydu się topiąc, w lęby się przemienił.

„Kochany kolego — zapytał generał Byszewski, adjutant królewski, obok niego stojącego generała Grabowskiego. — Czy się twoje serce nie raduje na widok tych hołdów, jakie twoja żona odbiera?" Grabowski sam nie wiedząc, czy się ma gniewać, czy z wdzięcznością przyjąć komplement, milczał; czego świadkiem Węgierski: „Generale —

rzekł do Byszewskiego — chcesz, aby Grabowski Szymanowskiemu odpowiedział wierszami, a zapominasz, że dyssydenta polskiego nawet Wenus zamienić nie zdoła w poetę; nie doświadczy cudu, bo dyssydent nie wierzy w cuda, ale ja panu za niego odpowiem :

Że wyjął jedno źebro Pan Bóg Adamowi,
z niego stworzył Ewę, w to nam wierzyć każą,
I wierzę, odtąd bowiem któremuż mężowi
Żony bokiem nie wyłażą?

Dość cicho wymówione słowa, usłyszane jednak zostały. Rodzaj bojaźni ogarnął dworaków, Grabowski nosa spuścił, przez usta Trembeckiego nieznaczny uśmiech się przesunął, Szymanowski się zarumienił, Karpiński westchnął głęboko. Pani Grabowska na dawne miejsce wróciła. Król, zmarszczywszy czoło, ostro na Węgierskiego spojrział i poszedł potem prosto do Pani z Potockich Kossakowskiej, kasztelanowej kamieńskiej; ta cała w aksamitach czarnych i w koronkowym czarnym czepku, pod oknem, jakby na osobności siedziała. „A witajże nam, kochana kasztelanowo — rzekł Stanisław August, obok niej siadając. — Po tylu latach, tylu krajowych nieszczęściach, miło mi *tandem* tedy oglądać panią na moim dworze. Gdy bym był ją spostrzegł zrazu, z przeproszeniem kochanej gospodyni, byłbym nieochybnie z panią bal dzisiejszy otworzył, gdyż wiem, komu się najwinniejszy respekt należy, ale co opóźnione, to nie stracone“. „Uczciwszy uszy, daruj mi Wasza Kró-

lewska Mość — odpowiedziała kasztelanowa — ale Wasze widzisz, że tańczyć nie mogę, bom i za stara i w żałobie“. „W żałobie? po kim? — zapytał król ciekawie. — „Po stracie naszych swobód, po podziale naszego kraju, po krwi konfederatów barskich, niewinnie przez obcego żołnierza na naszej ziemi przelanej“. Bładość nadzwyczajna okryła twarz królewską, po kilku jednak chwilach milczenia: „Kto w żałobie — odezwał się z przyciskiem — na bale nie powinien uczęszczać“. „Uczciwszy uszy — rzekła kasztelanowa — masz Wasza Królewska Mość *recht*. Żeby nie ciekawość, nie byłabym tu weszła, ale mi powiadano że na waszym dworze jednego nie masz kontusza. Nie podobna było temu wierzyć, chciałam się nacznie przekonać i uczciwszy uszy, święta prawda. Żeby nie nasz książę Karol; panie kochanku, pan Joachim i kilku Albeńczyków, samebyś tylko tu widział szwaby“. „Oprzeć się tendencyi czasu, — zawołał król, — rzeczą niepodobną. Duch filozoficzny różnicę między narodami niweczy, dawne storje, przesądne zwyczaje barbarzyństwem, mieni, i wnet przyjdzie ta błoga chwila, w której na całym świecie jednego używać będą ubrania i jednym mówić językiem“. „Mniejsza byłaby o to, żeby mówiono po polsku — odpowiedziała poważna matrona — ale jak widzę, Wasza Królewska Mość dokazujesz cudów i kilkanaście lat dopiero, jak nam panujesz, a wszystkie kobiety po francuzku mówią, a na dziesięć małżeństw siedm

rozwiedzionych, ale za to też wspierasz, Najjaśniejszy Panie, rękodzielnie, zakładasz fabryki, papiernie". „Jakto, gdzie? — zapytał monarcha. — „W stolicy, na królewskim dworze, kiedy się samemi gałganami otaczasz“ — odezwała się bez namysłu kasztelanowa. Król chociaż oburzony zuchwałością, z jaką przemawiano do niego, milczał. Gdy spostrzegł, że pani kasztelanowa na wszystkie obraca się strony, jakby czegoś szukała: „Czego pani szukasz? — zapytał zniecierpliwiony, pewnie jaką niedobitkę konfederacyi barskiej, która nie dość, że kraj w step zamienić usiłowała, ale się targnęła na nasze królewskie życie“. „Najjaśniejszy Panie! — zawołała — konfederacya barska, uczciwszy uszy, nie twojej śmierci, ale twojej sławy i szczęścia pragnęła; jeżeli zaś w koło rzucam okiem, nie szukam już kontusza, bo to byłoby nadaremnie, ale szukam wszędzie króla polskiego, a niestety! pana stolnika tylko znajduję“. Stanisław August westchnął głęboko, poczem ze smutkiem: „Pani! — rzekł — szukasz króla, ja zaś szukam często stolnika; szczęśliwszy, że go myślą znajduję, gdyż mi przypomina, czem byłem, a czem zostałem!“ Król wstał z miejsca i do drugiej przeszedł sali. Przeszono tańce, ucichła muzyka, zaczęto na małych tacach, w małych filiżankach roznosić kawę ze śmietanką, potem rozmaitego gatunku konfekta, zamrożone chłodniki i ciasta. Król damy obchodząc, z jedną się uprzejmie witał, tej kilka miłych słów powiedział, tam-

tej się tylko uklonił, a przystąpiwszy do księżnej kanclerzyny Sapieżyny, zapytał, czy długo jeszcze zabawi w stolicy? gdy odebrał odpowiedź, że za kilka dni wyjeżdża do Litwy. „Skoro — rzekł do niej — na przyszły sejm, da Bóg doczekać, wybiorę się do Grodna, nie omieszkam w Różannej miłych dla mnie odwiedzić gospodarzy“. „Błoga to będzie dla nas chwila — odezwała się księżna — w której Wasza Królewska Mość raczysz przestąpić nasze progi. Pamięć jego u nas bytności dołączymy do wspomnień, jaką nie jeden z poprzedników twoich, Najjaśniejszy Panie, odwiedzając Sapiechów, w Różannie zostawił“. „Poprzednicy moi — odpowiedział monarcha — umieli ród Sapiechów cenić i wielce szanować, w niczem im nie odrodny, jeżeli odmienne losu koleje często mną rządziły, w uczuciach moich, tandem tedy o zmienność nikt mnie oskarżyć nie zdoła“. — „Lże, Panie Kochanku“ — szepnął książę Karol Radziwiłł do ucha Joachimowi Potockiemu. — Stanisław August, spostrzegłszy obok siebie krajczynę Potocką, której ubranie opisaliśmy wyżej: „Cóż ten strój oznacza? — zapytał — powiedziałaby kto, żeśmy na kostyumowym balu, lub, że pani grasz komedję“. „Najjaśniejszy panie! — przerwała mu krajczyna — gdy patrzysz na mój ubiór, a ja słucham słów twoich, powtórzyć razem możemy, że gramy komedję“. Stanisław August na ładną kobietę gniewać się nie mógł, może też wejrzenie generałowej Grabowskiej, zbliżającej się ku niemu,

rozbroiło gniew jego. Wtem księżna Czartoryska, przystąpiwszy do króla, głęboki mu ukłon oddała. Monarcha odkłoniwszy się z uszanowaniem, rzekł do otaczającego go grona: „Oto królowa, która nam Litwę złączyła z Koroną“. „Jadwiga — odpowiedziała księżna — dwa wielkie kraje połączyła z sobą, ty zaś panie — dodała spoglądając na owe trzy niewiasty, które Stanisławem rządziły — i serce twoje i kraj twój własny na trzy części rozdzielasz“. Nagły szmer rozległ się po wszystkich komnatach. Generał Byszewski, przebiwszy się przez tłumy, śpiesznie przystąpił do króla, a oddając list monarsze: „W tej chwili — rzekł — przybył goniec z Petersburga i ten list Waszej Królewskiej Mości przywozi“. Rozstąpiła się ciżba, król ruszył się z miejsca, łaskawie wszystkim ukłonił, a zaprosiwszy z sobą Stackelberga, odprowadzony do przedpokoju przez gospodarza i gospodynię, wyjechał z pałacu książąt Lubomirskich i wrócił do zamku.

Patrząc na wyjeżdżającego króla z ambasadorem: „Żle z nami będzie, mości książę — odezwał się pan podczaszy do księcia wojewody wileńskiego — coś się pod tym święci“. „Oj, bardzo źle — odpowiedział książę — ale dużobym dał, panie kochanku, żeby mi kto wytłómaczył, skąd tego złego przyczyna?“ „Złego u nas przyczyna — odezwał się skromnie Franciszek Karpiński — że u nich baba królem, a u nas król babą“. „O! to mi gracz — zawołał uradowany

Radziwiłł, poprawując pasa — mądry z waści kawaler, panie kochanku, masz u mnie łaskę, przyjedź tylko do Nieświeża, a jeżeliś tak tęgi dokorda, jak do konceptu, zapiszę ciebie do bandy albeńskiej, dam arendę i będziesz moim poetą nadwornym“. „Dziękuję za łaskę Waszej książęcej Mości — odrzekł na to Karpiński — ale słabych zdolności, jakich mi Bóg udzielił, nie sprzedaję za pieniądze, pochlebiać nie umiem, wolę umrzeć wolnym!“ „I gołym“ — dodał Trembecki, obok niego przechodząc. „Co to za dziwak“, odezwał się podczaszy do księcia. „Głupi“! — zakończył Węgierski ruszając ramionami.

Po wyjeździe królewskim odezwała się kapela, a tańce z większą jeszcze ochotą rozpoczęto na nowo. Pani hetmanowa Branicka i wojewodzina podolska bal opuściły; poszło za ich przykładem kilka elegantek, na czele których pani generałowa Grabowska, jedna z pierwszych, wyjechała. Ale krajczyna Potocka żadnego nie opuszczała tańca, księżna Czartoryska zdawała się ducha dodawać młodzieży, a piękna Kossowska, pomiędzy najpiękniejszymi, pierwsze zajęła miejsce. Wtem skoczne tańce zamieniono w poważny polonez, otworzono podwoje wiodące do jadalnej sali; księżę Lubomirski, marszałek wielki koronny, w pierwszej parze panią hetmanową Ogińską do wieczery zaprowadził, w drugiej księżna gospodyni domu podała ramię Karolowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, za niemi ruszyli wszyscy.

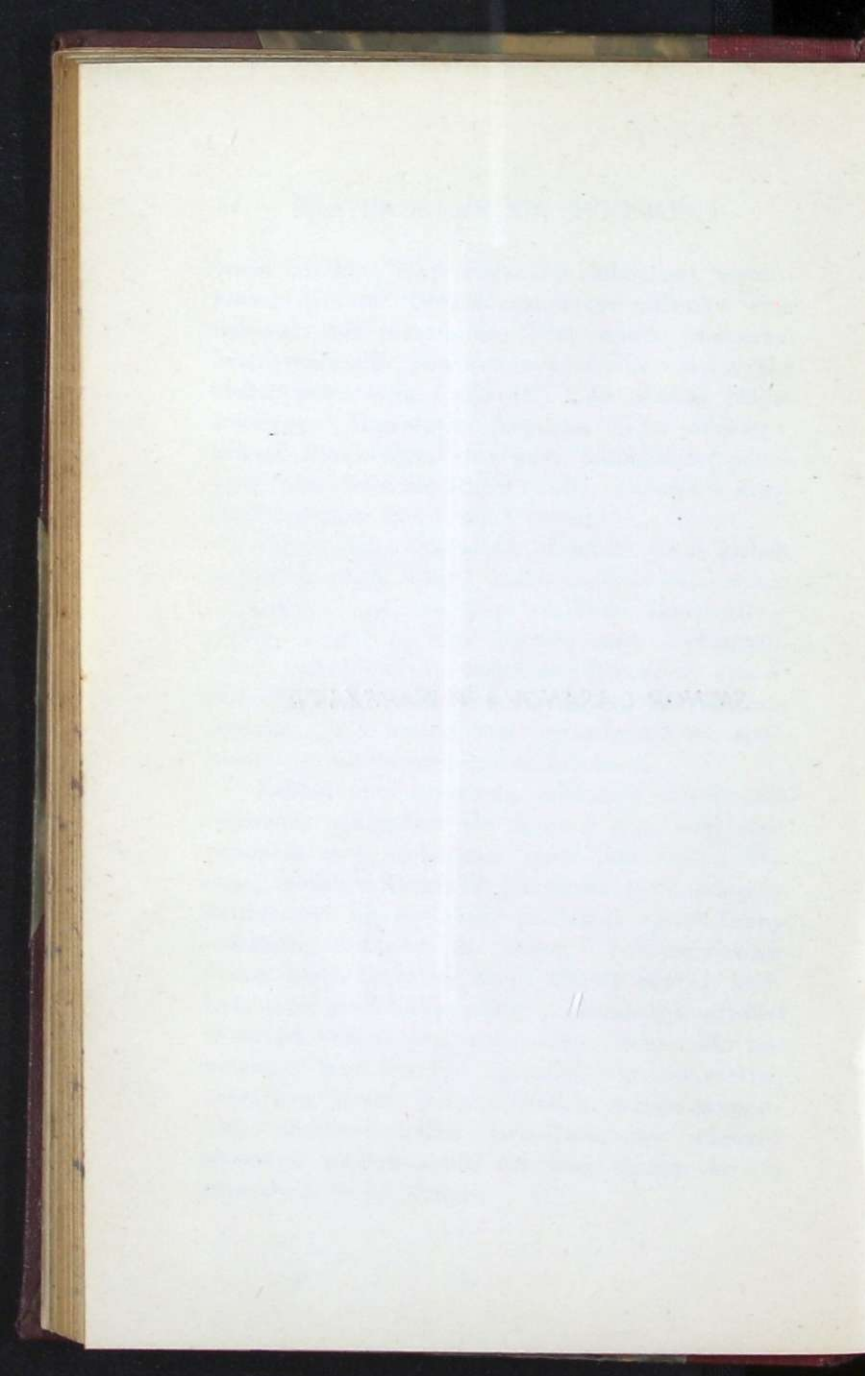
Stoły zastawione były suto i bogato, potra-

wami bez liku, nieprzebranemi łakociami, wyszukanemi wetami. Służba rozmaitego gatunku wina nalewała bez przestanku. Przy końcu wieczerzy, księżę marszałek, powstawszy z miejsca, wziął wrękę kielich pełen wina i zawołał: „Za zdrowie Najjaśniejszego Stanisława Augusta, króla polskiego, księcia litewskiego, oby nam jaknajdłużej panowali!” Odezwały się trąby i kotły, a wszyscy krzyknęli hurmem: niech żyje! wiwat!

Gdy księżę, wojewoda wileński, swój kielich wychylał, obok niego kasztelanowa kamieńska: „Uczciwszy uszy, bodajbyś się Waść zakrztusił — rzekła, a gdy jej cały wyróżzowany, wyblanszowany, wypizmowany szambelan Kownacki ofiarował „kieliszek szampana z musem”, jak się sam wyrażał: „Ja z musem niczyjego zdrowia nie spełniam” — odpowiedziała kasztelanowa.

Zakończono wieczerzę, młodzież rzuciła się napowrót z zapalem do tańca i ja na tem opowiadanie moje zakończę, rzekł pan wojski. Widząc, że księżę Radziwiłł, pan podczaszy i wszyscy kontuszowi się wynoszą, ponieważ do ich liczby należałem, ruszyłem za nimi i byłbym pewnie musiał piechotą aż na Nowe Miasto deptać, kędy było moje mieszkanie, gdyby mnie nie był odwiózł w swojej kolasie pan wojewodzie Prozor. Moi panowie, z tego licznego zgromadzenia wszystkich przeżyłem, ja sam jeden zostałem, ja tego wszystkiego naocznym byłem świadkiem, wy odemnie słyszycie, niechaj dzieci od was słyszą, bo to przeszłość, to już dzieje!

SIGNOR CASANOVA W WARSZAWIE



Signor Casanova, kawaler de Seingalt, który awantury żywota w 10-ciu tomach opisał — tak kreśli swój pobyt w Warszawie:

PODRÓŻ DO STOLICY POLSKI.

Jesienią roku 1765 opuściłem stolicę Rosyi.

Wyjeżdżając z Petersburga, przyjąłem na służącego kupca Ormianina, który pożyczył mi sto dukatów i dobrze gotował na sposób wschodni. Miał on list polecający od posła polskiego do księcia Augusta Sułkowskiego i drugi od pastora anglikańskiego do księcia Adama Czartoryskiego.

Drugiego dnia po wyjeździe z Petersburga, zatrzymaliśmy się w Koporyi dla zjedzenia obiadu; w wozie sypialnym mieliśmy dobre zapasy i znakomite wino. W dwa dni potem spotkaliśmy słynnego kapelmistrza Galupiego, zwanego Buranelli, który jechał do Petersburga w towarzystwie dwóch przyjaciół i wirtuozki. Nie znał mnie wcale i wielce był zdziwiony, znalazłszy w zajeździe, w którym się zatrzymał, dobry obiad, sporządzony modą wenecką i kawalera, witającego go komplementem w rodzinnej mowie. Skoro

tylko wymienilem moje nazwisko, wziął mię w ramiona wśród okrzyków zdumienia i radości.

Że drogi rozmokłe były od deszczu, potrzebowaliśmy ośmiu dni, by dotrzeć do Rygi, gdzie ku wielkiemu zmartwieniu nie zastałem już kochanego księcia Karola. Z Rygi jechaliśmy jeszcze cztery dni do Królewca, gdzie musiałem rozstać się z p. Valville, na którą czekano w Berlinie. Zostawiłem jej swego Ormianina, któremu z ochotą zapłaciła owych sto dukatów, jakie byłem mu dłużny. W dwa lata później spotkałem ją znowu w Paryżu, jak to na właściwem miejscu opowiem. Rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni i bez tych smutnych myśli, które zawsze kradną nam parę chwil szczęścia. Byliśmy parą miłosną z tej tylko przyczyny, że samej miłości nie braliśmy sobie do serca, a nasze uciechy stały się fundamentem trwałej i do poświęceń gotowej przyjaźni. W Klein-Roop, wioseczce tuż pod Rygą, gdzie przepędziłyśmy noc, ofiarowała mi swe dyamenty i wszystką gotowiznę.

Jako, że w Królewcu byłem już sam, sprzedałem nieoceniony wóz sypialny i ulokowałem się w najętym pojeździe, dla odbycia podróży do Warszawy. Było nas czterech, a towarzyszami mymi byli Polacy, mówiący tylko po polsku i po niemiecku; przeto w ciągu sześciu dni tej nieprzyjemnej podróży, poznałem nudę w całej ohydzie. W Warszawie stanąłem u Villiersów, w których gospodzie spodziewałem się spotkać z Campionim.

Opowiadał mi, że Tomatis, dyrektor opery komicznej, miał zrobić w Warszawie wielki los; ma on podobno tancerkę z Medyolanu, niejaką Catai, która więcej przez swoje wdzięki, aniżeli przez talenty, zachwyca miasto i dwór. Gra hazardowa tu dozwolona; wymienił mi graczy, mających dom otwarty, zwróciwszy jednak równocześnie uwagę, że w Warszawie pełno jest Greków, czyli mówiąc innemi słowy, oszustów. Pewna Włoszka z Werony, nazwiskiem Giropoldi, która żyła z oficerem lotaryńskim, nazwiskiem Bachelier, trzymała bank w faraonie; zaś tancerka, która przedtem była kochanką osławionego Afflisia w Wiedniu, przynęcała klientelę.

Innym Grekiem, który żył z pewną przystojną Saksonką, był major Salvi, o którym wyczerpująco opowiedziałem przy sposobności powtórnego mego pobytu w Amsterdamie. Baron de Sainte-Hélène był również w Warszawie, ale głównym jego talentem było robienie długów i niepłacenie ich. Mieszkał on również u Villiersów wraz ze swoją piękną i uczciwą żoną, która trzymała się zdala od jego interesów. Prócz tego opowiadał mi Campioni o przeróżnych innych awanturnikach, których radził mi starannie unikać we własnym interesie... Byłem bardzo rad, że udzielił mi tej przestrogi.

Następnego dnia wziąłem pacholka i nająłem pojazd; jest to w Warszawie niezbędne, albowiem wówczas, przynajmniej za moich czasów, było tam

istną niemożliwością chodzić pieszo. Było to przy końcu października 1765 roku.

Pierwszą wizytę złożyłem księciu Adamowi Czartoryskiemu, generałowi ziem podolskich, do którego miałem list. Zastałem księcia przy wielkim stole, całkowicie zasłanym aktami, otoczonego pięćdziesięciu może osobami, w przestronnej bibliotece, w której urządził sobie sypialnię. Był on ożeniony z hrabiną Fleming, wielkiej urody, nie miał z nią jednak dotąd dzieci, ponieważ utrzymywał, że jest za chuda.

Przeczytawszy list, który mu wręczyłem, powiedział mi książę w perfumowanej francuszczyźnie, że ma wielkie wyobrażenie o osobie, która mnie poleca; że jednak w obecnej chwili bardzo jest zatrudniony, prosi mię przeto, bym przyszedł doń na wieczór, „jeśli nic lepszego nie mam do roboty”.

Wsiadłem tedy do powozu, kazać się wieźć do księcia Sułkowskiego, którego właśnie mianowano posłem na dworze Ludwika XV. Książę był najstarszy z pomiędzy czterech braci; miał on niepospolity umysł i pełen był przeróżnych projektów; wszystkie one jednak były w guście abbé de St. Pierre.

Książę, przeczytawszy mój list, oświadczył, że ma mi wiele do powiedzenia; ponieważ jednak musi wyjść, uczyniłbym mu wielką przyjemność, przychodząc do niego o godzinie czwartej na obiad. Przyrzekłem mu. Mój łokaj powiedział

mi, że w teatrze odbywa się generalna próba nowej opery, na którą każdy ma wstęp wolny. Kazałem się tedy zawieźć i przepędziłem tam trzy godziny; z pośród obecnych nie znałem nikogo i nikt mnie nie znał. Znalazłem, że artystki są ładne, szczególnie zaś Catai, chociaż o tańcu nie miała pojęcia. Mimo tego zyskała ogólny poklask, zwłaszcza u posła rosyjskiego ks. Repnina, który używał takiego tonu, jak gdyby był władcą w Polsce.

Ks. Sułkowski zatrzymał mię przy stole całe cztery godziny, badając moją wiedzę we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem tych, gdzie istotnie coś wiedziałem. Silną jego stroną była polityka i nauka o handlu, a ponieważ zmiarkował, że ja się na tem ~~nie~~ nie znam, promieniał i powziął ku mnie wielką skłonność; jak sądzę, dlatego właśnie, że widział we mnie tylko człowieka, który go podziwia.

JAK POZNAŁEM KRÓLA POLSKIEGO?

„Ponieważ nie miałem nic do roboty“ — zwrot, który wszyscy magnaci polscy nieustannie mieli na ustach, — poszedłem około dziewiątej godziny do księcia Adama, który wymienił zgromadzonemu u siebie towarzystwu moje nazwisko, a następnie przedstawił mi wszystkich obecnych. Byli tam: Jego Przewielebność książę-biskup war-

miński, Krasicki; wielki pisarz koronny, Rzewuski, którego widziałem w Petersburgu, przyjaciel zmarłej niedawno przedtem na ospę Langlade; wojewoda wileński, Ogiński, generał Ronikier i jeszcze dwu panów, których przytrudnych nazwisk nie mogłem zapamiętać. Ostatnią osobą, jaką mi wymienił, była żona księcia, która wydała mi się bardzo piękną. W kilka minut potem wszedł urodziwy kawaler, na którego widok wszyscy z miejsc powstali. Książę Adam wymówił moje nazwisko, zaczęm zwrócił się do mnie i rzekł zimno: „To król“.

Ten zwyczaj sprowadzania zwykłego cudzoziemca razem z władcą, nie miał w sobie zaprawdę nic onieśmielającego, albowiem majestat suwerena nie występował w olśniewającym blasku; niemniej, było to dla mnie niespodzianką i zauważyłem, że zbyt wielka prostota równie może wyprowadzić z równowagi, jak nadmierna wspaniałość. Myśl, że książę mógłby się bawić moim kosztem, odsunąłem z miejsca. Postąpiłem dwa kroki naprzód i gdy miałem już ugiąć kolana, Jego Królewska Mość podał mi z ujmującym wdziękiem rękę do ucałowania. Gdy chciał mię zagadnąć, podał mu książę Adam list pastora anglikańskiego, którego również znał bardzo dobrze. Król począł czytać stojąc; następnie pytał mię wiele o carową i o najwybitniejsze osobistości na dworze; interesowały go widocznie niepomierne detale, których mógł

się odemnie dowiedzieć, a których mu nie skąpiłem.

Gdy podano do stołu, król, nie przerywając rozmowy, udał się ze mną do sali jadalnej i wskazał mi miejsce po swej prawej ręce. Jedli wszyscy, wyjąwszy króla, który, jak się zdaje, nie miał apetytu i mnie, któremu zapewne nie wpadłoby na myśl mieć apetyt, nawet, gdybym nie był przepędził czterech godzin przy stole u księcia Sułkowskiego. Albowiem schlebiała mi uwaga, z jaką całe towarzystwo śledziło moje słowa. Po kolacyi czynił król uwagi nad wszystkim, co mówiłem, kładąc we wszystkie swe słowa szczególny wdzięk. Zresztą Jego Królewska Mość wyrażał się w najwytworniejszy sposób, ale zupełnie niewyszukanie. Na pożegnanie powiedział mi, że będzie mię zawsze najchętniej widział na swym dworze, a książę Adam oświadczył ze swej strony, że jeśli pragnę być prezentowany jego ojcu, mam się zgłosić do księcia następnego ranka o jedenastej.

Król polski był średniego wzrostu, ale bardzo pięknej budowy. Oblicze jego było pełne wdzięku, dowcipu i wyrazu. Był nieco krótkowidzący, a gdy zamilkł, na rysach jego osiadała melancholia; natomiast, gdy mówił, ożywiał się i błyszczał wymową. Miał również dar zaprawiania wymowy wykwinnym dowcipem.

Zadowolony z tego początku, wróciłem na mą gospodę, gdzie znalazłem Campioniego przy stole, w gronie licznych gości obojga płci. Zaba-

wiwszy z nimi z ciekawości pół godziny, poszedłem spać.

Następnego dnia o jedenastej poznałem tego niezwykłego człowieka, wspaniałego wojewodę ruskiego, księcia Augusta Czartoryskiego. Dostojny pan stał w rannym stroju, pośród grona szlachty, odzianej w polski ubiór narodowy i wysokie buty; nosili oni długie wąsy, głowy ich zaś były odkryte i zupełnie ogolone. Księżę rozmawiał z każdym z nich tonem przyjaznym, wszelako pełnym powagi. Skoro syn jego, Adam, wymienił moje nazwisko, rozjaśniła mu się twarz i przyjął mię w sposób pełen godności i życzliwie. Nie onieśmiał, ale i nie dopuszczał do poufności; to sprawiało, że mógł dokładnie obserwować człowieka, którego pragnął poznać. Dowiedziawszy się, że w Rosyi szukałem jeno rozrywki i że przedstawiałem z towarzystwem dworskiem, zrozumiał, że do Polski przybywam w tym samym zamiarze i powiedział, że da mi sposobność, bym poznał cały wytworny świat. Dodał: a ponieważ wiedzie kawalerski tryb życia, w zupełnem odosobnieniu, sprawiłbym mu przyjemność swem towarzystwem przy stole rano i wieczór, w razie, gdyby mię gdzieindziej nie zaproszono. Schroniwszy się za parawan, kazał się ubierać, poczem ukazał się w mundurze swego pułku, według francuskiej mody, w długiej blond peruce z harcopem, z dużymi puklami na skroniach, w stroju z czasów króla Augusta III. Skłonił się wszystkim obecnym i udał

się na swe pokoje, gdzie mieszkała wojewodzina, jego małżonka.

Znajdowała się ona w rekonwalescencji po chorobie, której byłaby padła ofiarą, gdyby nie zręczność doktora Reimanna, ucznia wielkiego Boerhave. Pani ta pochodziła z wygasłej w międzyczasie rodziny Denhofów, z której, jako ostatnia dziedziczka, wniosła wojewodzie ogromną fortunę. Zaślubiając ją, wystąpił książę z Zakonu maltańskiego, a zdobył ją w konnym pojedynku na pistolety. Dama dała słowo, jako odda rękę zwycięzcy, a książę miał szczęście położyć rywala trupem. Z tego małżeństwa był książę Adam i księżniczka, która obecnie owdowiała i znana jest pod mianem Lubomirskiej; czasu jej małżeństwa, zwano ją strażnikową, od tytułu, jakiego używał mąż jej w wojsku królewskim.

Książę wojewoda ziem ruskich i brat jego, wielki kanclerz litewski sprowadzili pierwsze niepokoje na Polskę. Obaj bracia byli niezadowoleni z powodu małego uważania, jakim darzono ich na dworze; bo król August II. czynił tylko to, czego życzył sobie jego faworyt i pierwszy minister Brühl. Stanęli oni przeto na czele spisku, mającego usunąć ówczesnego króla, a osadzić na tronie pod opieką Rosyi — młodzieńca, który był członkiem poselstwa polskiego w Petersburgu i zdołał zjednać sobie łaski wielkiej księżnej Katarzyny, która niebawem została carową.

Przyszedłszy na obiad do wojewody ruskiego,

ujrzałem trzy stoły, każdy na trzydzieści nakryć, a objaśniono mi, że na tę liczbę osób nakrywa się codziennie. Blask dworu zbladł wobec przepychu wojewody. Książę Adam powiedział do mnie: „Panie kawalerze, u stołu mego ojca znajdzie się zawsze nakrycie dla ciebie“.

To wyróżnienie pochlebiało mi. Tegoż samego dnia zaprezentował mi książę siostrze swej, księżniczce wielkiej urody, tudzież różnym wojewodom i starostom, a iż nie omieszkalem złożyć wizyty wszystkim tym dostojnikom, przeto w niespełna dwa tygodnie znano mię we wszystkich wielkich domach i wszędzie przyjmowano z wielką gościnnością.

Ponieważ trzos mój nie był na tyle zasobny, bym się mógł wdawać z graczami polskimi, albo wejść w czułą komitywę z którąś z piękności teatralnych, schroniłem się do biblioteki biskupa kijowskiego, Załuskiego, który szczególną skłonność powziął ku mojej osobie. Przepędzałem u niego wszystkie prawie przedpołudnia i od tego to prąta dostałem autentyczne dokumenty o wszystkich intrygach, knowanych, celem obalenia dawnego ustroju polskiego.

Życie, które wiodłem, było tedy wielce jednostajne, wszelako było to życie człowieka honoru i zawsze wspominam sobie ten czas z uczuciem zadowolenia. Popołudnia spędzałem u wojewody ruskiego, grając z nim w *tre sette*, włoską grę w karty, którą bardzo lubił, a w którą ja dosyć

dobrze grałem, tak, że zawsze bardzo był zadowolony, gdy mógł przegrać ze mną jedną partycję.

Mimo rozsądnego trybu życia i oszczędności, znalazłem się w trzy miesiące po przyjeździe w długach, a niestety nie mogłem liczyć na żadną pomoc w gotówce. Z Wenecyi przysyłano mi miesięcznie pięćdziesiąt dukatów; to nie wystarczało mi jednak, albowiem wydatki na powozy, mieszkanie, służbę i nieodzowne przyzwoite ubranie zbyt były wysokie. Tak tedy znowu znalazłem się w potrzebie, nie chciałem jednak nikomu odkryć swego położenia. Miałem w tem słuszość; bo człowiek, który, znajdując się w potrzebie, prosi bogacza o pomoc, traci jego szacunek, gdy wsparcie otrzyma, a zyskuje sobie jego wzgardę, gdy mu tego wsparcia odmówią. Wszelako los starał się o mnie, a nigdy mię jeszcze nie opuścił.

Pani Schmidt, której król z pewnych względów wyznaczył mieszkanie na zamku, zaprosiła mię na wieczerzę, uprzedzając, że król będzie obecny. Udałem się tam i z przyjemnością ujrzałem biskupa Krasickiego, księdza Guigiotti i dwóch, czy trzech jeszcze panów, mających interes dla literatury włoskiej. Król, którego w towarzystwie nigdy nie widziałem w złym humorze, a który odznaczał się wielką znajomością wszystkich literatur, skierował rozmowę na anegdoty o starych pisarzach rzymskich, cytując przytem rękopisy scholiastów, które Jego Królewska Mość zapewne sam wymyślał, a którymi wszelako zamykał mi

usta. Wszyscy brali udział w rozmowie. Ja tylko jeden byłem w złym humorze. Ponieważ zgola nie jadłem obiadu, pochłaniałem potrawy jak tygrys, dając tylko monosylabowe odpowiedzi, gdy grzeczność koniecznie już tego wymagała. Rozmowa zesła na Horacego; każdy cytował jedno, albo dwa zdania i wyrażał swój sąd o głębokiej filozofii wielkiego racjonalisty. Nakoniec ksiądz Guigiotti zmusił mię do mówienia, oświadczając, że nie wolno mi milczeć, gdybym przypadkiem był innego zdania.

— Jeżeli ksiądz — odparłem — bierze moje milczenie za zgodę na to, że słusznie przedkładaś przytoczony przez siebie cytat z Horacego nad inne, pozwolę sobie powiedzieć księdzu, że znam o wiele ważniejsze, co się tyczy polityki dworskiej, albowiem zdanie *nec cum venari volet poemata panges*, które ksiądz znajdujesz tak znakomitem, jest w gruncie rzeczy satyrą i to bynajmniej nie delikatną.

— „Nielatwa to rzecz połączyć delikatność ze satyrą.”

— Ale nie dla Horacego, który głównie z tego powodu podobał się Augustowi. Świadczy to na korzyść tego władcy, który, jako protektor poetów i uczonych, uczynił imię swoje nieśmiertelnem, oraz sprawił, iż niektóre głowy koronowane mienią się jego naśladowcami, przyjmując jego imię, niekiedy nawet w przebraniu.

Król, który, wstępując na tron, przybrał imię

Augusta, spoważniał i nie mógł się powstrzymać, by mi nie przerwać.

— Któż to są — spytał — ci władcy, którzy imię Augusta przyjęli w przebraniu?

— Pierwszym jest król szwedzki; nazwał się Gustawem, a to jest anagram od słowa August.

— To zabawne. Ta anegdota obstoi za wszystkim nasze. Skądś ją Waszmość wziął?

— Znalazłem ją w Wolfenbüttel, w manuskrypcie pewnego profesora z Upsali.

Król uśmieł się serdecznie, przypomniawszy sobie, że na początku uczył również cytował jakiś manuskrypt. Jednakże wkrótce znowu spoważniał i spytał mię: „W którym miejscu u Horacego i to nie takim, które znajduje się tylko w manuskrypcie, ale znane jest powszechnie, znajdujesz Waszmość ową godną uwagi delikatność, zdolną satyrę jego szczególnie czynić przyjemną?

— Najjaśniejszy Panie, mógłbym wiele miejsc przytoczyć, poprzestanę jednak na tem jednym, które znajduje bardzo pięknem, a nadewszystko bardzo skromnem. Mówi Horacy:

*Coram rege sua de paupertate tacentes
plus quam poscentes facient.*

„To prawda“ — odparł król z uśmiechem.

Pani Schmidt, która nie rozumiała zgoła po łacinie, a po matce swej i po prababce Ewie odziedziczyła w spadku ciekawość, prosiła biskupa, by jej to miejsce wyłożył. Ów rzekł:

„Kto przed królem nie mówi o swych po-

trzebach, uzyska więcej, niż inni, którzy o tem mówią“.

Dama powiedziała, że uwaga ta nie zdaje się jej bynajmniej satyryczną.

Powiedziawszy już tyle, musiałem milczeć; jednakże król skierował rozmowę na Ariosta i oświadczył mi, że życzy sobie, byśmy go razem czytali. Pochyliłem głowę i odpowiedziałem z Horacym: „*Tempora quaeram*“.

Gdy następnego dnia szlachetny i nieszczęśliwy Stanisław August przyszedł na mszę, podał mi rękę do ucałowania i wręczył mi rulon ze słowami: „Podziękuj pan tylko Horacemu, a nie mów o tem nikomu“.

Rulon zawierał dwieście dukatów polskich, pośpieszyłem więc zapłacać swoje długi. Od tego dnia każdego prawie rana udawałem się do ubieralni królewskiej, gdzie w czasie trefienia włosów chętnie rozmawiał z panami, którzy przychodzili tam wyłącznie po to, aby go zabawiać. Nigdy jednak nie było o tem mowy, ażeby czytać Ariosta. Król rozumiał po włosku, za mało wszakże, ażeby mówić, a cóż dopiero mózdz znaleźć upodobanie w wielkim poecie.

Gdy myślę o tym dobrym władcy, o wysokich zaletach, jakimi był obdarzony, zdaje mi się rzeczą niepodobną do prawdy, iż jako król popełnił tyle błędów. To, że przeżył koniec swej ojczyzny, było może z tych błędów najmniejszym. Skoro nie znalazł przyjaciela, któryby mu śmierć zadał,

uwazam, że powinien był sam się zabić. Wszelako nie trzeba mu było aż szukać przyjaciela, aby mu tę zgubną przysługę wyświadczył; trzeba mu było tylko iść w ślady nieśmiertelnego Kościuszki, a Moskalowi byłoby to już wystarczyło, by go wysłać do nieśmiertelności.

HISTORIA O DWÓCH TANCERKACH.

Karnawał był bardzo świetny. Zdało się, że przyjezdni, ze wszystkich krańców Europy zeszli się tutaj po to tylko, by ujrzeć szczęśliwego człowieka, który, tak zupełnie wbrew oczekiwaniu, tylko dzięki kaprysowi losu, został królem. Lecz kto go zobaczył i rozmawiał z nim, przyznawał od razu, że zadaje kłam twierdzeniu, jakby fortuna zawsze była ślepa i głucha. Może jednak za daleko szedł król w gorliwości, by dać się oglądać przybyłym. Zauważyłem, że tracił spokój, ilekroć dowiadywał się o pobycie jakiegoś cudzoziemca w Warszawie, którego jeszcze nie widział. Zresztą nikt nie potrzebował być mu prezentowany; albowiem dwór jego, podobnie, jak wszystkie dwory, stał otworem dla całego świata, gdy zaś król spostrzegł gościa o nieznanem obliczu, przemawiał do niego pierwszy.

Pod koniec stycznia miałem zdarzenie, o którym tu opowiadam, cokolwiekby kto miał o mnie pomyśleć. Szło tu o sen, a niedawno na-

innem miejscu przyznałem się, że nigdy nie mogłem się doszczętnie wyzbyć się przesądów.

Śniło mi się, że byłem na uczcie w doborowym gronie, a jeden z gości rzucił mi flaszką w głowę; krew trysnęła obficie; przeszyłem napastnika na wylot szpadą i wsiałem do powozu, żeby uciec. I oto, co się zdarzyło:

Ks. Karol kurlandzki przybył do Warszawy i nakłonił mnie do wzięcia udziału w obiedzie u hr. Ponińskiego, ówczesnego ochmistrza koronnego. (Jest to ten sam Poniński, który, podniesiony do godności książęcej, później został obłożony banicyą i obwołany infamisem).

Utrzymywał on dom na wspaniałej stopie, i miał bardzo miłą rodzinę. Nigdy nie złożyłem mu wizyty, ponieważ źle był widziany u króla i jego krewnych.

W czasie jedzenia, pękła butelka szampana, a odłamek szkła uderzył mnie ponad okiem, przecinając żyłę. Krew ściekała mi po twarzy i sukniach, plamiąc nawet obrus. Wszyscy goście zerwali się. Szybko zawiązują mi czoło, zmieniają obrus i uczta trwa dalej. Prawda, że dziwiłem się spełnieniu mojego snu, jednakże winszowałem sobie z tego powodu, iż rzeczywistość odbiegła odeń w najgłówniejszych punktach. Czytelnik zobaczy, że w kilka miesięcy później okoliczności te przecież istotnie się spełniły.

Tancerka Binetti, którą widziałem w Londynie, przybyła do Warszawy z mężem i z tancmistrem

Pic'iem. Przybywali oni z Wiednia, a jechali do Petersburga. Mieli list polecający do brata królewskiego, ks. Poniatowskiego, który był generałem w służbie austriackiej, podówczas jednak bawił w Warszawie. Dowiedziałem się tego wszystkiego w dzień jej przyjazdu, będąc wraz z królem u księcia wojewody. Król oświadczył, że chce zobaczyć jej taniec i że ją nakłoni do pozostania przez ośm dni w Warszawie za honorarium tysiąca dukatów.

Niecierpliwiłem się, by zobaczyć Binetti i być pierwszym, który przyniesie jej tę dobrą wiadomość; w tym celu udałem się do niej następnego już ranka, o bardzo wczesnej godzinie. Była zdumiona, widząc mnie w Warszawie, a jeszcze bardziej dziwiła się nowinie o tysiącu dukatów, które fortuna sypnęła jej na kolana. Zawołała Pica, który zdawał się wątpić o prawdzie mych słów; podczas tego jednak, gdyśmy o tem rozmawiali, przybył ks. Poniatowski we własnej osobie, by donieść im o życzeniu J. K. Mości; propozycja została przyjęta. W trzy dni potem zaaranżował Pic balet kostyumowy; dekoracye, orkiestra i personal baletu, wszystko było na czas urządzone, jako, że Tomatis utrzymał całą rzecz w wielkim stylu, by przypodobać się swemu hojnemu panu. Binetti i jej towarzysz, podobali się tak bardzo, że zawarto z nimi świetny kontrakt na cały rok. Z tego powodu jednak rozgniewała się bardzo Catai, albowiem Binetti przyćmiewała ją nietylko

talentami, ale nawet popełniła o wiele większy nietakt, odbierając jej wielbicieli. Za jej namową nękał Tomatis Binetti takimi przykrościami, że obie tancerki stały się zawziętymi nieprzyjaciółkami.

Jeszcze nie minęło dziesięć, czy dwanaście dni, a już miała Binetti wykwitnie urządzony dom, skromną, ale ładną zastawę srebrną, piwnicę pełną najwyszukańszych win, doskonałego kucharza i liczne grono wielbicieli, a pośród nich stolnika Moszyńskiego i przyjaciela króla, podstolego koronnego Branickiego, którego pokoje na zamku przytykały wprost do komnat królewskich.

Parter dzielił się na dwa stronnictwa, jako, że Catai nie myślała wcale zejść z pola rywalce swej, Binetti, jakkolwiek talentem nie mogła się z nią wcale równać. Tańczyła ona w pierwszym balecie, a Binetti w drugim. Ci, którzy splacili haracz, oklaskując pierwszą, milczeli, skoro ukazała się druga i naodwrot. Zobowiązania moje wobec Binetti są znane; ale miałem też zobowiązania względem Catai, za którą stała cała familia Czartoryskich i jej stronnicy: między innymi strażnik koronny, książę Lubomirski, który przy wszelkiej okazji darzył mnie swem zaufaniem: to był najdosłojniejszy z jej wielbicieli. Rzecz jasna, że nie mogłem opuścić z powodu Binetti obozu moich przyjaciół, nie narażając się na ich niełaske. Binetti czyniła mi z tego powodu gorzkie wyrzuty; wyjawilem jej otwarcie swoje pobudki i przyznała

mi słusność. Zarazem jednak żądała odemnie, bym nigdy więcej nie przychodził do teatru. Bliższych wyjaśnień odmówiwszy mi, odpowiedziała tylko tyle, że gotuje zemstę Tomatisowi, by go ukarać za jego bezczelność. Nazwała mnie *Doyen* wszystkich swych znajomych; zresztą kochałem ją jeszcze, a nie zważałem wcale na Catai, która wprawdzie piękniejsza była od Binetti, ale cierpiała na padaczkę.

Pierwsza zemsta na Tomatisie polegała na tem: w orszaku wielbicieli Binetti wiódł prym Branicki, podstoli koronny, kawaler orderu Białego Orła, pułkownik regimentu ułanów. Służył on sześć lat we Francyi, był jeszcze młody, urodziwej twarzy i żył w przyjaźni z królem. Niewątpliwie zwierzyła mu się tancerka ze swych trosk i, jak się zdaje, żądała od niego, by ją pomścił na człowieku, który, będąc dyrektorem teatru, nie pomija żadnej sposobności, by ją dręczyć i drażnić. Graf Branicki obiecał jej zapewne, że zemsty dokona, i że postara się o zręczność, o ileby ta nie nadarzyła się sama w krótkim czasie. Jestto obrót, jaki zwykły przybierać wszystkie sprawy tego rodzaju i dlatego myślę, że przypuszczenie moje jest trafne. Wszelako osobliwy i naprawdę ekstrasordynaryjny był sposób, jakim posłużył się ten Polak. Dwudziestego lutego był Branicki na operze. Wbrew swemu zwyczajowi, udał się po drugim akcie do pokoju, w którym rozbierała się Catai i począł umizgać się do niej w obecności Tomatisa.

Catai i Tomatis sądzili, że pułkownik poróżnił się z jej rywalką i że przyszedł po to tylko, by dopełnić miary jej tryumfu. Jakkolwiek nie wiele sobie z tego robiła, widząc go w liczbie swych wielbicieli, traktowała go z widocznem wyróżnieniem, wiedziała bowiem, że nie wolno jej gardzić jego hołdami, nie narażając się na wielkie niebezpieczeństwo.

Skoro Catai skończyła się przebierać, przedstawienie dobiegło już końca. Podstoli podał jej z galanterią ramię, chcąc ją poprowadzić do powozu, który stał przed bramą, a Tomatis poszedł za nimi. Ja znalazłem się również u bramy, ponieważ czekałem na powóz. Przyszła Catai, otworzono drzwiczki jej karety, ona wsiadła, Branicki za nią, mówiąc do wielce zdziwionego Tomatisa, by wsiadł do swojej berlinki i jechał za nimi. Zirytowany, odpowiedział mu Tomatis, że będzie jechał tylko we własnym powozie i prosi pana pułkownika, ażeby raczył wysiąść. Branicki, nie troszcząc się o niego, krzyknął na woźnicę, ażeby ruszał. Natomiast Tomatis zabronił mu ruszyć się z miejsca, a ponieważ woźnica naturalnie słuchał swego pana, piękny podstoli widział się zmuszonym wysiąść; dał jednak rozkaz swemu węgrowi, ażeby dyrektorowi wymierzył policzek, a rozkaz ten został wykonany z taką szybkością i siłą, że biedny Tomatis nie miał nawet czasu, by sobie uprzytomnić, że jest przy szpadzie, którą może pchnąć swego przeciwnika

za niegodziwą zniewagę. Wsiadł do swego pojazdu i odjechał. Jednakże wieczór nie przyszedł na wieczerzę, może dlatego, że musiał wpierw strawić swój policzek. Właściwie miałem wieczerzać u niego; ale bywszy świadkiem tej okropnej sceny, nie miałem już odwagi pójść tam. Smutny i pogrążony w myślach, pojechałem do domu; miałem nieledwie uczucie, jakgdyby mnie dostała się połowa tego zelżywego policzka. Zachodziłem w głowę, czy ta rzecz była zrobiona w porozumieniu z Binetti; to jednak nie wydało mi się możliwe, bo ani ona, ani Branicki nie mogli przypuszczać, że Tomatis okaże się takim gburem i tchórzem.

Niebawem czytelnik obaczy, jakie tragiczne zdarzenie wynikło z tej sceny.

Ochłonawszy nieco, jałem rozmyślać o tej niemiłej historii i zauważyłem, że Branicki nie przekroczył przepisów galanterii, wsiadając do powozu pana Tomatisa. Prawda, że postąpił bez ceremonii, ale zachował się przecież poprostu tak, jakgdyby był przyjacielem Tomatisa. Pułkownik mógł być przygotowany na wybuch zazdrości u Włocha, ale nie na obrażający opór, jaki mu stawiał dyrektor; bo gdyby to był przewidział, byłby się mógł narazić na afront ponownego opuszczenia powozu tylko w tym razie, gdyby się przedtem był zdecydował, że pchnie Tomatisa szablą. Zdawało mi się przeto, że w gruncie rzeczy zachował się bardzo wstrze-

mieżliwie, każąc swemu przeciwnikowi tylko wymierzyć policzek. Policzek jest w każdym razie rzeczą nieprzyjemną, ale nie taką złą jak śmierć. Gdyby Branicki był go zabił, przypuszczanoby bez ochyby, że go zamordował; bo jakkolwiek Tomatis miał przy sobie szpadę, służba Polaka nie byłaby mu zostawiła tyle czasu, by mógł jej dobyć przeciwko jej panu. Mimo wszystko uważałem, że Tomatis powinien był próbować zabić służącego, choćby to miało grozić jego życiu. Na to trzeba było mniej odwagi, aniżeli jej okazał, zmuszając faworyta królewskiego do opuszczenia jego powozu. Zresztą mógł przypuszczać, że szlachcic polski weźmie sobie głęboko do serca zniewagę i powinien był się mieć na baczności wobec pierwszego odruchu mściwości. Miałem go za wytłumaczonego pod każdym względem, bo przy tego rodzaju niespodzianem zajściu, milknę najczęściej rozwaga.

Naturalnie następnego już dnia wieść o tem zdarzeniu obiegła całe miasto. Tomatis przez ośm dni pozostawał w domu i napróżno żądał satysfakcyi od króla i wszystkich swych protektorów. Monarcha nie wiedział zresztą w istocie, jakie mu dać zadośćuczynienie; albowiem Branicki utrzymywał, że odplacił tylko zniewagą za zniewagę. Odwiedziłem Tomatisa, a ten powiedział mi w zaufaniu, że mógłby już znaleźć sposoby, by się pomścić, ale toby go drogo kosztowało. Na obydwa spektakle wydał czterdzieści tysięcy dukatów.

a te pieniądze przepadłyby w razie jego zemsty ; bo wówczas musiałby kraj opuścić. Pocieszał się tylko jednym: tem mianowicie, że znakomite rody, z którymi łączyły go stosunki, odnosiły się doń z podwójną uprzejmością, otaczając go względami i że król, ilekroć go spotkał, wyróżniał go w sposób, rzucający się poprostu w oczy. Wszelako Binetti tryumfowała, a gdy ją po raz pierwszy ujrzałem, wyraziła mi drwiącemi słowy współczucie z powodu nieszczęścia, które dotknęło mego przyjaciela. Nudziła mnie, ale nie mogłem zgadnąć, że Branicki działał tylko za jej namową, zachowując się w ten sposób, a tem mniej mogłem przypuszczać, że jest ona dla mnie usposobiona nieprzyjaźnie. Zresztą, wiedząc to nawet z pewnością, byłbym się z tego śmiał ; bo jej rycerz nie mógł mi nic zrobić, ani po dobremu, ani po złemu. Nie odwiedzałem go nigdy i nigdy z nim nie mówiłem ; nie mieliśmy żadnej sposobności, aby się ze sobą zetknąć. W godzinach, w których zwykłem był odwiedzać Jego Królewską Mość, nie było go nigdy u króla, a gdy ten wieczerał u wojewody, Branicki nigdy mu nie towarzyszył. ponieważ w całym wogóle narodzie był nielubiany, Ten Branicki uchodził za kozaka, który dorobił się fortuny, a naprawdę nazywał się Branecki. Zostawszy faworytem i usłużnym przyjacielem króla, twierdził, że zwie się Branicki i że należy do rodziny słynnego hetmana tegoż nazwiska, który był jeszcze przy życiu. Ów jednakże nie

przyznawał się do tej parenteli, a na łożu śmierci rozkazał strzaskać swą tarczę herbową i pochować ją wraz z sobą, jako z ostatnią lato-roślą tego rodu. Jakkolwiek rzecz się miała — mój Branicki był duszą stronnictwa rosyjskiego, głównym filarem dyssydentów i wrogiem wszystkich, którzy nie chcieli ulegać wpływom wielkiej Katarzyny, ani cierpieć, by Rosya gwałciła dawny ustrój Polski. Król kochał go z dawnego nałogu i dlatego, że miał wobec niego szczególniejsze zobowiązania.

AWANTURA Z BRANICKIM.

Mój tryb życia był wzorowy: unikałem miłostek i kart i pracowałem dla króla, spodziewając się zostać jego tajnym sekretarzem. Księżnej wojewodzinie, która lubiła moje towarzystwo, świadczyłem tysiąc grzeczności, a z wojewodą grywałem w *Tre sette*.

Czwarty marca jest dniem św. Kazimierza, a przeto dniem imienin nadwornego mistrza ceremonii, starszego brata królewskiego; z tej to okazji, w wilię owego dnia, trzeciego marca, był wielki obiad u dworu, ja zaś miałem zaszczyt otrzymać nań zaproszenie. Po obiedzie zapytał mnie król, czy będę na teatrze. Dnia tego dawano po raz pierwszy polską komedję. Wszyscy interesowali się tym wypadkiem, ja tylko byłem zupełnie obojętny, nie rozumiejąc ani słowa po

polsku. Powiedziałem to królowi, on jednak odparł: „Nie szkodzi — przyjdź pan do mojej loży”.

Zaproszenie to zbyt mi pochlebiało, bym miał odmówić. Byłem tedy posłuszny i stanąłem za jego krzesłem. Po drugim akcie dano balet, na którym taniec Włoszki z Piemontu, Casacci, tak przypadł królowi do gustu, że Jego Królewska Mość kiaskał w dłonie, co było oznaką osobliwszej łaski.

Tancerkę ową znałem tylko z widzenia, bo nigdy z nią nie mówiłem. Nie była ona bez zaślug. Wyróżnianym jej wielbicielem był graf Poniński, u którego czasem jadałem. Za każdym razem wyrzucał mi, że odwiedzam wszystkie tancerki, oprócz Casacci, u której przecie tak jest przyjemnie. Te okoliczności skłoniły mię, iż po balecie opuściłem lożę królewską, by powinszować Casacci, iż król oddał sprawiedliwość jej talentom. Przechodząc mimo garderoby Binetti, ujrzałem drzwi otwarte i zabawiłem tam przez chwilę. Wkrótce potem wszedł graf Branicki, ja zaś oddaliłem się z ukłonem. Zaczem udałem się do Casacci, bardzo zdziwionej, że odwiedzam ją po raz pierwszy; wyrzucała mi to w najmiłszy sposób, na co odpowiadałem komplementami. Potem uściskawszy ją, przyrzekłem, że ją odwiedzę.

W chwili, gdy trzymałem ją w objęciu, wszedł Branicki, którego przed kilku minutami zostawiłem w garderobie u jego bogdanki. Jasne było, że szedł za mną. Ale po co? Oczywiście, by szukać

ze mną zwady, bo nie mógł mnie znosić. Towarzyszył mu podpułkownik Bniński. Skoro się tylko zjawił, podniosłem się, trochę z grzeczności, a trochę dlatego, że i tak chciałem odejść; zatrzymał mnie wszakże, mówiąc:

— Jak widzę, wszedłem tu waszmości bardzo nie w porę; widzi mi się, że kochasz tę damę?

— Istotnie, czyliż Ekscelencya nie znajduje jej czarującą?

— Owszem, jest czarująca ponad wszelką miarę; więcej nawet: kocham ją, a nie zwykłem cierpieć rywali.

— Skorom się o tem dowiedział, panie hrabio, nie będę jej już kochał.

— Ustępujesz mi tedy waszmość?

— Z miłą chęcią; tak dostojnemu panu każdy musi ustąpić.

— To pięknie; wszakże ten, co drugiemu ustępuje, zda mi się być tchórzem.

— Ta uwaga jest trochę za mocna!

To mówiąc, zmierzyłem go dumnym wzrokiem i położyłem dłoń na rękojeści szpady. Trzech, czy czterech oficerów było świadkami owego zajścia.

Nie uszedłem jeszcze czterech kroków, gdy usłyszałem za sobą wołanie, że jestem weneckim tchórzem. Mimo, że krew uderzyła mi do głowy, opanowałem się i odwróciwszy się, rzekłem doń spokojnie i dobitnie, że poza obrębem teatru, łatwo może wenecki tchórz położyć trupem wale-

cznego Polaka. Nie czekając odpowiedzi, zeszedłem na dół po szerokich schodach, wiodących do głównego wyjścia z teatru.

Tam czekałem napróżno z kwadrans, w nadziei, że on wyjdzie. Chciałem go zmusić, by zaraz dobył szpady, bo wszakże mnie nie powstrzymywała tak, jak Tomatisa, trwoga przed utratą czterdziestu tysięcy dukatów.

Skoro widziałem, że nie nadchodzi, a z zimna do cna skostniałem, przywołałem mój powóz i kazałem się wieźć do wojewody ruskiego, bo król powiedział mi, że będzie tam na kolacyi. Późna pora i zimno, wróciły mi potrosze spokój i siedząc w powozie, winszowałem sam sobie, że nie dałem się unieść pierwszemu wzburzeniu i że już w pokoju tancerki nie dobyłem szpady; byłem nawet rad, że Branicki nie nadszedł, gdy nań czekałem; wobec tego, że miał z sobą Bnińskiego przy szabli, groziło mi, że mogą mnie zamordować.

Polacy są wprawdzie dziś na ogół dosyć grzeczni, jednakże tkwi w nich jeszcze sporo ich dawnej natury. Wciąż jeszcze są Sarmatami, czy Dakami przy stole, na wojnie i w szaleństwie swej tak zwanej przyjaźni, która często jest tylko wstrętą tyranią. Nie mogą pojąć, że wystarcza, jeśli jeden człowiek da rady drugiemu i że przeto nie godzi się napadać gromadnie na kogoś, kto jest sam tylko i zarzynać go.

Pragnąłem bronić swego honoru, równocześnie jednak, ile możliwości, mieć na oku interes, czyli, jak to mówią, trzymać dwie sroki za ogon. W tej myśli udałem się do pałacu wojewody Czartoryskiego. Byłem zdecydowany opowiedzieć wszystko królowi i nakłonić go, by zmusił swego faworyta do dania mi satysfakcyi. Wojewoda, ujrzawszy mnie, jął mi wyrzucać w przyjacielskim tonie, że dałem na siebie czekać: poczem siedliśmy do naszej partyi *tre sette*. Byłem jego partnerem i myliłem się ciągle. Gdyśmy drugą partyę przegrali, spytał mnie:

— Gdzieś waszmość podział dziś swoją głowę?

— O cztery mile stąd, Ekscelencyo.

— Gdy się z uczciwymi ludźmi gra w *tre sette*, trzeba mieć głowę przy grze, a nie o cztery mile.

Z temi słowy rzucił książkę karty na stół i poszedł się przechadzać po sali. Byłem nieco stropiony, opanowałem się wszakże, wstałem i poszedłem do kominka. Według moich kalkulacyi król powinien był nadejść lada chwila; wyczekawszy jednak pół godziny, zobaczyłem kamerdynera, który przyszedł z wiadomością, że Jego Królewska Mość nie będzie dziś miał przyjemności widzenia się z wojewodą.

Ta wiadomość ukłuła mnie w serce, wszelako nie dałem po sobie poznać przykrości. Gdy dano do stołu, siadłem na zwykłym miejscu, po lewej ręce wojewody, który się na mnie dąsał. Było

nas ośmnastu przy stole, ja zaś, wbrew swemu zwyczajowi, nie jadłem. W czasie posiłku przyszedł książę Kasper Lubomirski, generał w służbie rosyjskiej i siadł przypadkiem u końca stołu, naprzeciw mnie. Skoro mnie tylko zauważył, wyraził głośno swą kompasyą z powodu owego zajścia:

— Żal mi waćpana — odezwał się — ale Branicki był pijany, a pijany nie może człowieka honorowego znieważyć.

— Co się stało? Co się stało? — to pytanie obiegało cały stół.

Milczałem. Pytano Lubomirskiego, ale generał odparł, że skoro ja milczę i on jest obowiązany do dyskrety.

Wówczas zabrał głos wojewoda i ozwał się do mnie swym zwykłym, serdecznym tonem:

— Jaką przygodę miałeś wać z Branickimi?

— Zaraz po jedzeniu opowiem W. Panu wszystko szczegółowo na stronie.

Rozmowa zeszła na materye obojętne, a skoro tylko powstaliśmy od stołu, książę podszedł ku małym drzwiom, któremi zazwyczaj opuszczał jadalnię. Poszedłem za nim i opowiedziałem mu wszystko z całą dokładnością. Na to westchnął, zrobił minę, wyrażającą ubolewanie i rzekł:

— Nie dziwię się waćpanu, że miałeś głowę o cztery mile stąd.

— Czy mógłbym się ośmielić prosić Eksce-lencyę o radę?

— W takich sprawach nie daję żadnej rady; tu trzeba zrobić wszystko, albo nic.

W tych mądrych słowach była wyraźna rada.

Wojewoda uściskał mi dłoń i wyszedł. Włożyłem futro i pojechałem do domu i dzięki swej zdrowej naturze, spałem głębokim snem przez sześć godzin. Obudziwszy się, usiadłem na łóżku, i rozmyślałem co czynić. Słowa „wszystko albo nic”, chodziły mi po głowie. Owo „nic” zarzuciłem natychmiast, a decydując się na „wszystko”, nie widziałem innej alternatywy, jak bić się na życie i śmierć, albo w przypadku, gdyby Branicki nie zgodził się na pojedynek, zabić go, nawet gdyby mimo wszelkich środków ostrożności, przyszło mi to odpokutować na szafocie.

Powziąwszy decyzję, musiałem teraz zaproponować mu pojedynek, który powinien być się odbyć o cztery mile od Warszawy, poza obrębem województwa, bo w jego obrębie karano pojedynki śmiercią. Napisałem ten oto list z żądaniem satysfakcyi:

Warszawa 5. marca 1766.

Monsieur!

Ekscelencya znieważył mię lekkomyślnie wczorajszego wieczora w teatrze, nie mając przecież ani prawa, ani przyczyny do takiego traktowania mnie. Wskutek tego suponuję, że mię Waszmość nienawidzi i dlatego pragnie wymazać mię z księgi żyjących. Ja pragnę i mogę WPanu dać satysfakcyę. Niechże Pan graf raczy tedy przy-

jechać po mnie i zawieźć mię tam, gdzieby zwyczajstwo nademną nie pociągało dla Waszmości. Pana konfliktu z ustawą polską i gdziebym ja sam mógł korzystać z tegoż przywileju, jeśli mi Bóg dopomoże, że zabiję Waszą Ekscelencyę. Nie proponowałbym tego W Panu, gdybym nie wierzył w szlachetność Jego duszy.

Kreślę się, etc.

Kazałem słuzącemu zanieść ten list na godzinę przed brzaskiem dnia na zamek, gdzie Branicki mieszkał obok pokojów królewskich.

W pół godziny potem otrzymałem odpowiedź z wiadomością, że Branicki propozycyę przyjmuje.

Wielce uradowany, odpowiedziałem mu natychmiast, że przyjdę do niego nazajutrz o godzinie szóstej rano.

Natychmiast otrzymałem drugi list, w którym Podstoli donosił, że mogę wybrać miejsce i broń, ale że spór nasz w ciągu dnia musi być załatwiony.

W godzinę potem przyszedł do mnie Branicki we własnej osobie. Ludzi swych zostawił na dworze, a wszedłszy, rozkazał wyjść dwom, czy trzem ludziom, którzy ze mną rozmawiali. Zaryglował drzwi i siadł na łóżku. Nie wiedząc, co to ma znaczyć, chwyciłem za pistolety.

— Nie trudź się Waćpan! — powiedział — nie przyszedłem do Pana, by go zamordować, lecz by mu oznajmić, że przyjmuję jego

propozycję, że jednak, o ile rzecz idzie o pojedynek, nigdy nie odkładam go na następny dzień. Będziemy tedy albo dziś się bić, albo wcale nie.

— Dziś nie mogę. Dziś jest środa, dzień po-cztowy i muszę wykończyć coś, co mam królowi do posłania.

— Możesz to waćpan posłać później. Prawdopodobnie nie zginiesz; gdybyś jednak po-stradał życie, król przebaczy ci łatwo, zaręczam ci. Zresztą nieboszczyk nie dba o niczyje wyrzuty.

— Muszę sporządzić testament!

— Jeszcze i testament! Do dyabła! Boisz się tedy waćpan naprawdę, byś nie zginął! Porzuć tę trwogę: testament zrobisz dopiero za pięćdziesiąt lat.

— Cóż to jednak szkodzi Waszej Ekscelencyi poczekać do jutra?

— Nie chcę, by mnie wyprowadzono w pole.

— Nie potrzebujesz się tego waćpan obawiać, bym cię oszukał.

— Wierzę; ale tak waćpana, jako i mnie za-aresztują jeszcze dziś przed wieczorem, a to na rozkaz króla.

— To niemożliwe, chyba w tym razie, gdybyś go Pan graf o sprawie powiadomił.

— Śmiać mi się chce z waćpana. Wiem, jak się rzecz ma. Nie ma próżność mnie wyzwał. Dam ci satysfakcję — ale dziś, albo nigdy.

— Zgoda! Ten pojedynek zanadto mi leży na sercu, iżbym miał przyczyniać waszmości

pretekstu, jakby się zeń wywinąć. Przyjdź po mnie WPan, ale dopiero po obiedzie, bo muszę zebrać siły.

— Z przyjemnością. Co do mnie, wolę potem dobrą wieczerzę, aniżeli przedtem dobry obiad.

— To zależy od gustu.

— Masz waćpan słuszość. Ale jeszcze jedno: poco mi przysyłasz miarę swej szpady? Będę się bił na pistolety, bo na szpady nie biję się nigdy z nieznajomym.

— Co Pan graf rozumiesz przez nieznajomego? Bez obrazu w moim własnym domu, proszę! Mogę WPanu postawić w Warszawie dwudziestu świadków, że nie jestem mistrzem w robieniu bronią. Na pistolety nie będę się bił, a waszmość nie możesz mnie do tego zmusić, boś mi zostawił wolność w wyborze broni; list mam w rękę.

— Masz waszmość rację, biorąc mój list dosłownie; zanedto jesteś prawym, byś się nie chciał bić na pistolety, skoro cię zapewniam, że sprawisz mi tem przyjemność. Jest to wszakże najmniejsza przysługa, jaką mi Waść możesz wyświadczyć; bo najczęściej pierwszy strzał chybia, a gdybyśmy się wzajemnie chybili, przyrzekam ci, że będę bił się na szpady, jak długo zechcesz. Przystajesz?

— Podobą mi się, co WPan mówi — bo świadczy to jedynie o Jego dowcipie. Spełnię

życzenie W Pana, choć wbrew przekonaniu, bo pojedynek na pistolety uważam za barbarzyński. Przyjmuję tedy, wszelako pod następującymi kondycjami: W Pan przyniesie dwa pistolety, które nabite zostaną przy mnie, ja zaś będę miał wybór. Jeśli pierwszy strzał chybi, będziemy się bili na szpady i to albo dopóty, aż krew popłynie, albo na życie i śmierć, całkiem według woli waćpana. O trzeciej przyjedziesz po mnie waszmość i udamy się na miejsce, na którym nie będziemy z prawem w kolizyi.

— Wyśmienicie. Waćpan jesteś zachwycającym człowiekiem. Pozwól, że cię uściskam. Dasz mi słowo honoru, że nikomu nie powiesz ani słowa, bo aresztowaliby nas bez zwłoki.

— Jak waszmość może wątpić w moją dyskrecję? Uszedłbym przecież dziesięć mil, by osiągnąć zaszczyt, który mi chcesz zrobić!

— To dosyć. Do widzenia o trzeciej.

Skoro tylko waleczny, ale bezczelny graf oddalił się, spakowałem papiery, przeznaczone dla króla i opieczętowałem je. Zaczem kazałem wezwać tancmistrza Campioniego, do którego miałem zupełne zaufanie i rzekłem mu:

— Tę paczkę oddasz królowi, jeśli zginę. Zapewne zgadujesz, o co rzecz idzie, ale ja nie mogę o tem mówić. Wszelako zważ: jeśli komukolwiek piśniesz o tem słowo, nie masz większego wroga nademnie; bo ja byłbym shańbiony.

— Pojmuję cię zupełnie. Możesz się waszmość spuścić na mą dyskrecyę, a ja życzę ci z serca, abyś rzecz poprowadził do końca szczerliwie i z honorem. Pozwól sobie jednak udzielić przyjacielskiej rady. Nie oszczędzaj swego przeciwnika, choćby nim nawet był sam król; bo swoją dobroduszość możesz przepłacić życiem. Wiem to z doświadczenia.

— Nie zapomnę rady waćpana. Bądź zdrow.

SPOTKANIE.

Uściskaliśmy się i tancmistrz odszedł. Następnie zamówiłem sobie wykwinny obiad, bo nie chciałem na czczo zejść w królestwo Plutona. Campioni wrócił na obiad około pierwszej, a gdyśmy siedzieli przy wetach, przybyło do mnie dwóch młodych hrabiów ze swym ochmistrem Bertrandem, miłym i wykształconym Szwajcarem. Oni byli świadkami mojej wesołości i świetnego apetytu. O pół do trzeciej poprosiłem wszystkich obecnych, by mię zostawili samego, a o trzy na trzecią stanąłem przy oknie, by natychmiast zejść na dół, gdy ujrzę powóz podstolego Branickiego. Tenże przybył w poszóstnej karocy, z dwoma pacholkami na koniach, wiodących dwa luźne konie, tudzież z dwoma oficerami, adjutantem i dwoma ułanami. Prócz tego, stało za nim na kolasie czterech hajduków. Zbiegłem szybko na dół, gdy tylko karoca zatrzymała się przed bramą

i ujrzałem, że przeciwnik mój był w towarzystwie generała, a na przednim siedzeniu siedział strzelec; drzwiczki od powozu otwarto, a generał ustąpił mi miejsca. Wsiadłem, nakazując swemu słuzącemu, by nie jechał ze mną, lecz został w domu i czekał moich rozkazów.

Usiadłem i ruszyliśmy.

Byłbym się sobie wydał śmiesznym, pytając go, dokąd jedziemy. Milczałem; bywają bowiem chwile, w których człowiek musi się zebrać w sobie. Ale i Branicki milczał; sądziłem tedy, że trzeba rozpocząć obojętną rozmowę i spytałem:

— Czy Waszmość pan zamyśla przepędzić zimę w Warszawie?

— Wczoraj jeszcze miałem ten zamiar, ale dziś może go Waćpan obalisz.

— Tuszę, że do tego nie przyjdzie.

— Czy służyłeś w wojsku?

— Tak; ale wolnoż mi zapytać, dlaczego Eks-celencya zadaje mi to pytanie, bo...

— O, tylko dlatego, by coś powiedzieć.

Jechaliśmy niespełna pół godziny, gdy pojazd zatrzymał się przed furtką pięknego ogrodu. Wysiedliśmy i weszli w towarzystwie całej świty podstolego w szpaler, który — mówiąc nawiasem — piątego marca był bezlistny; u końca szpaleru stał stół kamienny. Na tym stole położył strzelec dwa pistolety, długości półtorej stopy, róg z prochem i wagę. Nabił jednak obie lufy

prochem i kulami i położył pistolety na stole, złożwszy je na krzyż.

Wówczas odezwał się Branicki z miną nieustraszonego:

— Wybieraj waćpan broń.

W tej chwili spytał go generał głośno:

— Czy to jest pojedynek?

— Tak.

— Tu nie wolno się wam bić, bo jesteście w obrębie województwa.

— Nie szkodzi.

— I owszem, bardzo szkodzi! Nie wolno mi być świadkiem tego. Mam wartę na zamku; waszmość mię podszedł.

— Milcz waszmość. Ja odpowiadam za wszystko. Jestem temu kawalerowi winien satysfakcyę i chcę mu ją tutaj dać.

— Panie Casanova — rzekł generał do mnie — tu nie możesz się waćpan bić.

— Dlaczegoż mnie tedy tu przywieziono, panie generale? Będę się bronił wszędzie, gdziekolwiek będę napadnięty.

— Przedstaw swą sprawę królowi, a ja ci ręczę, że wyrok wypadnie na twą korzyść.

— Chętnie na to przystaję, panie generale, jeśli pan graf gotów jest oświadczyć w twojej obecności, że żałuje tego, co zaszło wczoraj między nami.

Na te słowa zmierzył mię Branicki dumnym

wzrokiem i rzekł z gniewem, że przyszedł tu, aby słę bić, a nie parlamentować.

— Panie generale — odezwałem się — możesz waszmość poświadczyć, jako próbowałem uniknąć pojedynku, o ile to w mojej mocy.

Generał chwycił się oburącz za głowę i odszedł. Zrzuciłem futro i na wezwanie Branickiego wziąłem jeden z pistoletów. Branicki wziął drugi i powiedział, że ręczy swoim honorem za broń, którą wybrałem.

— Spróbuję jej — odparłem — na głowie waszmości.

Zbladł, rzucił szpadę jednemu ze swych sług i odkrył pierś. Musiałem uczynić to samo, jednakże pożałowałem tego; albowiem szpada była, po oddaniu strzału z pistoletu, jedyną moją bronią. Obnażywszy również pierś, odstąpiłem pięć, albo sześć kroków. Podstoli uczynił to samo. Dalej cofnąć nie mogliśmy się.

Gdy ujrzałem, że się zatrzymał i tak, jak ja, spuścił pistolet ku ziemi, zdjąłem lewą ręką kapelusz z głowy i poprosiłem go, aby uczynił mi ten zaszczyt i strzelił pierwszy. Zaczem nakryłem głowę.

Zamiast niezwłocznie zmierzyć się ku mnie i strzelić, stracił podstoli dwie, albo trzy sekundy na celowanie, kryjąc głowę poza broń. Nie byłem w możności tak długo czekać, aż on ukończy te wszystkie przygotowania. Podniosłem nagle pistolet i wystrzeliłem w teje samej chwili, kiedy i on strzelił. Nie może być tu żadnej wątpliwości, bo

osoby, stojące obok, oświadczyły jednoznacznie, że słyszały jeden strzał. Uczułem, że jestem ranny w lewą dłoń i włożyłem ją do kieszeni; ujrawszy jednak, że przeciwnik mój pada, rzuciłem pistolet i pośpieszyłem do niego. Można sobie wystawić moje zdumienie, gdy nagle ujrzałem nad głową trzy nagie klingi. Trzech dobrze urodzonych morderców chciało mnie rozerwać na sztuki nad ciałem swego pana. Na szczęście Branicki nie stracił przytomności; krzyknął na nich piorunowym głosem: „Zostawić tego kawalera w spokoju, hołoto!”

Zdawało się, że skamienieli na dźwięk tego głosu. Ująłem podstolego prawą ręką pod ramię, a generał podtrzymywał go z lewej strony. Tak zaprowadziliśmy go do gospody, oddalonej od ogrodu o sto kroków. Branicki szedł skulony i spoglądał na mnie z uwagą, nie pojmując, skąd się wzięła krew, ciekąca po moich spodniach i białych pończochach.

Wszedłszy do gospody, rzucił się Branicki w wielki fotel i wyciągnął się. Rozpięto mu surdut i spodnie i odwinęto w górę koszulę aż do żołądka. Oglądał swoją ranę i widział, że jest niebezpiecznie ranny. Moja kula trafiła go z prawej strony pod siódmym żebrem i wyszła pod ostatnim dolnym żebrem z lewej. Oba otwory rany były od siebie oddalone o dziesięć cali. Widok to był wielce niepokojący; według wszelkiego prawdopodobieństwa przeszłyte były wnętrzości, a człowiek ten był zgubiony. Branicki ozwał się do

mnie słabym głosem: „Zabiłeś mnie waćpan. Ratuj się, bo grozi ci śmierć na szafocie. Znajdujesz się w obrębie województwa, a ja jestem dygnitarzem koronnym i kawalerem orderu Białego Orła. Nie trać czasu, uciekaj, a jeżeli nie masz poddostatkiem pieniędzy, weź moją sakiewkę!”

Ciężka jego kiesa spadła na ziemię; podniosłem ją, włożyłem z powrotem do jego kieszeni, podziękowałem mu i rzekłem, że nic mi po sakiewce, bo jeślibym był winny, postradałbym głowę, którąbym natychmiast złożył u stóp króla. „Mam nadzieję — ciągnąłem dalej — że rana Pana grafa nie jest śmiertelna i jestem w rozpacz, że Wielmożny Pan mnie zmusił, bym mu ją zadał.”

Poczem ucałowałem go w czoło i wyszedłem z gospody. Na dworze nie spostrzegłem jednak ani powozu, ani koni, ani służby. Wszyscy puścili się w dalszą drogę po lekarza, chirurga i księdza, a także z wiadomością do krewnych i przyjaciół rannego. Byłem sam jeden, bez szpady, na zaśnieżonym polu; byłem ranny i nie wiedziałem w którą stronę się udać, by dostać się do Warszawy z powrotem. Poszedłem na los szczęścia i spotkałem chłopca z pustymi saniami. Krzyknąłem doń: „Warszawa?” i pokazałem mu dukatą. Zrozumiał tę mowę; podniósł grubą rogożę i znowu mię nią nakrył, gdy tylko rozciągnąłem się na saniach. Poczem, polską modą, puściliśmy się galopem.

W kwadrans potem ujrzałem najlepszego przyjaciela Branickiego, Bnińskiego, który z gołą sza-

blą leciał galopem. Widocznie szukał mnie. Na szczęście nędzne moje sanie nie wzbudziły w nim podejrzenia; gdyby był spojrział w bok, byłby dostrzegł moją głowę, a nie wątpię, że byłby ją odrąbał tak, jak dziecko ścina kwiat prętem. Zajechawszy do Warszawy, kazałem się wieźć do pałacu ks. Adama Czartoryskiego, by go prosić o schronienie, nie znalazłem wszakże nikogo. Nie tracąc ani sekundy, postanowiłem schronić się do pobliskiego klasztoru Reformatów.

U bramy klasztornej zadzwoniłem. Furtyan, człowiek nieużyty, otworzył drzwi; ujrawszy mnie oblanego krwią, odgadł przyczynę mego przyjścia i chciał szybko bramę zatrzasać. Ja jednak byłem żwawszy od niego i nie dałem mu na to czasu. Kopnąłem go tak silnie, że się przewrócił i wszedłem do środka. Na jego krzyk zbiegło się mnóstwo wystraszonych mniszków; zawołałem, że żądam schronienia i zagroziłem im na wypadek, gdyby mi go odmówili. Jeden z nich przemówił w ich imieniu, poczem zaprowadzono mnie do małej celi, która wyglądała jak więzienie. Pozwalałem bez protestu robić wszystko z sobą, w tem głębokiem przekonaniu, że w krótkim czasie zmienię swe mniemanie. Gdy moi ludzie nadeszli, wysłałem ich po Campioniego i chirurga.

Nim ich sprowadzono, zaanonsował swe przybycie wojewoda podolski. Nigdy nie miałem zaszczytu z nim rozmawiać; wszelako za młodych lat miał on pojedynkę, teraz zaś poznawszy zaj-

mujące detale mego spotkania, skorzystał z okazji, by mi zaraz opowiedzieć o swoim. W chwilę później zjawił się wojewoda kaliski, książęta Jabłonowski i Sanguszek i wojewoda wileński, Ogiński. Wszyscy oni oburzali się na mnichów, którzy obeszli się ze mną, jak z galernikiem. Biedacy wymawiali się tem, że poturbowałem im furtyana. Magnaci śmiali się z tego; tylko mnie nie było do śmiechu, bo rana bolała mnie bardzo. Mnisi ofiarowali mi natychmiast najlepsze pokoje.

Kula weszła powyżej wskazującego palca, strzaskała jego nasadę i utkwiała w dłoni. Guzik metalowy u kamizelki osłabił siłę kuli, prócz tego drasnęła mię lekko w brzuch, w okolicy pępka.

Trzeba było teraz wydobyć kulę, która dokuczała mi bardzo. Chirurg, nazwiskiem Gendron, pierwszy, jaki się nawinął, po przeciwległej stronie zrobił mi otwór, tak, że teraz miałem podwójną ranę. Podczas tej bolesnej operacyi opowiadałem całemu towarzystwu przebieg pojedynku, zaciskając zęby z bólu, który sprawiał mi niezręczny chirurg, grzebiąc mi w ciele swemi kleszczami, by znaleźć kulę. Jakże silnie działa próżność na cielesne i duchowe siły człowieka! Gdybym był sam, byłbym napewno zemdłał.

Gdy Gendron odszedł, przybył chirurg wojewody ruskiego i zajął się raną, upewniając mnie, że tamtego byłby napędził, bo jest partacz i nie należy do cechu. W tejże chwili wszedł książę Lubomirski, zięć wojewody ruskiego; wprowadził nas

wszystkich w zdumienie, opowiadając, co zdarzyło się bezpośrednio po moim pojedynku. Bniński przybył do Woli i zobaczył ranę przyjaciela. Nie widząc mnie, skoczył na koń, przysiągł, że mnie zabije, skoro tylko mnie napotka i pognał, jak szalony. Ponieważ przypuszczał, że jestem u Tomatisa, udał się do niego. Zastał go w towarzystwie jego kochanki, oraz księcia Lubomirskiego i hrabiego Moszyńskiego. Nie zobaczywszy mnie, spytał, gdzie jestem, a gdy mu Tomatis rzekł, że nie wie, wypalił z pistoletu, mierząc w jego głowę. Widząc ten skrytobójczy zamach, hrabia Moszyński chciał go wyrzucić przez okno; ale szalenciec wyrwał mu się, zadawszy mu trzy ciosy szablą, z których jeden przeciął policzek i wybił mu trzy zęby.

— Po tym czynie bohaterskim — ciągnął dalej książę Lubomirski — chwycił mię za kołnierz, przyłożył pistolet do piersi i groził, że będzie strzelał, jeśli go cało i zdrowo nie dostawię na dziedziniec, gdzie stoi jego koń, by mógł się oddalić, bez obawy przed służbą pana Tomatisa. Uczyniłem to natychmiast. Moszyński pojechał do domu, gdzie jego doktor dużo będzie miał z nim roboty, ja zaś również udałem się do domu, by być naocznym świadkiem poruszenia, jakie w całym mieście obudził w nim nasz pojedynek. Skoro tylko rozeszła się pogłoska o śmierci Branickiego, ułani jego siedli na koń, przebiegając całą okolicę, by pomścić śmierć pułkownika i roznieść waćpana na sza-

blach. Szczęśliwą miałeś waćpan myśl, chroniąc się do tego klasztoru. Marszałek kazał dwustu dragonom obstawić klasztor, rzekomo, ażeby mieć osobę waćpana w pewnem miejscu, w gruncie rzeczy zaś, ażeby przeszkodzić, by cię nie zamordowali rozwścieczeni ułani, którzy łatwo mogli wpaść na pomysł szturmowania klasztoru.

„Podstoli znajduje się w wielkiem niebezpieczeństwie, jeżeli, jak powiadają doświadczeni, kula uszkodziła wnętrzności; jeśli jednak stało się inaczej, uręczają, że będzie żył. Przekonamy się o tem jutro. Kazał się on przenieść do mistrza ceremonii, bo nie waży się wrócić do swego mieszkania na Zamku. Wszelako król udał się do niego bez zwłoki, a generał, przytomny przy pojedynku, powiedział mu, że Waćpan dlatego uszedłeś z życiem, boś mu zagroził, że będziesz mierzył w jego głowę. Branicki, chcąc głowę osłonić, przybrał pozycję niewygodną; przez to chybił cię. Inaczej byłby ci przeszył serce; trafia bowiem w ostrze noża tak, że kula dzieli się na pół. Niemniejsze też masz szczęście, że cię Bniński nie zobaczył; nie mogło mu przecież przyjść na myśl, że leżysz na nędznych saniach chłopskich.“

— Ekscelencyo, największe szczęście miałem w tem, że nie zabił Branickiego na miejscu; bo w tej chwili, gdy mu śpieszyłem na pomoc, byłiby mię roznieśli trzej jego towarzysze. Wzniesli już szable ponad moją głowę, gdy podstoli krzyknął: „Precz od tego kawalera, hołoto!“ — Boleję wielce

nad tem, co się przydarzyło Waszej Mości i do-
bre mu hrabiemu Moszyńskiemu. Że Tomatis nie-
został zabity przez tego szaleńca, zawdzięcza bez-
wątpienia tej tylko okoliczności, że pistolet nała-
dowany był wyłącznie prochem.

— I ja tak myślę, bo kuli nie słyszano wcale;
ale był to pewnie tylko przypadek, że w pistole-
cie był ślepy nabój.

— Nie wątpię o tem.

W tej chwili wszedł jeden z oficyalistów wo-
jewody ruskiego i podał mu karteczkę, na której
książę donosił mi: „Załączone pismo przesyła mi
król w tym momencie; śpij Waszmość spokojnie!”

Pismo króla, które zachowałem, brzmiało:

„Z Branickim bardzo źle, kochany wuju. Po-
słałem mu lekarzy, którzy używają całej swej sztuki.
Ale i o Casanovie nie zapomniałem. Zapewnij go,
że go ułaskawię, nawet w przypadku śmierci Bra-
nickiego.”

Ucałowałem list z czcią i wdzięcznością i po-
kazałem go swoim dostojnym gościom, którzy wraz
ze mną podziwiali tego człowieka o królewskiej
iście duszy.

Przeczytawszy ten list, który mi tyle dodawał
otuchy, zapragnąłem spokoju i moi dostojni goście
zostawili mnie samego. Mój przyjaciel Campioni,
który wszedł cicho i stojąc na uboczu, wszystko
słyszał, zbliżył się do mego łóżka, oddał moją pa-
czkę i płacząc z radości, winszował mi wyniku,

który, jak mię zapewniał, przyniesie mi nieśmiertelną sławę.

Następnego dnia przychodzono do mnie gromadnie w odwiedziny, a równocześnie nadeszły kiesy, pełne złota, od magnatów z partyi, wrogiej hr. Branickiemu. Oddawcy tych trzosów oświadczyli mi z polecenia swych panów i pań, którzy je posyłali, że jako cudzoziemiec potrzebuję zapewne pieniędzy i w tem przypuszczeniu pozwalają sobie posłać mi nieco gotówki. Podziękowałem i odesłałem pieniądze z powrotem. Tym sposobem odesłałem przynajmniej cztery tysiące dukatów, pyszniąc się ze swojego postępuku. Campioni znalazł heroizm mój śmiesznym i miał słuszość, bo później żałowałem tego. Jedynym darem, który przyjąłem, było dobre jedzenie na cztery osoby, które ks. Adam Czartoryski posyłał mi regularnie każdego dnia, chociaż nie jadłem, bo mój eskulap, który prochu nie wynalazł, był wielkim zwolennikiem kuracyi głodowej.

Moja ranka na brzuchu goiła się szczęśliwie. Jednakże czwartego dnia groziła mojej ręce gangrena, a lekarze byli zdania, że wyzdrowienie bez amputacyi jest niemożliwe. Ten wynik ich fachowej narady wyczytałem następnego ranka w dworskiej gazecie. Dziennik ten drukowano w nocy, otrzymawszy poprzednio aprobatę króla, przez podpis na manuskrypcie. Ponieważ nie zgadzałem się wcale z opinią moich rzeźników, śmiałem się serdecznie z ich ignorancyi, a przed południem śmia-

łem się w nos wszystkim, którzy wyrażali mi swoją kompasję. Dworowałem sobie, gdy hr. Clary chciał mię przekonać, że powinienem zgodzić się na operacyę. W tejsze chwili zbliżyło się do mnie trzech doktorów naraz.

— Moi panowie, jest was bardzo wielu! Dlaczego aż trzech, śmiem zapytać?

Doktor, który mię stale leczył, odrzekł: „Zanim przystąpię do amputacyi, pragnę usłyszeć zgodę tych oto obu profesorów. Zobaczymy, w jakim stanie jest rana.“

Zdejmują bandaż i oglądają ranę: rana krwawi, ciało zsiniało, widocznie zaczęła się gangrena; wieczorem miano mi odjąć rękę. Obwieszczono mi to z promiennem obliczem, a mój chirurg perswadował mi, żebym się nie bał i że mogę być przekonany, iż tym sposobem rychło przyjdę do zdrowia.

— Moi panowie! Wasze naukowe racye są bardzo piękne. Nie dostaje tylko jednej rzeczy, to jest mojej zgody, a tej nigdy nie otrzymacie. Ja jestem panem mojej ręki i nigdy nie pozwolę, by ją od ramienia odłączyć. Propozycyę waszą znajduję śmieszną.

— Gangrena już się właśnie zaczęła, jutro dojdzie do ramienia, a wtedy będziemy waszmości musieli odjąć ramię.

— Dobrze. W takim razie odejmiecie mi ramię. Czekaście jednak jeszcze trochę. O ile znam się na gangrenie, to ja jej nie mam.

— W każdym razie nie rozumiesz się waszmość na tem lepiej od nas.

— Możliwe, ale zdaje mi się, że wy się wogóle na tem nie znacie.

— To jest trochę mocno.

— Mocno, czy słabo — zabierajcie się!

W dwie godziny później miałem najnudniejsze w świecie odwiedziny osób, którym lekarze donieśli o moim uporze. Książę wojewoda napisał mi nawet, że król bardzo się dziwi mojemu brakowi odwagi. To mię zmartwiło i napisałem do króla długi list, pół seryo, a pół żartobliwy, w którym użyłem sobie do syta na ignorancyi lekarzy i na głupocie poczcwców, którzy swe głupie opinie uważają za ewangelię. Napisałem do J. K. Mości, że ponieważ na nic mi jest ramię bez dłoni, dam sobie odciąć ramię, skoró się gangrena istotnie pokaże.

Mój list przeczytano na dworze i osądzono, że jest to list dosyć dziwny u człowieka, który ma gangrenę w ręce; albowiem długi był na cztery strony. Książę Lubomirski powiedział mi dobrotliwie, że nie miałem racyi, dworując sobie z ludzi, którzy ze mną współczują. Bo to byłoby przecie naprawdę niemożliwe, ażeby w tak zwykłym przypadku mieli się mylić trzej najpierwsi chirurgowie warszawscy.

— Wasza Książęca Mość! Oni nie myślą się, ale mnie podejść.

— Ale cóżby mieli w tem za interes?

— Chcą się przypodobać Branickiemu: jest z nim bardzo źle i może ta pociecha potrzebna mu jest do wyzdrowienia.

— O, to jest prawie nie do wiary!

— Ale cóż powie Wasza Księżęca Mość, obaczwszy, że ja mam rację?

— Jeśli się tak stanie, będę waćpana podziwiał, a twoja stałość godna będzie najwyższej pochwały; ale musi się tak stać naprawdę.

— Zobaczymy to dziś wieczór. Jeśli gangrena dojdzie do ramienia, każę je jutro odjąć. Daję na to Waszej Księżęcej Mości parol.

Przyszli lekarze w liczbie czterech. Uznano, że moje ramię jest dwa razy tak grube, jak zwykle i że posiniało już do łokcia; gdy wszakże zdjęto bandażę, oczom moim ukazało się ciało ciemno-różowe, i co więcej, materya. Tymczasem nic nie mówiłem, jakkolwiek wielce byłem uradowany. Byli przy tem ks. August Sułkowski i abbé Gouvel; ten ostatni należał do familii wojewody ruskiego. Lekarze oświadczyli, że ramię jest zaatakowane i że nie wystarcza już odjęcie dłoni, lecz konieczna jest amputacya ramienia, która nastąpić musi najpóźniej nazajutrz rano.

Byłem zbyt znużony, aby się spierać z tymi ludźmi, którzy z góry wbili sobie coś w głowę i powiedziałem im, by przyszli następnego dnia ze swymi instrumentami, a poddam się operacyi. Zadowoleni ze sukcesu, oddalili się śpiesznie, by wiadomość tę rozszerzyć na dworze i donieść ją hr.

Branickiemu, wojewodzie ruskiemu i innym. Zaledwo wyszli, rozkazałem służącemu nie puszczać ich do siebie.

Nie chcę bliżej wchodzić w szczegóły, mimo, że dalszy przebieg dosyć jest interesujący. Jednakże czytelnik winien mi będzie wdzięczność, jeśli mu nie więcej nie powiem ponadto, że pewien chirurg francuski, przebywający w domu ks. Sułkowskiego, na przekór swym uczonym kolegom, pielęgnował mię według mego życzenia i wyleczył mnie tak, że nie tylko zachowałem ramię, ale i dłoń.

W dzień Wielkiejnocy udałem się na mszę z ręką na temblaku. Leczenie moje trwało tylko dwadzieścia pięć dni, ale dopiero po ośmnastu miesiącach mogłem znowu prawidłowo używać lewej ręki.

Wszyscy, którzy potępiali moje zachowanie się, widzieli się teraz zmuszeni winszować mi stałości, która była dla mnie zaszczytna, a każdy oświadczał zupełnie słusznie, że ci znakomici chirurdgowie muszą być albo wielcy ignoranci, albo bardzo nieroztropni; co do mnie, miałem wielką ochotę uważać ich za łajdaków.

W tem miejscu winienem opowiedzieć zdarzenie, które zaszło w trzy dni po moim pojedynku.

Zgłosił się do mnie pewien Jezuita z polecenia biskupa poznańskiego, do którego dyecezyi należy Warszawa i prosił mię o rozmowę we cztery oczy. Kazałem wyjść wszystkim obecnym, a wpu-

ścić duchownego. Skoro wszedł, spytałem go, czego po mnie żąda.

Odpowiedział: „Przychodzę na zlecenie Jego Księżęcej Mości — mówił o ks. Czartoryskim, bracie wojewody ruskiego — by udzielić waszmości rozgrzeszenia za naruszenie przepisów kościelnych, które przekroczyłeś, pojedynkując się.

— Zawsze mi jest bardzo przyjemnie, gdy otrzymuję rozgrzeszenie, wielbny ojcie, ale tylko wówczas, jeżeli uwżam się za winnego. W przeciwnym razie na nic mi rozgrzeszenie, bo nie mogę przyznać, abym w czemkolwiek przewinił. Napadnięto mnie, a ja się broniłem. Proszę podziękować Jego Księżęcej Mości za łaskawość. Jeśli mi jednak chcesz dać rozgrzeszenie bez wyznania winy, nie mam nic przeciw temu.

Pocciwy Jezuita udzielił mi absolucyi w tych samych słowach. Nie zapał się przez to swojej szkoły. Jezuiti są nieporównanymi mistrzami w wyszukiwaniu zręcznych wykrętów i we wszelkich terminach znajdują furtkę.

Na trzy dni przed mojem wyjściem, t. zn. w Wielki Czwartek, marszałek koronny wycofał swych dragonów. W dzień Wielkiejnocy udałem się na inszę u dworu. Król podał mi rękę do pocałowania i kazał mi klęknąć na posadzce parkietowej. Spytał mię, dlaczego noszę rękę na temblaku — co było z góry ułożone — a ja mu odpowiedziałem, że mam reumatyzm.

— Wystrzegaj się Waszmość na przyszłość podobnego reumatyzmu — rzekł do mnie król z lekким uśmiechem.

Zobaczywszy się z królem, kazałem się prowadzić do Branickiego, bo sądziłem, że winienem go odwiedzić. Podczas mej choroby dowiadywał się każdego dnia o moje zdrowie i odesłał mi szpadę. Musiał on jeszcze leżeć w łóżku przynajmniej ze sześć tygodni; przybitka z mego pistoletu dostała się potrosze do rany i trzeba było tę ostatnią znacznie powiększyć, by wydobyć kłak, który zrazu bardzo opóźniał kuracyą. Król mianował go niedawno wielkim łowczym koronnym. Ta godność stała w hierarchii poniżej wielkiego ministra ceremonii, wszelako znacznie była intratniejsza. Mówiono, że król udzielił mu tej łaski dopiero na wiadomość, że Branicki jest dobrym strzelcem, gdyby jednak nie był miał ważniejszego powodu, byłby musiał mnie nadać ten urząd; bo owego dnia strzelałem celniej od Branickiego.

Gdym wszedł do dużego przedpokoju, zjawienie się moje wywołało wielkie poruszenie wśród wszystkich obecnych, oficerów, strzelców, paziów i lokai. Spytałem adjutanta, czy pana grafa będzie można zobaczyć i prosiłem, by mię zaanonsował. Nie dawszy mi odpowiedzi, westchnęła i wszedł do wnętrza. Zaraz potem otworzyły się oba skrzydła drzwi i ten sam oficer, skłoniwszy się głęboko, prosił mię, bym wszedł.

Branicki leżał na łóżku, we wspianiałym szlafroku, oparty o poduszki, ozdobione pasową wstążką. Błady był jak śmierć. Powitał mię, zdejmując czapkę z głowy, ja zaś odezwałem się: „Przyszedłem złożyć waszmość panu powinny szacunek i oświadczyć, że jestem w rozpacz, iż nie potraktowałem lekko błahostki, na którą mogłem być, będąc roztropnym, nie zważać.”

— Niepotrzebnie sobie to wyrzucasz, mości Casanova.

— Ekscelencya wielce jest łaskaw. Przyszedłem też oświadczyć, że WPan zrobiłeś mi zaszczyt, który znacznie przenosi obrazę i razem prosić o wspianiałomyślną opiekę Waszej Mości przeciw jego przyjaciółom, którzy duszy Waszej nie znając, uważają, że muszą być moimi wrogami.

— Przyznaję, że cię obraziłem; ale przyznaj też i waćpan, że mężnie stawałem! Co się tyczy moich przyjaciół, oświadczam, iż jestem wrogiem każdego, ktoby nie oddawał ci winnego szacunku. Bniński został zdegradowany i pozbawiony indygenatu; słuszną spotkała go kara. Opieki mojej waćpanu nie trzeba: król poważa cię tak samo jak mnie i każdego, kto zna kodeks honorowy. Siadajże i bądźmy przyjaciółmi. Przynieść panu filiżankę czekolady! Wydobrałeś już waszmość?

— Najzupełniej, Ekscelencyo, ręką tylko jeszcze ruszać nie mogę; nastąpi to nierychło.

— Trzymałeś się waćpan dzielnie wobec tych gałganów lekarzy; świadczy to tyle zaszczytnie o twojej roztropności, ile o męstwie. Miałeś waćpan słuszność, utrzymując, iż ci głupcy sądzili, że mi się przypodobają, czyniąc z ciebie kalekę. Sądzą oni o sercu cudzem według własnego. Wyszuję waćpanu, iżeś nie słuchał tych ludzi, a zachował rękę. Ale wciąż jeszcze nie pojmuję, jak moja kula mogła wejść ci w rękę, skoro raniła cię w brzuch.

W tej chwili przyniesiono mi czekoladę i wszedł mistrz ceremonii, spoglądając na mnie z uśmiechem. W pięć minut, pokój pełen był dam i kawalerów, którzy, usłyszawszy, że jestem u podstolego, pragnęli z ciekawości zobaczyć, jak się zachowamy. Widziałem po nich jasno, że nie spodziewali się zastać nas w takiej zgodzie i że byli przyjemnie zdziwieni. Branicki podjął rozmowę, przerwana przez przyniesienie czekolady i wejście wizytujących i prosił mię o wyjaśnienie, jakim sposobem mogła mię kula zranić w rękę.

— Ekscelencya pozwoli, że stanę w pozycji, w jakiej byłem owej chwili.

— I owszem, proszę.

Wstałem i przyjąłem dokładnie tę samą pozycję, jak wówczas w chwili strzału, na co on rzekł: „Teraz pojmuję“.

Jedna z dam odezwała się:

— Powinieneś był waćpan schować rękę poza siebie.

— Mościa pani wybaczy, ale myślałem o tem, by mieć rękę przed sobą.

Uśmiechnął się Branicki na ten żart, ale siostra jego rzekła do mnie:

— Waćpan chciałeś zabić mego brata, boś celował w jego głowę.

— Niechże mnie Bóg uchwowa, mościa pani! Dla mnie byłby większy profit, żeby został przy życiu, bo wówczas obroniłby mnie przed swymi towarzyszami, co też i uczynił.

— Wszelako waćpan powiedziałeś do niego, że będziesz celował w głowę.

— Tak się też zwykle mówi, podobnie jak: rozwalę ci łeb; ale człowiek rozsądny celuje w środek ciała; głowa jest bowiem na końcu i zbyt małą ma powierzchnię; prócz tego, łatwo może się poruszyć. Podniosłem pistolet i pociągnąłem za cyngiel, gdy broń była już na wysokości środka ciała.

— Prawda to — rzekł Branicki — taktyka waćpana lepsza jest od mojej i dobrą mi dałeś naukę.

— Ekscelencya dałeś mi przykład heroizmu, który daleko bardziej wart tego, by się na nim wzorować.

— Widać z tego — zaczęła jego siostra, Sapiężyna — że często musiałeś się ćwiczyć w strzelaniu z pistoletu.

— Bynajmniej, mościa pani, bo mam wstręt do tej broni. Ten nieszczęśliwy strzał był pierwszy,

jaki padł z mej ręki; ale zawsze miałem dobre pojęcie o linii prostej, bystre oko i pewną rękę.

— Więcej też nie trzeba — zauważył Branicki. — Ja posiadam te same przymioty i cieszę się, że nie strzelałem tak celnie, jak zazwyczaj.

— Kula waszmość Pana strzaskała mi nasadę palca. Widzisz ją WPan; spłaszczyła się na kości. Pozwól waszmość ją sobie zwrócić.

— Żałuję, że nie mogę waćpanu równie służyć jego kulą, bo została na placu.

— Dzięki Bogu, rana Waszej Mości leczy się.

— Nie chce się porządnie zasklepić. Gdybym w dzień pojedynku był poszedł za przykładem waćpana, jużbym nie żył; bo, jak mi powiedziano, uczutowałeś Waćpan suto.

— Zrobiłem to dlatego Wasza Mość, iż obawiałem się, że będzie to ostatnia moja uczta.

— Gdybym był po posiłku, kula Waćpana byłaby mi przebiła grubą kiskę; że ta wszelako była próżna, ustąpiła przed kulą, która się po niej ześliznęła, nie drasnawszy jej wcale.

Widać z tego, że Branicki, upewniwszy się, iż pojedynek będzie o trzeciej, poszedł na mszę, spowiadał się i komunikował. Ksiądz nie odmówił mu zapewne rozgrzeszenia, skoro mu Branicki powiedział, że honor zmusza go do tego, by się bił. Było to zgodne z dawną tradycją rycerską. Nie wiem, czy byłem bardziej, czy mniej pobożny, niż Branicki; na każdy sposób, westchnąłem do Boga tylko temi słowy: „Panie Boże! jeśli mnie

wróg mój zabije, będę potępiony. Zachowaj mnie przeto przed śmiercią! Amen!”

Po tym niefrasobliwym i interesującym dyskursie, pożegnałem się z bohaterem i udałem się do wielkiego marszałka koronnego, hr. Bielińskiego, brata hrabiny Salmours. Ten starzec, liczący już dziewięćdziesiąt lat, był, z mocy swego urzędu, najwyższą instancją sprawiedliwości w Polsce. Nie rozmawiałem z nim nigdy; wszelako on bronił mię przeciw ułanom Branickiego i odpuścił karę śmierci. Z tego powodu pragnąłem ucałować jego rękę.

Kazałem się zaanonsować i wszedłem. Godny starzec przyjął mię słowami: „Co waszmość pana do mnie sprowadza?”

— Pragnąłbym ucałować dłoń memu dobroczyńcy, który raczył podpisać moje ułaskawienie i pragnąłbym przyrzec Waszej Mości, że na przyszłość będę już roztropniejszy.

— Radzę tak waszmości. Za swe ułaskawienie podziękuj królowi, bo gdyby nie był wyraźnie rozkazał sporządzić tego ułaskawienia, ja byłbym cię kazał ściąć.

— Pomimo okoliczności łagodzących?

— Cóż to są za okoliczności? Prawda-li to, że się waszmość pojedynekował?

— Nieprawda; byłem bowiem zmuszony do obrony. Moznaby mię winić o udział w pojedynku wówczas, gdyby hr. Branicki, zgodnie z naszą umową, był mię zawiódł w jakieś miejsce poza

obrębem województwa; on wszakże zmusił mnie bić się w tem miejscu, na które mnie rozmyślnie zawiózł. Gdyby Waszą Mość powiadomiono dokładnie, nie byłbyś mię posłał na ścięcie.

— Nie wiem, cobym był zrobił. Król żądał, bym cię ułaskawił; to dowód, że podług niego, zasługujesz na to i przeto ci winszuję. Byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś przyszedł do mnie jutro na obiad.

— I owszem, przyjdę z radością.

Dostojny ten starzec odznaczał się niepospolitym umysłem. Był w wielkiej zażyłości ze słynnym Poniatowskim, ojcem obecnego króla. Najutrz opowiadał mi o nim wiele podczas obiadu.

— Co za szczęście — zauważyłem — byłoby dla przyjaciela Waszej Mości, gdyby był dożył korony na głowie swego syna!

— On byłby nam nie dał na to swego przyzwolenia!

Siła, z jaką to wymówił, pozwoliła mi wnosić o jego przekonaniach; należał do stronnictwa saskiego.

W niedzielę wielkanocną byłem u księcia wojewody ruskiego. „Z powodów politycznych — rzekł mi — nie mogłem waćpana odwiedzić w klasztorze; nie powinienesz wszakże wątpić dlatego o mojej przyjaźni, bo wiele o tobie myślałem. Kazałem ci urządzić pokoje w pałacu, ponieważ żona moja chętnie widzi twoje towarzystwo; ale będą gotowe dopiero za sześć tygodni“.

— Czasu tego użyję na odwiedzinę u wojewody kijowskiego; zaszczycił mię bowiem swem zaproszeniem.

— Kto cię zaprosił w jego imieniu?

— Zięć wojewody, hr. Brühl w Dreźnie.

— Słusznie zrobisz, udając się w tę niedaleką drogę; bo ten pojedynek narobił ci wiele wrogów, którzy szukać będą okazji, by wszcząć z tobą zwadę, a niech cię Bóg strzeże, byś się bił po raz wtóry! Ostrzegam waćpana przed tem. Miej się na baczności i nigdzie nie chodź pieszo, osobliwie po nocy.

Przez dwa tygodnie zapraszano mię wciąż na obiady i kolacye. Byłem w modzie. Nie mogłem wcale nastarczyć detalów mego pojedynku. Miałem już tego wyżej uszu, ale zarówno z uprzejmości, jak i z próżności, nie mogłem się nigdy oprzeć naleganiom. Król często bywał przytomny mojej relacji; ale zawsze udawał, jakoby nic nie słyszał. Wszelako raz zapytał mnie, czy w ojczyźnie mojej, Wenecyi, byłbym tak z miejsca wyzwał patrycyusza, gdyby mię obraził.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, bo jego duma nie byłaby mu pozwoliła, ażeby mi stanął, a przeto moje wyzwanie byłoby śmieszne.

— A cóż byłbyś w tym razie zrobił?

— Byłbym w sobie zgryzł znieprawę; ale gdyby mię ten szlachcic wenecki obraził na obczyźnie, wówczas porachowałbym się z nim.

Na wizycie u hr. Moszyńskiego spotkałem

Binetti, która na mój widok zaraz uciekła. „Cóż ona ma do mnie?” spytałem hrabiego.

— Ona boi się waszmości. Była przyczyną twego pojedynku, a Branicki, dawny jej kochanek, nie chce już o niej słyszeć. Ufała ona, że obejdzie się on z waćpanem podobnie, jak z Tomatisem; wszelako waszmośćomal nie położyłeś trupem jej rycerza. Wyrzucała mu, że przyjął twe wyzwanie; on wszakże oświadczył jej, że nie chce jej więcej widzieć.

Ten to graf Moszyński odznaczał się nie tylko dowcipem, ale był też niezwykle miły w obejściu, a tak hojny, że podarunki, które składał na dworze, doszczętnie go zrujnowały. Rana jego poczęła się zasklepiać. Mimo, że byłem pośrednio, chociaż bez mojej winy, przyczyną jego cierpień, nie pamiętał mi tego, ale przeciwnie, zaprzyjaźnił się ze mną.

Najbardziej zadowolony z wyniku mego pojedynku powinien być Tomatis. A tymczasem spoglądał on na mnie ze źle skrywaną urazą. Byłem bowiem dla niego do pewnego stopnia żywym wyrzutem jego tchórzostwa; ręka, którą nosiłem na temblaku, przypominała mu wciąż, że wyżej stawiał pieniądze, niż honor. Mam głębokie przekonanie, że byłby wolał, gdyby Branicki był mię zabił; bo przez to byłby się stał przedmiotem nienawiści dla wielu osób. Wówczas Tomatis nie byłby zasługiwał może na taką wzgardę, pokazując się nadal w znakomitych domach, mimo, że

ręka służalca naznaczyła jego policzek. W domach tych przyjmowano go jeszcze tylko dlatego, że Catai, więcej przez swą urodę, aniżeli przez talenty, potrafiła wzbudzić dla siebie pewien rodzaj fanatyzmu.

Postanowiłem złożyć wizyty niezadowolonym, którzy nowego króla uznali tylko pod przymusem, a także tym, którzy wogóle odmawiali mu swego uznania. Wybrałem się w podróż z jednym tylko służącym i z Championem, który miał dla mnie szczerą i wierną przyjaźń, a w potrzebie okazywał się człowiekiem męznego serca i silnej ręki.

Ks. Karol kurlandzki wyjechał do Wenecyi; poleciłem go moim możliwym przyjaciółom, tak, że miał on wszelkie powody być zadowolonym. Ów pastor anglikański z Petersburga, który polecił mię ks. Adamowi Czartoryskiemu, przybył do Warszawy. Jadałem wraz z nim u księcia, a król, który go lubił, brał udział w obiedzie. Przy stole zeszła rozmowa na panią de Geoffrin, dawną przyjaciółkę króla; miała w krótkim czasie przybyć do Warszawy, dokąd udawała się na zaproszenie i na koszt Jego Królewskiej Mości. Król, mimo trosk, jakich nie szczędzili mu codziennie jego przyjaciele, był zawsze duszą każdego zebrania, które swą obecnością zaszczycał. Monarcha, któremu pragnąłbym oddać zupełną sprawiedliwość, miał wszakże tę słabość, że dawał ucha oszczerstwu, a przez to dał się odwieść od tego, by mi los zapewnić. Miałem jednakże szczęście

przekonać go później o tem, że obszedł się ze mną niesprawiedliwie.

LWÓW, PODHORCE, PUŁAWY.

W sześć dni po odjeździe moim z Warszawy, przybyłem do Lwowa, zatrzymawszy się po drodze u młodego hr. Zamoyskiego, który miał czterdzieści tysięcy dukatów renty, ale cierpiał na padaczkę. „Oddałbym — rzekł on do mnie — całe moje mienie temu, ktoby mi zdrowie powrócił.“

Miałem wielkie współczucie dla jego żony. Kochała go ona bardzo, ale nie mogła mu tego okazywać, bo słabość jego występowała zawsze w chwili uniesień miłosnych. Zawsze była w rozpacz, będąc zmuszona opierać się jego naleganiom, a nawet musiała uciekać przed nim, gdy stawał się zbyt natarczywy. Niedługo potem umarł. Magnat ów umieścił mnie we wspaniałych pokojach, które pozbawione były wszakże wszystkiego, co najpotrzebniejsze. Taki jest polski obyczaj: panuje tam przekonanie, że człowiek wytworny ma w podróży wszystko ze sobą.

We Lwowie chciałem stanąć w zajeździe; musiałem jednak opuścić go i przenieść się do sławnej kasztelanowej kamieńskiej, wielkiej nieprzyjaciółki Branickiego, króla i całej jego partyi. Miała ona wielki majątek, ale konfederacye zrujnowały ją doszczętnie. Gościła mię przez ośm dni z wielkim przepychem. Oboje wszakże nie mieliśmy stąd

żadnej przyjemności, jako, że ona mówiła tylko po polsku i po niemiecku. Ze Lwowa udałem się do małego miasteczka, którego nazwy zapomniałem; nazwy polskie strasznie trudno spamiętać. (Były to Podhorce). Zawiozłem list od ks. Lubomirskiego do małego generała Józefa Rzewuskiego, krępego, małego starca, który na znak żałoby z powodu nieszczęsnych zmian w swej ojczyźnie, zapuścił długą brodę. Był bogaty, wykształcony, zacięty katolik i ponad wszelką miarę grzeczny. Zabawiłem u niego trzy dni.

Był on oczywiście komendantem małej twierdzy, w której stał wraz z swą załogą, liczącą pięciuset ludzi. Pierwszego dnia byłem u niego z kilku oficerami około jedenastej godziny i opowiadałem o pojedynku z Branickim. W czasie opowiadania wszedł oficer i począł generałowi szeptać coś na ucho. Zaczem zbliżył się do mnie i rzekł z cicha: „Wenecya i święty Marek“.

— Święty Marek — ozwał się głośno — jest patronem Wenecyi. Wszyscy buchnęli śmiechem. Wówczas zmiarkowałem, że to było hasło, wydane przez generała, o którym zawiadomiono mię z uprzejmości. Usprawiedliwiałem się, jak mogłem, a hasło natychmiast zmieniono.

Stary magnat mówił ze mną wiele o polityce. Nie był on nigdy na dworze, przedsięwziął sobie wszakże być na sesyi sejmowej i zwalczać wszelkimi siłami ustawy, które Rosya pragnęła prze-forsować na rzecz dyssydentów. Biedny generał,

gorący Polak z krwi i kości, był jednym z owych czterech magnatów, których Repnin kazał porwać i wywieźć na Sybir.

Pożegnawszy się z dzielnym patryotą, udałem się do Krystynopola, gdzie mieszkał głośny wojewoda kijowski, Potocki. Był on niegdyś kochankiem carowej rosyjskiej, Anny Iwanówny. Miasto, w którym mieszkał, sam założył i nazwał od swego imienia. Człek jeszcze piękny, utrzymywał dom na wspaniałej stopie. Dzięki listom hrabiego, przyjął mię bardzo przyjaźnie: zatrzymał mię u siebie przez dwa tygodnie, wysyłając codzień na przejażdżkę ze swym lekarzem przybocznym. Był nim sławny Styrneus, zacięty wróg jeszcze sławniejszego od siebie van Swieten'a. Ten Styrneus był wprawdzie bardzo uczony, ale trochę narwany i zwolennik empiryzmu. Trzymał się systemu asklepiadejskiego, jakkolwiek ten został zupełnie zachwiany od czasu wielkiego Boerhave; mimo tego kuracye jego cieszyły się dobrym skutkiem.

Co wieczór wracałem do Krystynopola, grając w karty z wojewodą i całą zebraną u niego socyeta. Nie grano wysoko, mnie zaś stale służyło szczęście, co miało dla mnie wielkie znaczenie. Spędziwszy czas bardzo przyjemnie u wojewody, powróciłem do Lwowa, gdzie zabawiałem się przez ośm dni z bardzo piękną dziewczyną. Niedługo potem zdołała usidlić hr. Potockiego, starostę śniatyńskiego, do tego stopnia, że pojął

ją za żonę. Tak to dawne rody dbają o czystość swej krwi!

Ze Lwowa, gdzie i ja i mój przyjaciel Campioni pędziliśmy czas bardzo przyjemnie, udałem się do Puław, o ośmnaście mil od Warszawy. Jest to pyszny zamek, leżący nad Wisłą, własność księcia wojewody ruskiego, który go sam wybudował. Tu rozstałem się z Campionim, który wyjechał do Warszawy, dokąd wzywały go jego sprawy.

Choćby miejscowość jakaś była nie wiem jak wspaniała i czarowna, zawsze będzie nudną dla człowieka, który żyje tam samotnie, o ile nie jest zajęty pracą literacką, która go zatrudnia, albo ważnym pomysłem, który go absorbuje. Ponieważ zaś u mnie nie zachodziła ani pierwsza, ani druga okoliczność, począłem się nudzić.

Pewnego dnia weszła do mego pokoju ładna dziewczyna wiejska. Znalazłem ją zupełnie podług swego gustu, a nie umiając po polsku, starałem się gestami wytłumaczyć to, czego nie mogłem jej powiedzieć.

Poczęła się bronić i narobiła przytem takiego krzyku, że nadszedł burgrabia. Powiedział do mnie z całym spokojem: „Dlaczego waszmość nie zmierza prostą drogą, skoro się dziewczyna podobą?”

— Cóż to za droga?

— Jej ojciec jest tutaj. Pomów waszmość z nim i dojdź do zgody po dobremu.

— Ja nie umiem po polsku. Czybyś się waść tego nie podjął?

— Z ochotą. Dasz mu waszmość pięćdziesiąt złotych?

— Żartujesz waść. Jeśli jest jeszcze nietknięta, dam sto złotych, ale pod warunkiem, że będzie powolna, jak jagnię.

W samej rzeczy, sprawa nie była trudna, bo uroczystość weselna odbyła się tegoż wieczora. Wszelako zaraz potem czmychnęła biedna owieczka, jak gdyby ją ścigano batem. Wywnioskowałem z tego, że ojciec jej, aby ją skłonić, użył kańczuka. Gdybym był to przeczuł, nie byłbym wcale nastawał.

Następnego dnia ofiarowano mi kilka dziewcząt, nie pokazując mi ich wcale.

— Ale gdzież jest ta dziewczyna? Muszę przecież zobaczyć jej twarz.

— Cóż znaczy twarz?—zauważył burgrabia.— Byle tylko reszta była w porządku!

— Dla mnie przyjacielu, twarz jest najważniejsza, a reszta jeno przydatek.

Nie mógł tego pojąć. Przyprowadzono mi dziewczęta, ale nie znalazłem wśród nich żadnej, której uroda obudziłaby moje żądze.

Wogóle w tych okolicach kobiety są brzydkie. Przystojne stanowią rzadki wyjątek, a już piękność jest istnym dziwem.

Tym sposobem zwiedziłem Podole i Wołyń, które w kilka lat potem nazwano Galicyą i Lodo-

meryą, bo ziemia ta nie mogła zostać własnością Austrii, nie zmieniawszy nazwy. Mówią wszakże — i to jest podobne do prawdy — że pod względem materyalnym, żyzne te prowincye mają się dziś lepiej, niż wówczas.

Z POWROTEM W WARSZAWIE.

Po ośmiu dniach zbytku i nudy, powróciłem do Warszawy.

W Warszawie zastałem panią Geoffrin, którą wszędzie przyjmowano z wielkim splendorem, spoglądając jednocześnie ze zdumieniem na skromny jej ubiór. Wszelako ja nie spotykałem się z podobną życzliwością; nie mogę powiedzieć, by mnie przyjmowano zimno, ale wprost wrogo. Bez ceremonii oświadczone mi: „Nie sądziliśmy, że tu Waszmość jeszcze powrócisz. Czego tu szukasz?”

— Chcę popłacić długi!

Uważałem takie zachowanie za oburzające. Nawet wojewoda ruski odmienił się zgoła. Przyjmowano mię wprawdzie w domach, gdzie dawniej bywałem stale zapraszany na obiad, ale nie mówiono ze mną. Tylko księżna Lubomirska, siostra ks. Adama, zaprosiła mię uprzejmie do siebie na kolację.

Udałem się tam z radością i spostrzegłem naprzeciw siebie, przy okrągłym stole króla, który nie odezwał się do mnie ani razu. To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Następnego dnia byłem na obiedzie u p.

Ogińskiej, córki ks. Czartoryskiego, wielkiego kanclerza litewskiego i niejakiej hr. Waldstein, czcigodnej damy, liczącej dziewięćdziesiąt lat. Sędziwa ta dama spytała w czasie obiadu, gdzie król jadł wczoraj wieszczkę; nikt tego nie wiedział, ja zaś milczałem. W chwili, gdy wstawano od stołu, wszedł generał Ronikier, a wojewodzina spytała go, gdzie król był na kolacyi.

— U księżnej strażnikowej — odparł generał — pan Casanova był tam przecież także.

— Dlaczegoż nie powiedziałeś mi tego waszmość, gdy się przy stole o to pytałam? — zwróciła się do mnie hrabina.

— Mościa pani, nie powiedziałem dlatego, że wielce jestem strapiony po owej wizycie. Jego Królewska Mość nie tylko nie zaszczycił mię ani słowem, ale nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Widzę, że popadłem w niełaskę, a nie wiem, z jakiej przyczyny.

Od Ogińskiego poszedłem do ks. Augusta Sułkowskiego, bystrego myśliciela, by złożyć mu powinne służby. Przyjął mię, jak zazwyczaj, z całą uprzejmością, ale powiedział, że źle uczyniłem, powracając do Warszawy, bo wszyscy zmienili mniemanie o mnie.

— Cóżem ja takiego popełnił?

— Nic. Ale takie już jest usposobienie Polaków: zmienne, kapryśne, mało samodzielne i powierzchowne. *Sarmatarum virtus veluti extra ipsos*. Tę chwiejność przyjdzie nam prędzej, czy później

drogo okupić. Los się Waćpanu uśmiechnął, aleś momentu nie pochwycił. Radzę waćpanu wyjechać.

— Wyjadę z pewnością, choć mi ciężko.

Gdym wrócił do domu, służący podał mi list, przyniesiony przez nieznanego człowieka. Otworzyłem go; nie miał podpisu, był jednak widocznie pisany w życzliwej intencji i zgadywałem, że pochodził od osoby mi przychylniej. W liście było napisane, że wiadomo z ust samego króla, iż niechętnie widzi mnie na dworze, bo mu zaręczano, jako w Paryżu zostałem powieszony *in effigie*. Wówczas — jak mówiono — uciekłem stamtąd, zabrawszy znaczną sumę z kasy loteryjnej szkoły wojskowej; prócz tego uprawiałem we Włoszech niegodne rzemiosło wędrownego komedyanta.

Podobne oszczerstwa znajdują łatwy posłuch, wszelako trudno jest im zadać kłam. Zwłaszcza na dworach zawiść nie spoczywa, a zazdrość ustawicznie dodaje jej bodźca. Byłbym z ochotą okazał wzgardę tym niskim intrygom i odjechał, nie zwlekając; jednakże byłem w długach, a nie miałem na tyle pieniędzy, by je popłacić i udać się w drogę do Portugalii, gdzie, jak sądziłem, znajdę nowe źródła dochodu.

Nie wychodziłem wcale z domu, widując się tylko z Campionim, który bardziej bolał nad moim losem, niż ja sam. Wysłałem listy do Wenecyi i w inne miejsca, skąd, jak mniemałem, będzie można ściągnąć gotówkę. Prędzej wszakże, nim

nadeszła odpowiedź, zjawił się u mnie generał, ten sam, który był przytomny przy pojedynku i oznajmił mi ze smutkiem, że z rozkazu króla mam do ośmiu dni opuścić województwo warszawskie.

Dotknięty do żywego tą niesprawiedliwością, poleciłem mu odpowiedzieć królowi, że zgoła nie mam ochoty usłuchać podobnego rozkazu. Jeśli jednak będę zmuszony odjechać, niechże wie cały świat, że ustąpiłem przemocy.

— Nie mogę zanieść królowi takiego responsu — odrzekł generał, równie życzliwie, jak szlachetnie. — Powiem królowi, że wykonałem jego rozkaz i koniec. Waszmość zaś postąpisz, jak uznasz za właściwe.

Nie posiadając się z gniewu i nie bacząc na konsekwencye, napisałem do króla, że honor mój wymaga po mnie, bym jego rozkazom nie był powolny. „Wierzyciele moi, Najjaśniejszy Panie — pisałem — wybaczą mi, gdy opuszczę Polskę, nie zapłaciwszy, com winien, dlatego tylko, że Wasza Królewska Mość mię wygnał“.

Gdy rozmyślałem nad tem, jakby ten list monarsze doręczyć, ujrzałem wchodzącego hrabiego Moszyńskiego. Z miejsca opowiedziałem mu wszystko, co mię spotkało, a odczytawszy mu list, zapytałem, jaką drogą mógłby się on dostać do króla.

— Daj mi go waszmość — powiedział wspomniałomyślnie hrabia — ja sam oddam go Najjaśniejszemu Panu.

Po jego odejściu, uczułem potrzebę odświe-

żenia płuc na wolnem powietrzu. Udałem się tedy do księcia Sułkowskiego, który był u siebie. Nie zdziwił się wcale, usłyszawszy o rozkazie króla. By mi osłodzić pigułkę, którą despotyzm dał mi do połknięcia, opowiedział mi książę, co mu się przytrafiło za pobytu we Wiedniu: cesarzowa Marya Teresa przysłała mu rozkaz, by do dwudziestu czterech godzin wyjechał, z tego tylko powodu, że arcyksiężnej Krystynie oświadczył grzeczności w imieniu księcia Ludwika Wirtemberskiego.

Nazajutrz z rana hrabia Moszyński przyniósł mi tysiąc dukatów. Oznajmił mi, że król nie wiedział, że jestem w potrzebie, a że ocalenie życia jest rzeczą większej wagi, przeto Jego Królewska Mość rozkazuje mi Warszawę opuścić; bo gdybym został, to przejeżdżając się po nocy, albo idąc w dzień pieszo, narażałbym się na niebezpieczeństwo, którego na dłuższą metę nie dałoby się uniknąć.

Niebezpieczeństwo tkwiło w tem, że otrzymałem pięć, czy sześć wyzwań, a nie fatygowałem się zgoła, by na nie odpowiadać. Nie ulegało przeto wątpliwości, że ludzie ci mogli z zemsty za zniewagę spletać mi nocą figla, zaś król nie chciał być z mojej przyczyny w ustawnym niepokoju. Graf Moszyński oświadczył mi nadto, że rozkaz króla nie przynosi mi zgoła ujmy na honorze, albowiem doręczony mi został przez znaczną osobę,

termin zaś oznaczono tak, że mogę wyjechać bez pośpiechu.

Skutek rozmowy naszej był taki, iż nie tylko dałem słowo, że odjadę, ale nawet prosiłem hrabiego, by wyraził królowi mą wdzięczność za wszystkie łaski i za okazane współczucie.

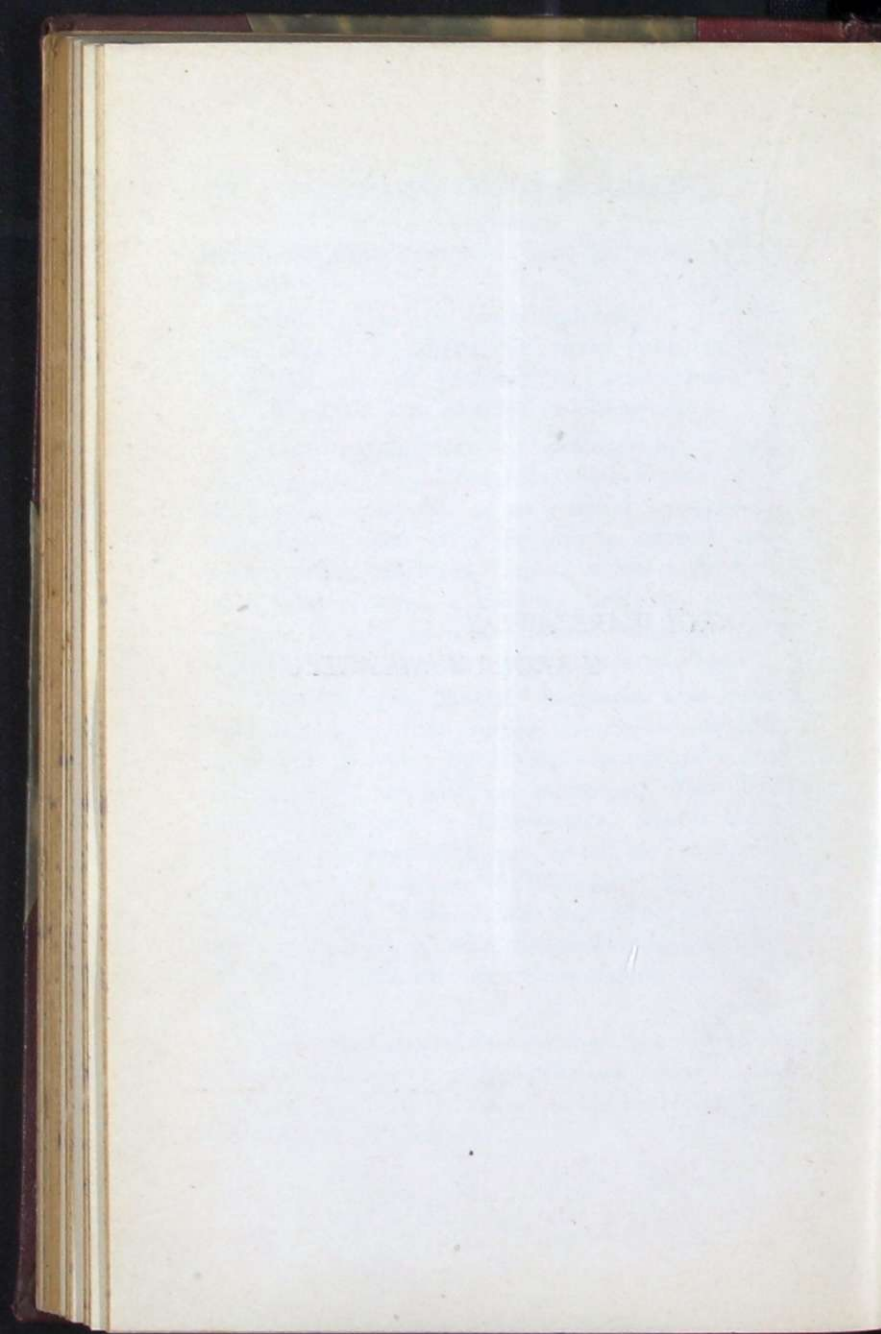
Skoro przyrzekłem, że rozkazom króla będę powolny, poczciwy Moszyński uściskał mnie i prosił, bym doń pisywał, a na pamiątkę przyjął od niego karetę, jako, iż mi się przyda. Zaczem opowiadał mi, że małżonek Binetti uciekł z garderobianą własnej żony, zabrawszy brylanty, kosztowności, bieliznę, a nawet srebro stołowe, które pozostawił dla gagatka swego, tancerza Pica.

Protektorowie Binetti, osobiwie brat królewski, hetman koronny, urządzili między sobą składkę na prezent dla niej, by łącniej zapomniała o kradzieży, której dopuścił się małżonek. Moszyński opowiadał mi też, że hetmanowa, siostra króla, przybyła z Białegostoku i że wobec tego małżonek jej przybędzie nakoniec do Warszawy. Był to prawdziwy hrabia Branicki, jak dopiero co mówiłem, ten zaś Branicki, a raczej Branecki, który zaszczycił mię pojedynkiem, wcale nie należał do tej rodziny.

Zaraz nazajutrz popłaciłem długi, w sumie około dwustu dukatów i przygotowałem wszystko na następny dzień, by w towarzystwie hrabiego Clary wyruszyć do Wrocławia.

KRÓL WARSZAWSKI

U KRÓLA W NIEŚWIEŻU



*O tem, jak Radziwiłł króla w Nie-
świeżu gościł w r. 1785, opowiada stary
Litwin pan Ambroży Wejla:*

W GOŚCINIE U RADZIWIŁŁA.

Około godziny czwartej popołudniu, dano znać, że król zbliża się do Nieświeża. Ks. Karol Radziwiłł na koniu, prowadzonym przez dwóch podkoniuszych, bardzo bogato ubranych, w towarzystwie brata ks. Hieronima, otoczony przez obywateli całego województwa nowogrodzkiego, wyjechał za miasto i spotkał króla za Rudawką. Księżę miał na sobie mundur województwa wileńskiego, kołpak aksamitny, haftowany złotem, z brylantowem piórem, order orła białego, gwiazda, karabela, przepaska od niej, wszystko ogromnemi, drogiemi kamieniami ozdobione. Po powitaniu monarcha chciał księcia obok siebie w karocie umieścić, lecz księżę podziękował i konno do zamku przeprowadził. Gdy do miasta wjeżdżano, zewsząd huczne odezwały się strzały; widok prawdziwie był ujmujący, gdy król otoczony od 300 przeszło obywateli, na dzielnych koniach, bogatemi rzędami okrytych, rozsypanych, choć

w jednym kierunku jadących, wolnym krokiem przez miasto przeciągał. Koń siwy pod Rejtanem miał być tak piękny i dzielny, że króla i całego orszaku ściągnął uwagę.

Przybywszy do zamku, monarcha pierwszy wieczór tylko wśród rodziny Radziwiłłowskiej przebywał. Nazajutrz była prezentacya obywatelstwa, duchowieństwa i szkoły. Od obywateli miał mowę Niesiołowski wojewoda nowogrodzki, od duchowieństwa ks. kanonik Katenbring, od szkoły ks. Szaniawski; najlepiej mówił Niesiołowski, najwytworniej Katenbring, najkrócej Szaniawski. Po mowie Katenbringa, król miał się spytać po cichu u biskupa Naruszewicza:

— Co mówił Katenbring?

— Najjaśniejszy panie, po węgiersku nie rozumiem — odpowiedzieć miał biskup.

Przez cały czas pobytu króla w Nieświeżu, obiad był tylko na osób 60, do którego po kolei ważniejsi urzędnicy byli wzywani. Po obiedzie król zawsze czas jakiś bawił w swoich pokojach; w wieczór był teatr i balet, fajerwerk i bal. Bale trochę zanadto były liczne, nadewszystko z dam, szlachta przyzwyczajona do gościnności zamkowej wprowadzała krewnie, przyjaciółki, a nawet służące, gdy te szlachetnego były urodzenia; zapraszanie biletami nie było znane, spuszczano się na delikatność samych gości, a ta niezbyt była skrupulatną, szczęściem studentom wstępu do zamku zabroniono. Teatr był zupełnie odnowiony. Wszyst-

kie łoże pierwszego piętra bogato i gustownie obleczone; królewska cała aksamitem karmazynowym wybita, firankami z tejże materii, galonami, sznurami i kutasami złotymi ozdobiona; odznaczała się jeszcze koroną złotą, snycerskiej roboty, u góry przyłożoną. Najpierw grano „Wesele wiejskie“, sztukę napisaną przez pana Michałowskiego, profesora szkół nowogrodzkich. Treść jej taka: do córki włościanina bogatego przyszły swaty, na czele organista, od bogatego młodzieńca; dziewczica, kochająca ubogiego Jasia, uciekła przez okno od swatów, organista na dobre wytłómaczył, że to ją skromność spłoszyła. Zgoda więc i pod nieobecność Krysi zaszła, a tymczasem matka szuka dziewczyny, która, jej unikając, przedarła się przez strzechę i w śpiewie opowiada Jasiowi swoją niedolę. Jaś zaś ze swojej strzechy jej odpowiada. Gospodarz wynosi stół, ustawia trunki i częstuje swatów; organista podchocony śpiewa pieśń weselną i podchodzi pod strzechę Jasia; ten, chcąc się zemścić na głównym swacie, wylewa nań dzban wody. Dla większego podobieństwa do rzeczywistości w dzbanie zamiast wody, był piasek; na próbie dobrze się udawało, lecz na scenie, w obecności króla, aktor grający organistę wcześniej głowę podniósł, a Jaś piaskiem mu oczy tak zasypał, że na czas nie mały, nim organista oczy wymył, sztuka przerwać się musiała. Cała rzecz kończy się na tem, że Jaś pojmany i stawiony przed ekonomem, ma ode-

brać karę za szańbienie organisty. Krysia (Saplikiewiczówna) bardzo zręcznie skokiem ze strzechy, i żeby kochanka od kary oswobodzić, przyrzeka pójść za Bartosza, ale napróżno, bo i Krysę za nieuległość rodzicom chcą karać. Wtem nadjeżdża pan dziedzic, wracający z Warszawy, wypytuje się o wszystkim, ułatwia małżeństwo kochanków, winnym przebacza, ale groźnie upomina, wszyscy idą pod dąb za wsią, gdzie jest obraz patrona wsi, podziękować za sprawiedliwość. Królowi sztuka się podobała, i gdy odsłaniano obraz świętego, dał oklask, lecz się mocno zmieszał i w głąb łoży skrył się, gdy spostrzegł swój własny portret. — Potem był marsz tryumfalny z portretem do wsi, pierwszą strofę tylko zapamiętałem:

Bądź zdrowa Warszawo smutna!

Bez przykrości cię żegnamy.

Jaka twa dola okrutna!

Ty traćisz Pana, my mamy.

Po marszu balet, wesele wiejskie, po teatrze bał do późna. W dniu następnym zrana było polowanie. Król strzelał do puszcanych lisów i wilków, potem wypuszczono wielkiego niedźwiedzia, i szczwano wielką liczbę psów; lecz gdy tym się zręcznie opierał, sześć pijawek psów dodano, te natychmiast go zwalczyły. — Przy altanie, zrobionej dla króla, kilku obywateli, a na czele ich książę Karol Hieronim, stali z oszczepami; polowanie zakończono puszczeniem zająca, na którym

żyd z papieru z głową cukru siedział, na charcie za nim puszczonego kozak z piką. Zając z żydem dobrze zmykał, lecz chart, nieprzyzwyczajony do jeźdźcy, chciał go zerwać zębami i stracił z oczu zająca.

Po zwyczajnym obiedzie, wieczór bal tłumny. Król go rozpoczął tańcem polskim z księżną Hieronimową i tańczył jeszcze z wielą damami. Około godziny jedenastej książę zaprosił króla na wały, dla widzenia fajerwerku, urządzonego przez majora artylerji Duforta. Na brzegu stawu (który z wielkości swojej za jezioro uważać można) góra wysypana przedstawiała skałę Gibraltaru i na niej fortecę tę sławną. Flota francuska, z kilkadziesiąt okrętów złożona, ją oblegała; wszystko jak najlepiej się udało; krocie rac z obu stron leciały, wieńce oświecające, z armat baterji pływających i fortecy ciskane, najpiękniejszy widok tworzyły. Na ostatek z fortecy zapalono dwa okręty, z floty zaś do magazynu prochowego trafiono, który z wielkim hukiem na powietrze wyleciał. Flota iluminowana pływała po stawie, Gibraltar też oświecił swoje niezdobyte ściany.

Na trzeci dzień król oglądał sioło Albę i tamże jadł obiad u księcia Hieronima, żona tego księcia i wiele dam z familii, mające tam swoje domy, w stroju wiejskim zapraszały króla do swoich mieszkań, częstowały owocami i pokazywały kwiaty, staraniem swoim wypielegnowane; wieczorem król powrócił do zamku; w dniu tym

balu nie było — w teatrze grano „Don Juana“, a balet „Orfeusz“ zakończył widowisko; zabawy zakończył fajerwerk, albo raczej widok wulkanu Wezuwiusza. Zewnątrz góry, gdzie był Gibraltar, umieszczono piętrowo wielką ilość moździerzy drewnianych, nabitych granatami garncarskiej roboty. Te były przeplatane słomą w smołę zmaczaną, w samym zaś środku góry, umieszczone były beczki wielkie ze smołą, a wszystko pokryte darniem, żeby król nie widział roboty; wymysłony był odjazd do Alby i zatrzymanie go tam przez dzień cały, lecz to źle się powiodło p. Dufortowi. Wulkan z początku pięknie się zapalił, lecz ogień nie był dostateczny, żeby rozgrzać smołę, ta, będąc zimną nie paliła się, a ogień dosięgnął przeplatania moździerzy, lawa nie wzięła kierunku przeznaczonego, który ku wodzie był dany, lecz się rozlała w środku i zatopiła dolne moździerze, tak, że ledwo ich kilkadziesiąt wystrzeliło. Słomy użytej było mało, a ta jak spłonęła, wszystko zgasło, tylko dym wielki nastąpił. Król mocno żałował straconego widowiska, pękanie granatów w powietrzu było bardzo sztuczne, sypały bowiem miliony gwiazd spadających. Król nie mógł ukoić rozżalonego Francuza, który z płaczem opowiadał, jakiby śliczny był widok, gdyby lawa gorejąca wpadała była do wody, a wewnątrz góra paląca się po kolei wyrzucała granaty z moździerzy! — W dniu przedostatnim wyjazdu króla, urządził bal ks. Hieronim w wiel-

kiej altanie w Albie, cały las, cała droga z Nieświeża do Zwierzyńca były oświecone, sama zaś altana wewnątrz i zewnątrz jak najrzęśniej iluminowana, stoły na kolacyą były nakryte w alejach, przeciwko czterech wejść do altany.

Król bawił się wesoło i długo, że zaś nazajutrz chciał rano wyjechać i żądał, żeby go puszczono bez wszelkiej asystencyi, sekretnie dopominając się, żeby mu ks. Hieronim na nocleg kancelaryi odstąpił; lecz to co innego spowodowało. Królowi pewna dama wpadła w oko, rzecz była ułatwiona co do powolności, ale trudno ją było odłączyć od męża. Naprzód chciano furmana upoić. Bojący się kary woźnica, nie chciał pić wprzód, nim panów do mieszkania odwiezie. Ujęto się innego środka: gdy już król Albę opuścił i goście tu rozjeżdżać się poczęli, szukano na zawołanie pojazdu owych państwa i gdy ten pod podjazd się zbliżał, z przeciwnej strony namówiony furman wpadł nań ze swoimi końmi i tak zmieszał, że konie gryźć się i wiergać poczęły, niby przeleknione. Pani poczęła od podjazdu swego uciekać, w tem jedna z krewnych księcia wezwała ją do swojego pojazdu, skwapliwie dość wskoczono, bo czasu nie trzeba było tracić i udano się zapewne do kancelaryi ks. Hieronima, nim konie rozplątano. Nim się mąż dowiedział, z kim żona pojechała, już dobrze położnica była w domu. Ale inny zaszedł kłopot: król jej perły darował wartości czerw. złot. 300; także

je pokazać mężowi? poradzono i na to: żyd pod sekretem przyniósł perły do sprzedania, jak mówił, znalezione, i żądał czer. złot. 15; uznano kupno wygodne i mąż czer. złot. 15 zapłacił. — Król rzeczywiście z wieczora pożegnałszy rodzinę gościnną, o 9 wyjechał, jednak Karol i Hieronim zrana monarchę odwieźli i raz jeszcze pożegnali.

PODWIECZOREK U PP. BENEDYKTYNEK.

Następnego dnia zwiedził król w towarzystwie dostojnych obojej płci osób, kościół i klasztor Panien Benedyktyniek, opodał za miastem położony. Przyjęty przez opata Benedyktynów i kapelana miejscowego w ubiorach kościelnych u drzwi kościoła, udał się przed wielki ołtarz, gdzie klęcząc, królowi królów winny oddawał pokłon. Opat miał mszę, której król klęcząc na gołej podłodze pobożnie słuchał, a zakonnice na chórze pięknymi głosy hymny śpiewały. Po skończonej mszy oglądał król piękną budowę całego kościoła i gustowne malowidła w ołtarzach. Pokazano królowi zakrystę i skarbiec. Stamtąd udał się król do furty klasztornej, gdzie abbatisa z pastorałem w ręku i krzyżem złotym, z takimże łańcuchem na piersiach, dostojność jej wyrażającym, z całym zgromadzeniem zakonnice przy otwórzonych furcie, krótkim komplementem, ale pełnym dla króla uszanowania, powitała i do wnętrza klasztoru zapraszała. Król stając przed furką klasztorną, rzekł do abbatisy:

— Jakże, nie będzie przez to klauzura zakonu zgwałconą, jeżeli ja z otaczającymi mnie obojętnej płci osobami wszedłbym wewnątrz klasztoru?

Abbatysa odpowiedziała:

— Wasza królewska Mość masz zawsze niezaprzeczone prawo, jako słodko nam panujący monarcha, zwiedzać te nasze odosobnione od świata siedliska, ile razy chciałbyś zaszczyścić ubogie nasze zgromadzenie swoją królewską łaską, a osoby otaczające dostojność królewską, za dyspensą J.E. przytomnego tu nuncjusza stolicy apostolskiej, gdy wejdą z Waszą królewską Mością do tego gmachu, też nie zgwałcą klauzury zakonnej.

Po odebranej takowej od abbatysy odpowiedzi, król, a za nim wszyscy przytomni z największą skromnością weszli do klasztoru. Król przy wstępie, stojącym po obu stronach zakonnicom i abbatysie grzeczny zrobił ukłon, co i wszyscy przytomni naśladowali, a zakonnice nawzajem przez zgięcie kolan i niskie uchylenie głów, oddały królowi i gościom wszystkim swoje uszanowanie. Król postępując po klasztorze, rzekł do abbatysy:

— Właśnie ułożyłem sobie napić się tu dziś kawy w towarzystwie WMPanny abbatysy — która wnet wynurzyła chęć spełnienia żądania królewskiego. Przeto król przez abbatysę i całe zakonne zgromadzenie wprowadzony został do refektarza i tam powitany był przez jedną zakon-

nicę w języku francuskim żywemi wyrazami głębokiego uszanowania, niepojętej radości i najczulszej wdzięczności. Król nawzajem w ujmujących grzecznych wyrazach odpowiedział także w języku francuskim.

Przy kawie zastawiono stół pierniczkami i makaronikami klasztornymi, pomarańczami, orzechami tureckimi, lemoniadą i orszadą. Tu abbatysa ofiarowała królowi na poduszce aksamitnej ponsowej, galonami złotymi obszytej i z kutasami, portret Jego na atłasie lilie złotem wyhaftowany z herbami królewskimi. Portret wyobrażał dostojną osobę stojącą w królewskim ubiorze z ukoronowaną głową. Sztuka roboty tego portretu na 1000 czerwonych złotych była szacowaną. Obie siostry królewskie otrzymały tymże sposobem zrobione popiersia swoje. Ten klasztor, bogatemi uposażony funduszami, żadnych partykularnych nie potrzebował zasiłków, przeto król abbatysie i ośmiu zakonnicom, które tę nader piękną i możną wypieszyły pracę, bardzo grzecznie i uprzejmie podziękował, a przytem dla każdej z ośmiu zakonnice po czerwonych złotych 30, a dla abbatysy 100 przeznaczył, oraz dla wszystkich zakonnice klasztornych po 10. Prócz tego dla klasztoru dwie beczki wina słodkiego t. j. damskiego, dziesięć centnarów kawy, sto głów cukru, pięćdziesiąt funtów nici złotych i 50 kóp pomarańcz, a to wszystko zaraz na drugi dzień po wizycie złożyć kazał. Dostojne siostry królewskie niemniej ze

znaczniemi prezentami wystąpiły. Po wyjściu z refektarza, oświadczył król chęć zwiedzenia wszystkich cel zakonnic; tedy natychmiast wszystkie zakonnice oddaliły się do swych cel. Abbatysa w towarzystwie dwóch zakonnic urzędniczek oprowadzała króla po całym gmachu. Cele wszystkich zakonnic stały otwarte, a każda w swej celi jakąś ręczną robotą była zajęta; na zbliżenie się króla każda zgięciem kolana i niskiem schyleniem głowy, dopełniła uszanowania, król do każdej przemawiał, zapytywał szczególnie o imię, nazwisko, wiek, stan urodzenia i rodziców i czas przyjęcia habitu zakonnego. Zawiadamiał się o ich powinnościach i regułach, a oddalając się, grzeczny czynił ukłon. Gdy chciał król odchodzić, dał się słyszeć głos dzwonka trzy razy odbity, po którym wszystkie zakonnice stanęły już u furty, abbatysa odprowadziła króla do furty, gdzie król zastanowiwszy się, z ujmującą grzecznością coś przemówił i grzecznym ukłonem pożegnał, a stamtąd z całym zgromadzeniem go otaczającym udał się wprost do obozu.

ZABAWA W WOJNĘ.

...Pewnego dnia przyzwawszy król gen. Komarzewskiego, swego fligeladjutanta, polecił mu najsekretniej, aby imieniem królewskim przesłać rozkaz, szóstemu regimentowi szefostwa Niesiołowskiego, o dziesięć mil od Nieświeża w nowo-

grodzkiem obozującemu, iżby w 48-miu godzinach z całym swoim regimentem przeniósł obóz na pola nieświeskie i rozłożył go między kościołkiem św. Michała i św. Krzyża w odległości pół ćwierci mili od obozu grenadyerów szefostwa ks. Karola Radziwiłła. Rozkazał i to, aby wszelkie wiadomości pochodu swego odjąć starał się Nieświeżowi, przez ścisłe zamknięcie komunikacji. Nakoniec aby w miejscu przeznaczenia swego stanął w Pierwospy, a po krótkim odpoczynieniu utrudzonego pochodami żołnierza, czterma naraz 12-to funtowemi armatami swemi, przeciw obozowi grenadyerów 8-go regimentu, raz po raz, sześć razy flankierować kazał, iżby tym sposobem przerazić i nabawić trwogą jakoby nieprzyjacielską.

Tego wieczora, kiedy 6-ty regiment miał stanąć na miejscu i rozpocząć swoje operacye przeciwko 8-mu, a w Albie już wszystko snem pierwszym uspione było, król przebrawszy się w mundur regimentu 8-go, wsiadł na konia i wyjechał sekretnie z Alby z jen. Komarzewskim, z dwoma oficerami od grenadyerów, z dwoma od lekkiej kawalerii, z dwoma od majtków albańskich, jako też z dwoma furyerami i sześciu szeregowymi udając się ku obozowi, gdzie przebywszy obozową placówkę, kazał gen. Komarzewskiemu, który o kilkadziesiąt kroków przed królem jechał, zostać za sobą, a porucznikowi grenadyerów Radziszewskiemu miejsce Komarzewskiego zająć. Gdy ten

zbliżył się do pierwszej widety, grenadyer na widecie stojący zawołał;

— Kto idzie?

Oficer mianował siebie.

— Stój! daj hasło! — zawołał grenadyer.

Oficer zsiadł z konia i oddał hasło, potem wsiadł znowu na konia i oddalił się.

Toż samo na zbliżenie się króla zawołał grenadyer:

— Kto idzie? — I odbiera odpowiedź: Król!

— Stój królu! daj hasło! — zawołał grenadyer.

Na to od króla odbiera odpowiedź, że król wydaje hasło.

— A grenadyer odbiera i od króla toż hasło w miejscu swojej służby! — odpowiedział grenadyer.

Król postępuje dwa kroki z koniem naprzód. Grenadyer powtarza zapytanie, odwodzi kurek i przykłada karabin do wystrzelenia. Król zsiada z konia. Grenadyer spuszcza kurek i król zbliża się do grenadyera, grenadyer przykłada karabin z bagnetem do piersi króla, król oddaje hasło. Grenadyer bierze karabin w ramię, staje s z a r f, a gdy król siadł na konia i oddalił się, grenadyer zawołał:

— Mijaj królu szczęśliwie!

Król zatrzymał się i spytał grenadyera jaki numer jego widety i jak się nazywa? Grenadyer odpowiedział. Król odjechał.

Przyjechawszy król do obozu, zsiadł z konia, przyszedł na główny odwach, gdzie zastał wszystkich czuwających. Zalecił król oficerowi wartowemu aby natychmiast grenadyera na widecie nr. 13 stojącego (mianując go imieniem i nazwiskiem) zluzować i aresztować kazał. Co oficer wartowy dopełnił.

Potem przechodził się król po obozie, przezierał namioty żołnierskie i przekonał się, iż ci obozową czujność zachowują, spią w mundurach, patrontaszach, a pałasz, karabin i grenadyerkę miał każdy przy sobie. Udał się król do namiotów oficerskich, generalskich, hetmana, i znalazł wszystkich czuwających. Przyszedł do namiotu komendanta regimentowego, jakim był podporucznik Weyssenhoff. Zastał go z pałaszem w ręku w krzeselku siedzącego, i tak czujno śpiącego, iż za lekkim przyjściem króla, w ten moment obudził się, powstał i z wszelką przytomnością stawił się przed królem. Król rzekł do niego:

— Jestem przestrzeżony o jakimś nieprzyjacielskim napadzie, dla tego szukam tu bezpiecznego dla mnie schronienia pod tarczą mężnych grenadyerów, oficerów ich i szefa, którzy uzyskali moje zaufanie, przez okazywane mi dowody swego ku mnie przywiązania.

— Krwią i życiem naszym zastąpimy życie twoje dobry i łaskawy królu! — odpowiedział komendant i dodał: ale to nic królu! grenadyer

bagnetem i przywiązaniem do króla, najogromniejszego pokona nieprzyjaciela.

Król uściskał komendanta i rzekł:

— Dlatego i ja, ufając waszemu do mnie przywiązaniu i waszemu męstwu, życia mego bezpieczeństwo waszej polecam pieczy.

— Raczysz królu łaskawy, przyjąć ten mój namiot na spoczynek dla siebie — odrzekł komendant — wszak dopiero pierwsza godzina dochodzi, a ja każę w cichości pobudzić żołnierzy i pod bronią im stanąć.

— Daj im jeszcze z parę godzin czasu, niech spoczywają, a my pójdziemy zwiedzić namioty generałów i hetmana.

Gdy król obchodził z komendantem obóz, jedną razą ogromny huk kilku armat naraz w małej odległości od obozu, okropne wydał wyziewy, i te sześć razy powtórzył. Komendant myśląc, że to prawdziwy zamach nieprzyjacielski na życie króla, zgina przed królem kolana i rzecze:

— Najjaśniejszy Panie! oto w obliczu żyjącego Boga, Pana nieba i ziemi i tych gwiazd nad nami świecących, przysięgam Tobie Panie, iż do wylania ostatniej kropli krwi mojej, życia i zdrowia Twego bronić będę i imieniem całego 8-go regimentu grenadyerskiego tę przysięgę składam, i niech mnie najpierwsza kula armaty nieprzyjacielskiej w kawalki rozerwie, jeżeli ja i moi podkomendni tę przysięgę mielibyśmy złamać.

Przemowa ta do króla dwie minut trwała,

a przez ten czas istotnie cały regiment grenadyerów już stał pod bronią, a hetman i generałowie już byli na czele wojska. Król rzekł do komendanta:

— Jestem ja wielce przeświadczony, jak grenadyerzy do swoich oficerów są przywiązani, przeto dopełnię rękojmi Wpana z nich. Tymczasem idź Wpan i rób służbę swoją, bo hetman i regiment czekają na Wpana. To Wpanu rozkazuję: jakibądź jest zamiar nieprzyjaciela i kto bądź jest nim, nie zadawać im śmierci ani nie kałeczyć, tylko, ile można najmocniej ochraniać ich życie i zdrowie i żywcem tylko zabierać ich w niewolę.

Z takiemiż rozkazami wysłał król Komarzewskiego do hetmana i generałów, a ci zalecili w imieniu króla całemu obozowi.

Tymczasem nieprzyjaciel całą placówkę na prawem skrzydle obozu zajął w niewolę. Widety z bronią w ręku cofały się i przyprowadziły z sobą sześciu nieprzyjacielskich żołnierzy i oficera do obozu, jako jeńców. Zdumieli się wszyscy, gdy ujrzeli, że ci jeńcy byli żołnierze 6-tego regimentu. Nieprzyjaciel szybkimi postępami swemi opanował szaniec prawego skrzydła obozu przez 60-ciu grenadyerów pod dowództwem dwóch oficerów mężnie broniony i tych w niewolę zabrał... Król rozkazał ten szaniec odszukać, lecz bez najmniejszego rozlewu krwi. Książę Karol Radziwiłł przeczytał sobie za powinność odzyskania tego szanцу

jako klucza do obozu i został do tej czynności przez hetmana odkomenderowany, dokąd w ten moment na czele 80 grenadyerów z największą żywością, mimo silnego oporu nieprzyjaciela wpadł. Przytomnego tam szefa Niesiołowskiego z 6-ciu oficerami, tyluż podoficerami i 168 prostymi, przeraził, zabrał, i jako jeńców do obozu zapędził i szaniec napowrót zdobył; przez co utracił nieprzyjaciela nadzieję zdobycia obozu. Wszelako nieprzyjaciela, postanowił mocno odzyskać szaniec, na odwet za swego szefa dostać szefa 8-go regimentu. Zebrawszy tedy i podwoiwszy siły, silnie uderzył ze wszystkich stron na szaniec z taką od wagą, że już blizkim był otrzymania swoich nadziei, gdy tymczasem porucznik 8-go regimentu, Przesławski, mający dozór nad rezerwami w parowach, wawozach i krzakach, uderzył z tyłu na nieprzyjaciela i wprowadził go w nieład, a to tak dalece, że nieprzyjaciela we dwa przerażające wzięty ognie, przymuszony został w części poddać się na łaskę zwycięzców, a w części pierzchnąć z placu.

Flankierowanie nieprzyjacielskie do obozu grenadyerów rozpoczęło się, o samej 1-szej po południu to jest w godzin dwie po przybyciu królewskim do obozu. Wzięcie przez nieprzyjaciela szanцу, przez 60 grenadyerów strzeżonego, nastąpiło o godzinie 2-giej z północy, a zdobycie go na odwrót przez 80 grenadyerów, na czele ich szefa, księcia Karola Radziwiłła przed 3-cią go-

dziną skutecznione. O 4-tej godzinie drugi silny szturm do tego szańcu przez nieprzyjaciela był przypuszczony, a w trzy kwadranse na 6-tą odparty został i cały obóz nieprzyjaciela w moc zwycięzców 8-go regimentu i 13-go pułku lekkiej kawalerii dostał się.

Po odprawionej mszy, kiedy jeszcze szósty regiment w mniemanej zostawał niewoli, rozkazał król grenadyerom, a po za nimi kawalerii w miejscu, jak stali uformować koło, które zajęło w środek króla, hetmana, wszystkich generałów, cały 6-ty regiment i wszystkich przytomnych gości. Gdy się to stało, rozkazał król przyprowadzić przed siebie pod mocną strażą owego grenadyera, któryto do króla, w nocy jadącego, z odwiedzionym kurkiem karabin do wystrzelenia przykładął. Gdy przyprowadzono, spytał się:

— Kto cię aresztował?

— Oficer wartowy — odpowiedział grenadyer.

— Z czyjego rozkazu?

— Z rozkazu króla.

— Gdzie cię aresztowano i kiedy?

— Na straconej widecie, nr. 13 o godzinie 11-tej w nocy.

— Za co?

— Żem dopełnił powinności służby mojej..

— Jakim sposobem dopełniłeś tej służby?

Grenadyer nieustraszony odpowiada:

— Żem króla przejeżdżającego przez moją

widetę straconą wstrzymał i oddania mi hasła żądał.

— Oddał ci hasło ?

— Nie.

— Dlaczego ?

— Powiedział mi król, że sam wydaje hasło.

— Cóżes na to odpowiedział ?

— Ja odpowiedziałem, że grenadyer odbiera go i od króla w miejscu swojej służby.

— Poznałeś wtenczas króla, kiedy ci odmawiał hasła ?

— Nie, nie poznałem, aż wtenczas dopiero, kiedy zsiadłszy z konia oddał mi hasło, poznałem, że to był król.

— Cóżes robił, kiedy ci król odmawiał oddania hasła ?

— To co mi służba kazała ; odwiodłem kurek i złożyłem do wystrzelenia karabin.

— Czy byłbyś wystrzelił ?

— Niechybnie, o dwie sekundy czasu, już byłbym wystrzelił, gdyby wasza królewska mość nie zsiadłes był z konia i nie zbliżył się do mnie dla oddania hasła...

— To byłbyś zabił króla ?

— Nie królu, bom wtenczas nie znał, ale tego, który mi hasło oddać wzbraniał się.

— Miałes karabin nabity kulą ?

— Bez kuli, ślepo nabity.

Poczem rzekł król :

— Twoje dobrowolne wyznanie zuchwałego.

przeciwko królowi postępowania, żeś go chciał rozmyślnie zabić, gotuje ci karę śmierci.

— Zniosę ją królu wesoło, bo sumienie moje niema mi nic do zarzucenia, czembym powinności mojej miał chybić.

Król udawaną dotąd groźną postać zmienił na łaskawą, i rzekł do grenadyera:

— Tak panie kapitanie! nie chybiłeś nic swojej powinności, i gdybyś był strzelił i zabił króla, najmniejszej nie ściągnąłbyś kary na siebie, bobyś dopełnił powinności swojej. Jesteś kapitanem w głównym sztabie armii, i przybocznym moim adjutantem.

Pałasz swój z pendentem odjąwszy król od siebie, dał go nowemu kapitanowi i swoją szarfą sam go opasał i wziął go król z sobą na śniadanie i na wielki obiad.

Wszyscy niewiedzący o królewskim sekretnem rozporządzeniu, za istotnego królewskiego i krajowego nieprzyjaciela mieli regiment Niesiołowskiego, i różne na niego miotali klątwy. Sam hetman, generałowie i całe wojsko ten manewr w samych jego początkach za prawdziwy krok nieprzyjacielski wzięli, i po nieprzyjacielsku jedni przeciw drugim działać chcieli. Mylne mniemania wtenczas mylnymi w publiczności być przestały, kiedy król tym mniemanym jeńcom wolność darował, a księżę Karol Radziwiłł tych bohaterów w pobratymstwo swoim grenadyerom polecił i świetną ucztę dla nich wszystkich w obozie

sprawił. Dla króla zaś i świetnych gości też na polu czyli na wzgórzu przy kościele św. Michała pod bogatymi namiotami wielki obiad był dany, przy obozowej muzyce, z ogniem grenadyerów i przy chucznym odgłosie armat po każdym spełnionym toaście...

CZWARTEK W ŁAZIENKACH

CHARTER OF THE

W roku 1838 pomieszczono w „Przyjacielu ludu” opis obiadów czwartkowych, oparty na relacyi współczesnej.

Zaledwom z włoskiej podróży był powrócić do Warszawy, już się tego samego dnia jeszcze król Jegomość o tem dowiedział i przysłał do mnie Turkuła, a że to się we środę działo, wezwał mnie na obiad czwartkowy.

— Cóż słyhać w Warszawie? — zapytałem go, gdy Turkuł szalony po dawnemu :

— Słyhać? — powiada mnie — tu nic nie słyhać, chyba jak w dzwony biją; ale widzieć można wiele, ktoby miał na to oczy. Malujemy!

— Jakto i ty malujesz? — zapytałem go.

— Ja nie — powiada — ale król Jegomość razem z Smuglewiczem; to świętych, to pogańskie, to nasze warszawskie pokusy; a ja, ja zostałem pod niebytność twoją poetą; i nie źle mi się z tem dzieje! Król Jegomość lubi poetów; niebawem będziemy ich spławiać do Gdańska. Jedno w tem tylko złe: aurora musis amica! mawiał mi ksiądz Pijar, a ja hultaję do późna i śpię dłużej

od samego miłościwego Pana. Wszakże ceteris paribus, kiedy książę biskup warmiński księciem poetów został, sądzę, że się z czasem na dobrego szlachcica poetów wykeruję. Bądź zdrow, a przychodź jutro na mądry obiad. Będzie:

Królewska zwierzyna
(vulgo Baranina!)
Z czosnkiem lin, z masłem rydz,
Jedno to, drugie nic,
Ryz, mysz i stokfisz.

Teraz uwierzysz może, że zostanę z czasem czwartkowym poetą, byle nie piątkowym, bo mnie ta poetyczna manija tylko przy mięsnej zastawie napadać zwykła, a i teraz czuję wenę; chodź, a jak na środę, dobry zastaniesz obiad.

Dałem się tedy namówić, lubom był strudzony i zbałamuciłem już z nim dzień cały.

Nazajutrz pojechałem w porę obiadową do Łazienek królewskich, bo w Łazienkach dnia tego był obiad. Ileż to mi postąpiło od trzech lat wszystko, od czasu, jak opuściłem Warszawę! Piękny wizerunek dają te Łazienki, a przy porze wiosennej wszystko piękniejszym się zdało. Na wstępie powitał nas marszałek królewski i powiódł do ogrodu, gdzieśmy, prócz króla, wszystkich obiadowych zastali. Przechadzali się w szpalerze; za przybyciem naszym przerwał się dyskurs. Albertrandy witał serdecznie, a biskup Naruszewicz z zwykłą sobie powagą. Oddałem Albertrandemu listy, które mi w Rzymie dla króla dano; a bi-

skup począł pytać o znajomych w Rzymie. Tę naszą rozmowę przerwał Turkuł krzykiem: „Dla Boga! a cóżem ja zrobił? 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13; tak trzynaście osób! Król nie siedzie do stołu i nie łatwo kto Judaszem być zechce! Lecę więc, leczę, a jeżeli nie malarza zaproszę, bogdaj lakiernika od Dangla.

Tymczasem nadszedł pan Karpiński, októrym Turkuł nie wiedział, że był na obiad proszonym i zawrócił Turkuła, a wkrótce potem pokazał się król z odkrytą głową w szpalerze.

Wszedłszy do szpaleru, postąpił kroków kilka i stanął, ruszyliśmy naprzeciw; król Jmć poznał mnie na pierwszy rzut oka i wołał: Witamy! witamy! Per dio baccho! Ślicznie nam z Włoch powracasz! Cóż słyhać w Rzymie? Co nam przywozisz?

— Błogosławieństwo kościoła i ojca świętego Najjaśniejszemu Panu i całej Rzeczypospolitej! — odpowiedziałem.

Turkuł rzekł: „Amen!“ głosem pacholka służącego do mszy, a król Jmć spojrzał gniewnie na niego i zgasł nagle na fantazyi; co widząc Albertrandi, minął nas, jakby królowi torując drogę do odwrotu, a marszałek, zbliżając się, rzekł do króla: „Miłościwy panie! z szczawiem czeka Tremon“. „Więc proszę!“ — rzekł król i szedł sam przodem.

Tutaj ujrzelśmy cały okazały front Łazienek, a król patrząc na nie z zadowoleniem, zapytał

mnie: „Nie przypomina ci to czegoś, coś postron-
nie widział?”

— Bardzo mało przypomina mi — odpowiedziałem — a tem milej, że dziś jest już własnem, i że to Waszej królewskiej mości Polska za takie dzieła wdzięczność jest winną.

— Nie uwierzysz, jak to trudno idzie — mówił dalej król. — Ci cudzoziemcy niczego nie są syci, a nasi jeszcze nie dorośli artyści. Ale! wszakże ich znasz? jakże się w Rzymie prowadzą? czy wystarcza im to, co dają? Który też się najwięcej aplikuje?

— Przy łasce miłościwego pana nie brakuje im na niczem — odpowiedziałem. — Przed wszystkimi zaś celuje nauką i talentem młody Przesałowski, ale słabowity i delikatny bardzo; nie wiem, czy wyżyje. Na dorocznych wystawach w Rzymie chwalono powszechnie jego malowidła; z końcem tego roku sędzę, że powróci.

— Ciesz się Smuglewicz — rzekł król — będziesz miał nowego ucznia, a kto wie, może i za pasy pójdziecie?

— Dałby to Bóg — rzekł Smuglewicz — pole to szerokie, jest się kędy wodzić i jam sobie zawsze wiele po tym młodzieńcu obiecywał. Przysłał mi rzecz arcykosztowną, którą będę miał szczęście miłościwemu panu po obiedzie przedłożyć.

— Brawo! — zawołał król — i ja mam coś nowego dla Was dzisiaj.

Śród tej rozmowy weszliśmy do Łazienek do sali, w której był stół zastawiony. Drzwi stały otworem. Stół był zastawiony w podkowę.

Środkiem przez całą szerokość stołu, leżały na drobnych nóżkach lustra; na nich stało muz dziewięć, z białego alabastru misternie urobionych, które król był świeżo z Włoch sprowadził i po pierwszy raz na widok wystawić kazał. Pomędzy muzami stały marmurowe wazony z kwiatami a w środku, w zagięciu podkowy była mała fontanna. Siedzenia były po jednej tylko stronie stołu, a w lustrach przeziierały się muzy nadobne i świeże dary odmłodniałej Flory.

— Cóż na to powiesz, księżu biskupie? — zapytał król Naruszewicza, wskazując z uśmiechem na zastawę stołu.

— Wielce winszuję sobie i Polsce króla — rzekł biskup — który z muzami w państwie swoim na gody zasiada.

— A ja winszuję Polsce — mówił król — że się w twej osobie tandem historyka doczekała.

— I nie zapomni Nemezis historyi polskiej w dniu dzisiejszym, jeżeli Bóg użyczy żywota, a przyjdzie kreślić dzieje dziś nam łaskawie panującego — odpowiedział biskup poważnie.

— To nam zasiadaj z muzami na gody, z którymiś zwykł obiadować — rzekł król, ściskając go i dał mu prawą, a mnie lewą rękę u stołu.

Smuglewicz skrutował piękność misternych figurek i muza tańcu nie zdała mu się dość lekką.

— Wymyślasz! wymyślasz! — rzekł król — żaluzia z ciebie mówi.

— Wszakże ja jestem malarzem, miłościwy panie — rzekł niby z urazą Smuglewicz.

— Masz ty twoje, „quo quam“ — rzekł król — ale dziś nie masz racyi. Jakże panie Karpiński?

— „Praesente clerico“ — pokazując na Smuglewicza, odpowiedział nie bardzo foremnie Karpiński i zapłonił się powiedziawszy, bo go pono Albertrandi nogą trącił.

— Kiedyście mię tak zbili — rzekł król — biorę się do szczawiu.

A wszyscy w też ślady. Długi czas nic nie mówiono. Poczęło to niepokoić króla, oglądał się w koło i spostrzegł u okna stojącego Turkuła, który dnia tego służbę pazia miał.

— Cóż tam takiego widzisz mości Onufry? — wołał król na niego — czegoś mi tak zesmutniał?

— Kocham się, miłościwy panie — odpowiedział Turkuł.

— Jakto? Ty się kochasz? i w kim? — zapytał król.

— Ha, jak poeta! — odpowiedział Turkuł. — Kocham się w przeszłości.

— A to skomponuj wiersz na to! — wyzywał go król.

— W tem sęk, miłościwy panie! bo to ja taki poeta, że wierszów nie piszę.

— To wolno będzie powiedzieć, albo zaśpiewać — mówił król.

Więc Turkuł począł:

Tęsknię do tych czasów
I do tamtych lasów
Kiedy człek był goły,
Jak te cne boginie:
A jednak wesoły,
Jakby pływał w winie.

— Brawo! — zawołali wszyscy razem —
Brawo!

A król:

— Ale jeżeliby można z tych kadencyi, jak z fabuły Ezopowej sens moralny powziąć, to uważam, żeś ty goły pono?

— Goły, Miłościwy panie! Goły, jak święty turekil a nasze niepogańskie muzy strasznie gołych nie lubią.

— Panie marszałku — rzekł król — potrzeba na tę chorobę Turkuła radzić, żeby nam nie umarł z miłości, boby dużo na tem straciły nasze przyjacielskie obiady.

W ciągu takiego dyskursu obejrzałem się lepiej po stole i spostrzegłem przed biskupem ogromny kielich stojący, jak to bywa waza na niewielką zastawę stołu. Po stole dopiero dowiedziałem się, co miał znaczyć. Na przeszłym obiedzie czwartkowym mówiono o staropolskich koronnych pijatykach i z kolei od biskupa Gamrata począwszy, przytaczał Naruszewicz wraz z Alber-

trandym, wszystkich, którzy niegdyś w Polsce sławnie jadali i pili, a król Jmć polecił panu marszałkowi, żeby do zastawy stołu na przyszły czwartek dobył ze skarbca kielich z czasów króla Jana; bo Naruszewicz przyrzekł królowi, że się opatrzy człowiekiem, który go na cześć królewską spełni i za naszych jeszcze czasów. Ów tedy kielich stał dnia wczorajszego przed biskupem i sterczał wyżej głowy biskupiej. Z ościennego pokoju wnoszono potrawy; przez rozwarte drzwi ujrzałem tam Bernardyna, którego dotąd nikt nie spostrzegł z osób siedzących u stołu. Nie mogłem pojąć, co by pod tę porę na pokojach królewskich robił; lecz wkrótce rzecz mi się wyjaśniła: ujrzał go albowiem i biskup i pokazał mu nieznacznie kielich przed sobą stojący, wznosząc go nieco do góry. „Nie!“ strzepnął się Bernardyn i znikł u drzwi; a biskup mrugnął na służbę i wnet sprzątnięto kielich, iż go król nawet nie spostrzegł.

— A jakże mi się Tremo popisał! a to coś nowego! — zawołał król z zadziwieniem — rozumiałem, że to zając, a to w formie zająca baran i baran wyborny!

Na co Turkuł:

Dziwne rzeczy w zmiany kole:
 Miasto tchórza, cap na stole!
 Boję się w końcu do biesa,
 Aby kiedy na stół pana,
 Miasto sarny lub barana
 Nie pociągnął Tremo — lisa!

— Szkoda — rzekł król — że niema kogo, coby spisywał to wszystko, co ten Turkuł nieraz mówi.

— Wielka szkoda, miłościwy panie — rzekł Turkuł — małym kosztem zostałbym sławnym, a tak przychodzi mi, jak owemu to Rzymianinowi przed sławnym posągiem zapłakać: „Trzydzieści lat, a nic dla nieśmiertelności nie zrobiłem!“ Nie wiem jednakże — mówił dalej, zwracając się do pana Karpińskiego a z przekazem do króla — nie wiem jednakże, czy ci lepiej na tem wychodzą, co wiersze swoje spisują?

Karpiński zapłonił się, a potem westchnął. Albertrandy zrozumiał tę przymówkę królowi zrobioną i rzekł:

— Prawdziwa zasługa prędzej czy później odbierze nagrodę. Żalą tu się albowiem powszechnie, iż król hojny dla drugich, zapomina o biedzie i potrzebach Karpińskiego.

Tutaj nalano kielichy. Król wypiwszy: „Pomyślność narodu!“ — małym kieliszkiem, rzekł, podnosząc go do góry: „Cokolwiek potomność o Stanisławie powie, przy mnie zostanie zasługa, żem saskie pijaństwo z Polski wygnał“. Poczem biskup powstał pierwszy i pił zdrowie królewskie, a za nim wszyscy i w tymże momencie przysunął się ów Bernardyn do stołu, a za nim, na srebrnej tacy niosła służba ów kielich, który stał poprzednio przed księdzem biskupem.

Bernardyn począł od perory: „Najmiłościwszy

panie a królu nasz! Ty, którego niby to Tytusa rzymskiego „sole gratior“ oblicze, a niby macedońskiego Aleksandra, syna Filipowego, pełna generosi i mężnego animuszu dusza, a skarbnica krwie pańskiej niezgłębiona! „Non sum dignus Domine; ale dozwól nie przez zasługę, lecz przez łaskę swą zbliżyć się do podnóża majestatu a tronu pełnego splendorów „cum submissione et devoto animo“ słudze-nikczemnemu, który ściele się u stóp waszej królewskiej mości pana, a pana swojego. Bo jako „*terram Deus hominibus dedit*“, ptakom powietrze, rybom zaś i wszelkim obywatelom morskim „*aquam*“, tak naszej rzeczypospolitej dał Lumen! Lumen, powiadam, w nieprzebranej łasce swej, Lumen, dziś na tron onego kołodzieja kruszwickiego wyniesione, a „*per* *mno*gie *saecula antiquo stemate*“: ciołek, po wszystkie ziemie Polski i Ukrainy świecące!

Łaskawie przyjął król tę przemowę i powitał księdza. Z kilku butelek razem łała służba wino do kielicha, póki nie był pełnym, a z wielkiem oczekiwaniem patrzyliśmy wszyscy, jak się Bernardyn przystrajał do wypicia onegoż. Gdy mu go podano, krzyknął silnym głosem: „Zdrowie królewskie!“ i spełnił go duszkiem aż do dna, poczem położył go na tacy i rzekł: „*Pugna suum finem, cum iacet hostis, habet!*“

— „*Consumatum est!*“ — zawołał Turkuł — księżę Bernardynie!

Coś habit ułapił,
Abyś żywot trafił:
Daj ci Panie Boże
W każdej życia porze
Zrana przy ołtarzu
W obiad w refektarzu
A w celi wieczorem
Ad Dei gloriam majorem
Daj ci Boże kielich taki
I rożek tabaki!

— Brawo, Turku! — zawołał król — i wypił.

— Teraz dopiero przyznam się waszej królewskiej mości — rzekł Naruszewicz — iż w nie-małym strachu byłem, bo przy początku obiadu, kiedym przez drzwi na migi z księdzem rozmawiał, ułakł się i odmówił mi kielicha i już przychodziło mi się wstydzić za ten zawód uczyniony waszej królewskiej mości; więc kazałem kielich sprzątnąć, który stał tutaj; a teraz widzę, że się ksiądz Bernardyn nie bardzo strachał kielicha?

— O „vitrum gloriosum!“ — zawołał Smuglewicz — co za szkoda, że tutaj niema księcia biskupa warmińskiego.

— „Memento mori!“ — westchnął Turku.

— Powiedźże nam księże — mówił król — za coś się tak ułakł tego kielicha zrazu?

— Miłościwy panie! — rzekł Bernardyn — nie tylko słowem Bożem, „sed etiam cibo“ człek żyje! Niechaj to będzie Panu Bogu niewymowno, ale najprzód: głodny byłem jeszcze podówczas, a powtóre: nie ufając sobie, spróbowałem się

z kielichem przed furta, zanim przed wielki ołtarz stanąć się ośmieliłem.

— Jakto? więc drugi? — zapytał król.

— Dopiero drugi, miłościwy panie! — rzekł Bernardyn.

— Dzięki Bogu, że do Węgier niedaleko! — mówił Turkuł; i tutaj wśród śmiechów i powszechnej wesołości powstał król, a za nim wszyscy od stołu. Po obiedzie wyszliśmy do ościennych apartamentów, gdzie wszystko jest urządzone od porcelan, złota i marmurów, a gustem wybornym. Na wielkim stole leżała puszka długa, blaszana, jakich to powszechnie używają do przechowywania dawnych przywilejów.

— A to co? — zapytał król, wskazując na puszkę.

— Jest to nowa akwizycya — rzekł Smuglewicz, — która szacowne skarby W. K. M. wzbogaci. Oryginalny karton Rafaela. Przysłał nam go Przesławski ze zbiorów Ojca świętego z Rzymu.

— Karton? — chciwie otworzył król puszkę i rozwinął rulon. — Dla Boga! — zawołał — arabeski z Watykanu! co to za ręka! co za kontury! a proszę cię, niechajże wiem, jak mam tobie i Przesławskiemu zawdzięczyć tę waszą przysługę. Co za kontury! Kiedy coś podobnego u nas będzie? — dodał po chwili westchnąwszy.

Wszyscy admirowali karton; choć się może innszy i nie znał na tym, ale że pan chwalił, więc za panią matką pacierz.

— A zapewne — rzekł Turkuł na stronie — malarzy takich nie zaraz w Polsce mieć będziemy; ale może się coś innego łatwiej do nas z Rzymu przyniesie.

— Cóż takiego? — zapytał Naruszewicz ciekawie. A Turkuł niby na ucho: Miserere wielkopiątkowe, księżę biskupie!

Kwaśno przyjął ten żart biskup, a król udał, choć dobrze słyszał, że nie słyszy. Turkuł też się wyniósł cichaczem. Dukt dyskursów przeszedł z Rafaela na Rzym, a z Rzymu na historię, gdzie znowu biskup z Albertrandym, a król z nimi przyszli do czasów Stefana Batorego.

— Batory! Batory! — krzyczał biskup i chwalił „wilcze zęby“.

— A propos wilczych zębów — rzekł Turkuł, wszedłszy do pokoju i szepnął coś królowi do ucha.

— Jaki mi konfident! — mówił biskup, biorąc mnie na stronę i wskazując na Turkuła, który z ościennego pokoju wyniósł kilka ksiąg w pąsowy aksamit oprawnych i zawołał głosem wóznego:

Mości panowie! monety,
Dowcipowi do podniety!
Alias koronne lumina,
Co z ojca szły nam na syna
W poczwiwości tudzież w cenie.
— Kłaniam uniżenie! —

i położył książki na stole przed królem.

— Tak jest — rzekł król do Naruszewicza —

monety w nowym cale sposobie a „additamenta“ do historyi księdza biskupa; — i począł otwierać księgi i wyjmować z nich złote medaliony wielkości talara, które w tych pugilaresh na aksamitem wysłaniu rzędem leżały, podobnie, jak się kosztowności i klejnoty przechowywać zwykły. Były to wizerunki królów polskich, dziwnie udanie zrobione; a na drugiej stronie stała w krótkości opisana historia każdego króla w języku łacińskim.

— Miłościwy panie! — rzekł biskup — ty bijesz w złocie twarze przodków swoich, potomność, królu, opisze złotem twe dzieje.

Nic na to nie odpowiedział król; z rąk szły do rąk medaliony. Turkuł podając razem kilka medalionów biskupowi, opuścił mu zręcznie jeden za obszewkę fioletową, co też i jam obok stojący spostrzegł. Wszyscy admirowali robotę mennicy i pochwalali myśl królewską, tylko król sam się zamyslił i nic nie mówił. Po chwili, gdy włożono napowrót medaliony do pugilaresh, zabrakło jednego. Król spojrział do koła i rzekł: „A to jest „qui pro quo“, gdzież jest Władysław Warneńczyk?“

— Zginał pod Warną! — rzekł Turkuł — jak temu ksiądz biskup poświadczy.

A ksiądz biskup pomiarkował, co się święci i łap po sobie, a dobywszy Warneńczyka z za obszewki powiada:

— Modłę ja się i bez złota za dusze dobrych królów naszych, a więc oddaję go z pocziwością.

Tutaj weszło dwóch ze służby królewskiej do pokoju i jeden przyniósł list zapieczętowany na tacy, a drugi trzy śliwy na małej farfurce i podał je królowi. Był to znak, że już na czasie żegnać króla.

Ogrodowy królewski zna sekret przechowywania śliw węgierskich na cały rok z barwą i zawsze w godzinę po obiedzie przynoszą je królowi wraz z listem, na którym adres „Au roi!“ a wewnątrz biała ćwiartka papieru, raz na zawsze opieczetowana, jak mi to Turkuł powiadał.

Król zjadłszy śliwy, powiódł oczyma i ręką dookoła i rzekł: „Hic dies mihi vere festus!“ a gdy z pokoju wyszedł, zaszły nasze soliterki, wszyscy rozjechali się do domu, a tylko Turkuł pozostał na służbie przy królu.

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON
FROM THE FIRST SETTLEMENT
TO THE PRESENT TIME
IN TWO VOLUMES
BY NATHANIEL BENTLEY
VOL. II
PUBLISHED BY J. B. BENTLEY
1822

CO PAZIK ZAPAMIĘTAŁ?

TO THE HONORABLE

11

Szambelan Płonicki służył za młodu w korpusie paziów królewskich i tak o tem wspomina:

KARUZEL W ŁAZIENKACH.

W r. 1788 byłem jeszcze młodym chłopcem i dalipan niczego.

Król Jegomość postanowił świetnym obchodem uczcić pamięć Jana III. Służyłem naówczas w korpusie paziów i jako paź uczestniczyłem w sławnym owym karuzelu, do którego gonitw gotowaliśmy się kilka tygodni bez ustanku, krusząc kopie, zdejmując mniej więcej szczęśliwie pierścienie. Pułkownik Königsfeld, naczelnik paziów, przewodniczył nam w tych przygotowaniach.

Uroczystość ta, która zwabiła nietylko mieszkańców stolicy, kraju, ale wielu cudzoziemców, odbyć się miała w Łazienkach. Na placu łażeniowskim, niedaleko Białego Domu, zbudowane było trzypiętrowe amfiteatrum. Były to jakoby ganki koliste, mające w sobie siedzenia na kilka stopni podzielone, pokryte różnobarwnymi dachami płóciennymi. Na samym dole mieścić się miał tłum widzów, oddzielonych od jeźdźców

goniących szrankami. W gankach tych były cztery łoże i cztery bramy wjazdne, pięknie ubrane. Łoże przeznaczone były dla króla J. M., dostojnych gości i sędziów, obite bogato i przystrojone. Na bramach, których rysunek dawał budowniczy J. K. M. pan Kubicki podobno, widniały herby kraju, Poniatowskich i Sobieskich. Na wierzchu ich powiewały chorągiewki: zielona, pąsowa i żółta, oznaczające, gdzie kto z biletem tegoż koloru miał się umieścić.

W środku na polu amfiteatrowem, ustawiono drzewa z pierścieniami, tarcze do strzelania i figury wypchane murzynów i turków, na których kruszyliśmy groty, tępili pałasze i eskonerowaliśmy pistolety swoje. Przy samych szrankach, oddzielających nas od widzów, wisiały także w czterech miejscach pierścienie, a na ziemi leżały głowy, które w całym pędzie konia kopiami i pałaszami zbierać mieli paze. Takież pierścienie wisiały w bramach. Zacząć miał festyn ów karuzel, po nim następowało teatrum, balet i kantata, iluminacya, fajerwerk; ale o tem zaraz lepiej rozpowiem, wróćmy od początku.

Z pomiędzy nas paziów, do pierwszego kadryla wybrani byli: pp. Raczyński, Ostrowski, Aksamitowski i Linowski, do trzeciego: ja, Lipiński, de Tylly, później szambelan J. K. M. i Mysłowski. Wybrany był także Stanisław Jabłonowski, ale ten później usunięty został. Mieliśmy pracy niemało w nabyciu potrzebnej zrę-

czności, ale człek wówczas był młody, ochoczy, zwinny, i tysiące pięknych oczu, co na niego patrzeć miały, nie mało dodawały ognia.

Wystawże sobie, kochany panie, ten cały amfiteatr pełen aż do brzegów, okoliczne drzewa obwieszane ludźmi, łoże jaśniejące pięknościami, Króla Jego Mości w świetnem gronie, a całe góry sąsiednie, -zwłaszcza górę, gdzie stoją koszary gwardyi litewskiej jak makiem zasianą ludem. Mówiono, że tysiąc powozów, a do 30.000 głów i oczu, przytoczyły się do Łazienek. Miarkuj pan, jak tam serce nam bić musiało, żeby się popisać.

Tandem zasiada Król J. M. w łoży swojej, posłowie zagraniczni i dostojniejsi w wyznaczonych łożach, za biletami wpuszczani na schodach a dołem zaproszeni. Każdy z nas paziów, miał po piętnaście biletów do rozdania — ej! i miał je komu rozdać, choć drudzy niemi frymarczyli, bo je po piętnaście czerwonych złotych w końcu kupowano.

J. M. P. Konarski, pułkownik artyleryi koronnej, za przybyciem Króla J. M., dał znak, i z dział uderzono na rozpoczęcie karuzelu. Byliśmy już w gotowości i w stroju za bramami, i poczęliśmy wjazd przez bramę litewską, przy odgłosie trąb i kotłów. Dwóch oficerów prowadziło najprzód z trębaczami kilkadziesiąt ludzi dobornych z lejb-regimentu gwardyi koronnej. Byli

ci oficerowie, pp. Broniewski i Frankowski, jeśli dobrze pamiętam.

Za nimi nasz pułkownik Königsfeld, dyrektor karuzelum ad hoc, w kolecie białym, suknia na nim pąsowa ze złotym galonem, na piersi orzeł wypukło szyty srebrny, z piórami strusiem białemi z pąsowem.

Za nim tuż pierwszy kadryl, podobnie coś ubrany, ale u pąsowych sukni obszlegi zielone, galony złote, na głowach kaszkiety srebrne z piórami, w ręku kopie złożone. Potem kadryl drugi: czterech pp. kadetów, kolety białe, galony złote, obszlegi pąsowe, kaszkiety złożone, pióra białe. Tandem i nasza czwórka następowała, tak samo przybrana, tylko na piersiach mieliśmy wyszytą pogoń. Czwarty kadryl, czterech podkoniuszych J. K. M., suknie białe, kolety zielone ze złotem, na piersiach i na plecach wyszyte słońca, kaszkiety szmelcowane czarno, orły na nich złociste, pióra białe z czarnem, szarfy z białego atłasu z frendzlą złotą. Dalej kadryl złożony z pp. oficerów regimentu leib gwardyi koronnej. Ubrani w kolety paradne regimentu swego, pąsowe ze srebrem, na piersiach i plecach haftowane słońca srebrne, kapelusze i kopie. Szósty kadryl w mundurach kawalerji narodowej, porucznicy kawalerji i przedniej straży porucznik także, Strutyński. Siódmy i ostatni miał w sobie dwóch szambelanów króla i pułkownika litewskiego Kirkora, z pułkownikiem i adjutantem Byszewskim, kolety białe,

suknie pąs ze złotem, słońce złote na piersiach i plecach, szarfy atłasowe białe, ze złotą frendzlą, kaszkiety srebrne ze złotymi orłami, pióra czarne. Zamykali wjazd nasz kilkudziesięciu ludzi, z lejbu regimentu gwardyi, z trębaczami, prowadzeni przez poruczników Pągowskiego i Kępińskiego. Najprzód tedy objechaliśmy plac dokoła, salutując króla, sędziów i damy; potem pułkownik Königsfeld stanął w pośrodku, jako mistrz karuzelu, a my po jednym do każdej bramy ustąpiliśmy czekając znaku na rozpoczęcie gonitwy.

Tandem poczęliśmy najprzód do pierścieni, potem do turków i murzynów biegać, strzelać, kłuć, rąbać, nareszcie objeżdżać amfiteatrum i chwytając na kopie i pałasze, głowy i pierścienie. Po trzy razy tę zabawkę z powszechnym powtarzaliśmy aplauzem. Trwał karuzel pięć kwadransów, a powiem panu otwarcie, nie powiedziałbym, czy pięć minut, czy pięć wieków, tak mi się czas pobałamucił. A, jak wszędzie na świecie, nie było bez przypadku.

W czasie samej reprezentacyi, koń pana Linowskiego podobno, jeśli nie bałamucę, wściekł się od huku trąb, od strzałów i wrzasków i przesadziwszy szranki, uniósł go z bramy w pole, tam długo z nim walcząc i usiłując go pohamować, p. Linowski musiał mu wreszcie z pistoletu, który miał przy sobie nabity (bo to było przed strzelaniem do tarczy) w łeb wypalić. W czasie zaś ataku na ostatku, Nakwaski przypadkiem ciął

w twarz Lipińskiego, który od tego razu całe życie miał pamiątkę. Ten Nakwaski był, słysząc, potem prefektem miasta Warszawy.

Połamawszy brechlańce i narzucawszy głów co niemiara przed lożą królewską, skończyliśmy, a żaden podobno z nas nie miał apetytu pójść na kantatę inauguracyjną, choćby był zobaczył piękne ówczesne aktorki, pannę Sitańską, panię Jasińską i pannę Rudnicką.

Nim balet wytańcowali, już wspaniała, nowiej inwencji illuminacya alla Borghese, gotowa była; kilkadziesiąt tysięcy lamp różnokolorowych przedziwnie ustawionych, śliczny tworzyły widok. Nad posągiem Jana III. unosił się łuk tryumfalny przepyszny, z transparentami po bokach, wszystko to i posąg w ogniu kolorowym jaśniało. Na skroni Jana III. palił się wieniec zielony. Nad kanałem po brzegach stały trofea na słupach, połączonych z sobą festonami, łączące dom króla z tryumfalnym łukiem. Po drugiej stronie ogniami oświetlony był także staw, aż do kaskady, nad którą stał obelisk ognisty. Dziedziniec, szpalery, obwieszane latarniami i świecznikami wspaniale, widne były jak we dnie.

Król, czego już dalej byłem świadkiem, powróciwszy do sali, słuchał pięknej mowy młodego Michała Sobieskiego, wojszczyca litewskiego, którego potem wziął na swoją opiekę i wychowanie, ale co się z nim stało, nie wiem.

Przyszła na nas kolej do nagród, których

sędziami byli: generał Byszewski, pułkownik Michniewicz, Döbel, Lantau i Poświatowski. Ci spisywali, ile kto razy zdjął pierścień, podjął głowę, i kto ile razy chybił celu, z tego, gdy zdali sprawę królowi J. M., sekretarz J. M. P. Karaś czytał imiona odznaczających się, a damy: wojewodzina Braclawska (Jabłonowska), księżna Nassau-Siegen, i pani Humiecka, miecznikowa koronna, rozdawały nam i przypinały medale złote i srebrne, na niebieskich wstążkach, z napisem: „Equiti dextro“ zapony z medalami i pamiętne tej uroczystości medale z Jana III. wizerunkiem. Mnie się dostało odebrać medal z rąk pani miecznikowej koronnej. A opowiem tu nawiasem, że też sama pani Humiecka (która mieszkała przeciwko Przebendowskich na rogu ulicy Koziej), ocaliła w czasie rozruchu generała Igelstrom. Wpadł on do pani Humieckiej prosząc o ratunek i nie zawiódł się, bo go tyłem domu swego bezpiecznie potem wypuściła.

Po rozdaniu nagród, nastąpiła wieczerza na 300 osób; stół jeden nakryty był w sali wielkiej, inne pod namiotami umyślnie na to rozbitymi i po mniejszych pokojach. Skończyło się wreszcie wszystko fajerwerkiem, i tym nazajutrz przylepionym po mieście wierszykiem:

Sto tysięcy karuzel, jabym trzykroćłożył,
Żeby Stanisław umarł, a Jan III. ożył.

Przyniesiono jedną z kartek królowi i mówią że go ten koncept zmartwił nie mało.

PANI GRABOWSKA

I KSIĘŻNA KURLANDZKA.

Pani Grabowska nie była piękna z twarzy, ale figurę miała cudowną i pierś jak z marmuru wyciosaną. Była z domu S... Wpływ jej na króla był niesłychany, tak, że Bóg wie, czego na nim nie wymogła, gdy chciała, do tego stopnia, że gdy raz brat jej, sławny gracz i rozrzutnik S... zgrawszy się po swojemu do szczeru i na słowo w dodatku niejakiemu Wyhowskiemu, począł przed siostrą narzekać, skłoniła króla, żeby pośredniczył między nim a Wyhowskim w układach z gry wynikłych. Ten Wyhowski, był graczem z profesyi, a jak grał, uczciwie czy nie, tego nie wiem, to pewna, że S... grając z nim, przegrał, co tylko z łaski siostry i króla zostawało. Pieniądze gotowe, klejnoty, powozy, konie i znaczną sumę na słowo puścił. Król wieczorem, będąc u Grab... widzi ją we łzach, rozpytuje przyczyny i daje słowo, że na to poradzi.

Nazajutrz rano byłem na służbie w pokojach królewskich, wołają pazia — staję.

— Pójdiesz do p. Wyhowskiego — powiada mi król — i poprosisz go do mnie natychmiast.

Skłoniłem się, ale tymczasem dyabeł wiedział, kto był p. Wyhowski, gdzie on mieszkał i jak go było szukać? W wielkim kłopotie stoję i myślę, gdy szambelan Kownacki, siedzący podówczas

w sali, który rozkaz dany mi słyszał, a podobno i wiedział o co chodziło, bo transpirowało, o co rzecz szła, powiada mi mieszkanie Wyhowskiego. Nie było więcej nad dziewiątą rano; ruszam szybko.

Nie pamiętam już na jakiej ulicy, wskazują mi mieszkanie przepyszne na pierwszym piętrze — wchodzę.

W pokojach zastaję samą jedną tylko, precudnej piękności kobietę — tak, że na widok jej, osłupiawszy z admiracyi, ledwie zapytać mogłem:

— Czy zastałem p. Wyhowskiego?

— Nie — odpowiada mi — ale wkrótce powróci, wyszedł na ranną przechadzkę.

— Jestem przysłany od J. K. M.

— Może pan wstrzymasz się chwilę?

I jak się to nie wstrzymać? kobieta jak anioł, Panie Boże mnie skarz, nie mogłem nawet pojąć, jak ten człowiek śmiał chodzić na przechadzkę, mając takowe bóstwo za żonę.

Nawiasem mówiąc, widziałem ją potem na Wołyniu powtórnie, gdzie za jakąś sprawą przybyła, i trafiło mi się, czego nigdy nie zapomnę, że ją omdlałą w czasie trzęsienia ziemi trzeźwił w objęciach. Ale wracam do materyi.

Śliczna owa pani prosi mnie do dalszych pokoi, prowadzi przez wspaniałe apartamenta, udekorowane po królewsku. Siadamy w gabinecie dotykającym sypialni, w której widzę łożę z balda-

chimem adamaszkowym. Wyobraźcie sobie, ten łotr Wyhowski sto dyabłów zjadł, ze wszystkich stron ubrał wewnątrz łóżko — zwierciadłami.

Jak Boga kocham prawda. Proszą mnie na czekoladę; łudzi mnie pani, że mąż wróci wprędce, rozpytuje o przyczynę poselstwa, ja udaję skłopotanego, instyguję i siedzę. A jakże było nie siedzieć? Choć mi wracać kazano rychło, jakem się w te czarne oczy wlepił, ani sposobu odejść. Ej! byłabno piękna! w życiu takiej drugiej nie widziałem.

Że też to i takim pięknym trzeba starzeć! Ale choć to tu miło i słodko godziny lecą, Königsfeld gotów wsadzić do aresztu, rozum mi przyszedł nareszcie, i wycofałem się od tej syreny.

Na wschodach właśnie spotkałem pana Wyhowskiego, już powracającego i odniosłem mu słowa królewskie. Przyrzekł się stawić, piękny był mężczyzna i polityk. Wkrótce przyjechał na zamek i puszczone był do gabinetu J. K. M., gdzie sam na sam z półtorej godziny zabawił. Słyszeliśmy potem, że odpuścił wszystko, co od S... wygrał na słowo, kontentując się gotowizną, precyozami. Taką to władzę miała nad królem, piękna, nie piękna, ale zręczna i kształtna p. Gr. Wszakże kiedy mu zakazała słodkich oczu robić do księżny kurlandzkiej, i tego usłuchać musiał, zostawując innym ten kąsek.

Oto panie był przepych! Oto dwór drugi królewski powiem. Księżna Jejmość miała z sobą pazi bez liku, pp. de Solms, de Reta i marszałka dworu

p. Klopmann. Rozrzutnie i ogromnie wydawała na wystawne w Warszawie życie. Sama pani Łazarowiczowa, co jej sukni dostarczała, kilka tysięcy dukatów za nic wzięła, bo ani księżna, nikt z pań i panien jej dworu, dwa razy jednej sukni nie kładli. Stosy ich zawały całą jedną salę; wyjeżdżając darowała tę garderobę na szpitalu. Sami królewscy furmani, co ją nosili, po kilkaset dukatów podostawali.

Przybyłej król J. M. chciał dodać paziów swoich, ale ci kaprysy stroili i jako szlachta oświadczyli, że królowi tylko w tym obowiązku służyć mogą.

Jeden szambelan de Tyllu został jej dodany i miał się z tego dobrze. Był to piękny, zręczny i umięjący sobie radzić człowiek. Zwąchawszy, że u księżnej pani był w łaskach, poczyną jednego razu kwaśną minę stroić, wzdychać i chodzić zasmucony. Księżna poleca p. Klopmann, dowiedzieć się o przyczynie frasunku. Targuje się długo z wydaniem swej tajemnicy de Tyllu, nareszcie cedzi przez zęby, że się zadłużył ogromnie, i że mu dłużnicy pokoju nie dają, że od nich dnia ani nocy niema spokojnej. Tymczasem umówił się z Hurtigiem, Bersonem i innymi, podawał im kwity na znaczne kwoty, których i dziesiątej części nie był winien, i oczekując wyrachowanego skutku, chodził udając wielce zafrasowanego.

Księżna, czy jej wpadł w oko, czy tak z łaski a z litości robiąc sobie renomę wspaniałości, po-

leciła nareszcie Klopmannowi zapłacić długi p. de Tylly.

Stało się jak przewidział, kupcy odebrali pieniądze, oddali je szambelanowi, księżna z uśmiechem wręczyła mu kwity, a dobry humor powrócił. Oprócz tego, otrzymał na odjeźdźnym tabakierę kameryzowaną z portretem księżnej, pełną dukatów, drugą mniejszą od pani de Solms, i coś tam jeszcze.

Księżna była wcale piękna i nie bez tego, żeby królowi nie miała się podobać, ale wcześniej to spostrzegłszy, Gr. wymogła na nim, że całkiem zobojętniał.

Kochał się w niej już otwarcie książę Kazimierz Sapieha, ale faworytem był niejaki Batowski, który potem do księżnej zagranicę wyruszył. Księżna przez ciąg całego pobytu, miała na usługi ekwipaż dworski i szambelana.

Człowiek już nie pamięta, co się naówczas natrzył, nasłuchał, nażył! Było to życie! Jednego mi żal, to, że medalu z karuzelu nie schował, w pilnej potrzebie musiałem go dać do schowania żydowi Salomonowi, który mieszkał przy kadeckich koszarach, a tyłem go potem widział.

TABAKA KSIĘDZA GARNYSZA.

Opowiem panu jedną historyjkę ciekawą, tylko nie wiem o ile prawdziwą, którą z ust rzeźbiarza J. K. M. pana Regulskiego słyszałem, o sławnym podskarbin koronnym, i podkanclerzym Garnyszu.

Żył pod owe czasy w Warszawie stary kanonik, niejaki p. Piotr Szulc, człowiek niezmiernie bogaty, ale żyjący skąpo, dający na procenta i zastawy, który tym sposobem przyszedł do ogromnego w kapitałach i kosztownościach majątku. Zwąchał to pan podskarbi, który go znał dobrze, i był z nim w stosunkach nieraz, bo mu brakło na karty i rozpustę. Poprzyjaźniwszy się ze starym, wypatrzył, gdzie co było i ułożył sobie odziedziczyć po kanoniku. Ksiądz Piotr bojąc się śmierci, zawsze odkładał zrobienie testamentu, i dawszy mu potem kilkadziesiąt dukatów na drogę wyprawił go skąd przyszedł. Mógł tedy już przysiąc pocziwy podskarbi, że testament Piotr Szulc podpisał własnoręcznie.

Tymczasem kanonik umiera, kapituła zabezpiecza fundusze, a podskarbi pilnując się, pieczętuje stante pede wszystko, i wynosi na jaw testament.

Było tak i owak, ale podskarbi, któremu nie było z kim wojować tak dalece zagarnął, jak powiadają, z milion gotówki i ogromne precyoza. Tymczasem o testamencie przebąkiwać różnie zaczęto; zjawili się spadkobiercy ubodzy i różnymi sposobami usiłowali trafić do podskarbiego, ale albo ich do siebie nie dopuszczał, albo śmiejąc się z nich odprawił z niczem.

Ksiądz Garnysz, podkanclerzy, żyjący wówczas, bardzo zacny i pocziwy człowiek, znany był z liściwego serca, i chętnego dla biednych mi-

łosierdzia. Spadkobiercy Szulca udali się do niego, padając mu do nóg i prosząc o instancję do podskarbiego.

A trzeba wiedzieć, że ksiądz Garnysz miał jedną wadę — był tabacznik zapamiętały. Co chwila tabakę zażywał, nosił ją w kieszeni, a w mieszkaniu na każdym stoliku, oknie, stały tabakiery.

Jedzie tedy zamyślony ksiądz Garnysz do podskarbiego, i dobrawszy chwilę, w którejby miał świadków, zaklinać go poczyną na wszystko, aby się ulitował nad ubogimi spadkobiercami Szulca, i jeśli nie wszystko, to choć część, należnego im dziedzictwa powrócił.

— Dajże mi aspan spokój, Mości księże podkanclerzu — odparł podskarbi — to nigdy być nie może; tak, jak niepodobna jest żebyś Waszmość przestał tabakę zażywać, niepodobna również bym ja raz wzięte pieniądze powrócił.

— Na jakże długo mam przestać zażywać tabakę?

— Ba! choćby na cztery tygodnie!

— Biorę Waści za słowo, panie podskarbi, *coram testes*.

— Ani razu?

— Staje umowa.

— Że jeśli nie zażyję tabaki przez cztery tygodnie, podskarbi odda dziedzictwo kanonika naturalnym spadkobiercom.

— Opiszemy się.

— Opiszem.

Byli świadkowie, a podskarbi dodał nieodstępnego stróża księdzu Garnyszowi, który dał słowo iż jeśli złamie umowę, sam się do tego przyzna, co byłby i zrobił.

Wystawmyż sobie teraz męki podkanclerzego. Kazał zaraz wszystkie tabakierki sprzątnąć i pochować, a w przedpokoju straż postawił, aby zażywający tabakę do niego z tabakierkami nie przychodzili. Ze swojej strony podskarbi wszelkie robił starania, żeby skusić księdza Garnysza. Ale na próżno podsuwano mu tabakę.

Cztery tygodnie uszły, a ksiądz Garnysz chorował, czując jakąś ciężkość w głowie i niezdrowie nieopisane, ale wytrwał. Wezwany podskarbi aby umowie zadość uczynił, zwyciężony ofiarą uczciwego człowieka, przyznał się, że wielką część zagarniętych kapitałów już puścił i wrócić nie może (co wynosiło *praeter propter* do 400.000), resztę zaś musiał oddać za tę tabakę.

Podkanclerzy rozdzielił ją między ubogich Szulców, i rozdzieliwszy, zaraz chorzęć począł na głowy boleść. A choć do tabaki powrócił, już mu ona nie pomogła. Umarł nieborak, a co najgorsze że w drukowanych paszkwilach (Rozmowy umarłych) przypisywano śmierć jego niepocziwym powodom.

Cała prawda, jak mi powtarzał pan Regulski, że na mózgu znaleziono materię zebraną z powodu nagłego zaprzestania tabaki.

— Zdaje mi się doprawdy — kończył opowiadanie pan szambelan — że gdybym teraz jeszcze zobaczył przy siwych włosach naszego pułkownika Königsfelda, tobym się go jeszcze zląkł. Prześladował bo nas biednych zawsze, a my jego, włóczył się po nocy, śledząc, czyśmy na miejscu, i nieraz ślizgał się na wschodach po rozsypanym grochu, chwycił rozpalone kłamki i t. p. Nazajutrz zaskarżeni paziowie, na których czele był swawolny Turkuł, szli aresztowani wysiadywać rekolekcyę w Łazienkach, gdzie ich ze stołu królewskiego karmiono.

POSELSTWA PAZIKA.

— Opowiem o mojem jednym poselstwie do marszałkowej koronnej. Raz tedy król, jak nas zwykle posyłał, kazał mi pójść do synowicy swej, córki księcia ex-podkomorzego, nie, mylę się, do siostrzenicy, bo synowica, córka księcia ex-podkomorzego była za hetmanem Tyszkiewiczem, który miał ten sławny dom pod karyatydami w Warszawie; a mnie król posłał do siostrzenicy, urodzonej w Zam... siostry królewskiej, która była za N..., marszałkiem koronnym. Jak on sam był grzeczny i układny, tak ona wielce dumna i nieprzystępna. Król, który lubił, żeby jego Grab. grzeczności robiono, wzywał panią marszałkową na wieczór do niej, gdzie i sam miał być.

Było to po obiedzie. Stawię się z poselstwem królewskim, nie puszczają mnie.

— Co to jest? — Nie można! — Jakto nie można, kiedy od króla J. M. albo to ja nie wiem obyczajów. — Więc choć mi służba drogę zapiera, drzwi otwieram i wchodzę przebojem. W trzecim pokoju zastaję panią marszałkową, leżącą na kanapie, która na mnie z gniewem ręką kiwa i głosem powolnym woła: Tra-a-a-wię, — tra-a-wię.

Ale ja nie zważając na trawienie, wypowiedziałem co mi polecono, odkłoniłem się i odszedłem.

Król J. M. nigdy mnie potem do pani marszałkowej nie posyłał.

Miałem jeszcze jedno ciekawe poselstwo za p. Szczęsnym P., kiedy to w czasie sejmu, gdy król gwarancyi odstąpił i dał się Luchesiniemu obalamucić, pan ten z ławki powstawszy, co instancie chciał Warszawę opuścić. Królowi J. M. bardzo o to chodziło, żeby się z p. Szczęsnym widzieć i rozmówić koniecznie; posłano mnie już nocą z pachołkiem i pochodnią, szukać wiatru w polu. Poleciałem szparko do kwatery na ulicę Długą, ale tam już go nie było; postawiwszy wartę, aby nie wyjechał, sam udałem się go szukać konno po całym mieście. Na poczcie imieniem królewskim zaprzeczyłem, aby mu koni nie dawano. Jeżdżę i jeżdżę, a wszystko nadaremno, aż na Krakowskim Przedmieściu, naprzeciw banku Kabrego, spotykam żydka Judela, faktora, którego przed godziną pytał o p. P. — Co mi Waćpan dasz, a ja pokażę gdzie on jest. — Targ w targ, daję mu cztery

talary. Usłużny izraelita prowadzi mnie na trzecie piętro do jakichś panienek. Tu zastaję w pierwszym pokoju dwie milutkie twarzyczki, ale o p. P. ani słychu! Drugi pokój na klucz zamknięty, klucza niema, jak mówię pustka tylko i skład rzeczy. Myślę sobie, żydby mnie nie zwodził — więc pomimo krzyku i oporu, podważywszy kolanem, wyłamuję drzwi i wchodzę.

Pan P. siedział dość niespokojny na łóżku. Aż z trąbką pocztarską zajeżdża i ekwipaż jego, bo mu mimo rozkazu mojego z poczty konie dano.

Pan P. usilnie prosić i nalegać zaczyna, abym go puścił, ofiaruje mi pieniądze, potem dożywo ciem wioseczkę z Tulczyńskiego klucza i kusi, żebym z nim jechał. Naśmiewszy się dowoli z tych niewłaściwych propozycji, nalegam i coraz gwałtowniej domagam się, aby ze mną do króla jechał. Widząc, że nie przelewki, chmurny idzie za mną. Oddawszy konia pachołkowi, siadam z nim do powozu. Była godzina druga z północy, gdym odszukał pana S. P., — o trzeciej stanęliśmy u króla. Jak skoro wszedł do gabinetu królewskiego, gwałt i krzyk dał się słyszeć, jakiemu równego w życiu nie trafiło mi się być świadkiem. Gadano potem długo i żywo, aż nareszcie król wyszedł i kazał mnie przywołać, bo mu pan P. o mojej nieugiętości wiele mówił. Wziął mnie pod brodę i pochwalwszy darował mi na pamiątkę, piękny swój własny kameryzowany zegarek, roboty Kukumusa, ze-

garmistrza królewskiego. Pan S. P. też nazajutrz rano, zaprosiwszy do siebie, zobowiązał mnie do przyjęcia upominku. Wielkie obietnice, jakie mi przy tej okoliczności uczynił Król J. M. spełzły na niczem. Przeszły te czasy swawolne i wesołe, a w ciężkiej biedzie, wiele się przyrzeczeń zapomnieć musiało.

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...
...the ... of ...
...the ... of ...

...the ... of ...

REWOLUCYA

REVUE

*Jan Sagatynski pozostawał w służbie
dworskiej w gorącym czasie Insurekcji
i czasy owe opisuje:*

Gdy wybuchnęła rewolucya w Warszawie 17-go kwietnia, w sam wielki czwartek przed Wielkanocą 1794 r., znajdowałem się wówczas w korpusie paziów królewskich. Idąc za pociąganiem serca mego, chciałem zaraz wstąpić w szeregi wojskowe. I gdy się już wkrótce zabierał do uskutecznienia mojego zamiaru, zastałem króla w najkrytyczniejszym położeniu z przyczyny następującego zdarzenia:

W dzień samej rewolucyi, aresztowano bardzo wiele osób, między innemi Ankwicza, marszałka rady, Ożarowskiego hetmana koronnego, Zabiellę, hetmana Litwy i biskupa Kossakowskiego. Osadzono ich w więzieniu w domu, blisko brzegu Wisły, na ulicy Móstowej, gdzie dawniej był skład prochu (z tego względu dom ten nosi nazwisko prochowni). Tam osadzeni więźniowie siedzieli spokojnie, gdy następująca scena przyspieszyła ich zgon. Pani R... kochanka Ankwicza, korespondując sekretnie z nim zapomocą kamerdynera, który miał pozwolenie zostawać na usłu-

gach pana swego, napisała list zaklinający go, aby się koniecznie ządał widzieć z Kilińskim i błagać go na wszelkie sposoby, o uwolnienie za jego wstawieniem się do ludu. Lecz Ankwicz, którego duma i pycha nawet w więzieniu nie odstępowała, wzgardził tą propozycją, odpisując swej kochance, „że woli umrzeć, niż się upadlać przed szewcem“. Taka odpowiedź skłoniła ją do szukania innych, pewniejszych środków. Tedy namawia jednego z pozostałych sług Ankwicza, aby pojechał o parę mil od Warszawy i tajemnie podpałił słup alarmowy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że na trakcie prowadzącym do Brześcia, porobiono dla zabezpieczenia słupy znacznej wysokości, owinięte słomą z kagańcami smolnymi. Przy każdym słupie stał wartownik z lontem zapalonym, który miał rozkaz na wypadek zbliżenia się nieprzyjaciela, natychmiast słup zapalić, a następni to samo uczynić. Służący Ankwicza uskutecznił polecenie pani R... słupy zaczęły się jeden po drugim palić, a w momencie Warszawa o zbliżającym się nieprzyjacielu uwiadomioną była. Tumult i rozruch wielki natychmiast powstał. Uderzono larum w bębny. Dzwony na gwałt bijące rozlegały po całym mieście. Każdy strwożony porywa za broń i leci w przeznaczone miejsce.

Z czasem dopiero w mieście uspokoiło się zupełnie. Wysłano bowiem oddział znaczny kawalerji dla przekonania się, czyli istotnie zbliża się

nieprzyjacieli; gdy się odkrył fałsz, zaczęto śledzić różne podejrzone osoby, a najbardziej tych, którzy najczęściej alarmowali miasto. Po ich ujęciu i surowem badaniu, dowiedziano się, że pani R..., jest tego wszystkiego sprężyną. Posłano do jej mieszkania, już była zupełnie spakowaną i pojazd zaprzężony stał przed domem. Zaprowadzono ją na ratusz. Zagrożona najsurowszą karą wyznała, że ten cały alarm był jej dziełem; iż, chcąc profitować z zamieszania miasta, miała umówionych ludzi, aby wpadli do więzienia, uwolnili Ankwicza, uwożąc go na drugą stronę Wisły łodzią przygotowaną, gdzie pojazd zaprzężony czekał na niego, aby go odwieść w bezpieczne miejsce.

Lud oburzony, bojąc się, aby znów podobną intrygą nie uwolniono więźniów, żądał jak najprędzszego sądu, a sąd wydał wyrok, aby Ankwicza, Ożarowskiego, Zabiellę i biskupa Kossakowskiego, przekonanych jako zdrajcy ojczyzny powieszono. Dnia 9. maja już lud i wojsko zgromadzone było w starem mieście i szubienice przy ratuszu gotowe.

Gdy skazanych wieszano, jeden tylko Ankwicz, miał najczęściej przytomności. Ubrany był w zielony, watowany kaftanik, zawiązany na wstążkę, przystojny, pięknej twarzy, wspaniałej figury, słynący z swej wybornej wymowy, którą odznaczał się na sejmie czteroletnim. Sądził, że i przy szubienicy potrafi ująć lud doskonałą wymową.

i uwolni się od haniebnego śmierci. Tedy z drabiny, po której szedł na szubienicę, zaczął te słowa:

— „Narodzie! zawsze szlachetny! zawsze sławny! Czyliż nie znajdę u was litości? Ja który...”

Wtem krzyk zgromadzonych tłumów przerwał mu dalszą mowę:

— Niemasz litości dla zdrajców ojczyzny!!

Szczęk pałaszów i odgłos bębnow zagłuszył go zupełnie, i nie pozwolił dłużej mówić. Widząc swoje usiłowania nadaremne, Ankiewicz dobył złotej tabakierki, i ostatni raz zażywszy tabaki, oddał ją katowi, mówiąc do niego:

— Weź ją na pamiątkę, lecz nie męcz mię.

Sam sobie założywszy stryczek na szyję, z odwagą poddał się wyrokowi swemu. Ożarowski i Zabiello, obok niego powieszeni, prawie wpółumarli, bez żadnej przytomności zakończyli przeznaczenie swoje. Biskupa zaś, gdy go prowadzono przed kościół bernardyński, myśląc się ratować wejściem do kościoła, prosił aby dla zdjęcia z niego sakry, i oczyszczenia się z grzechów swoich przed Bogiem, pozwolono mu wejść do świątyni Pańskiej, lecz odgłos powstał:

— Wszędzie jest Bóg przytomny, czyli na ulicy, czy w kościele.

Przytomni księża Bernardyni, również błagali lud za nim, lecz wszystko na próżno. Musieli więc przed samą szubienicą, zdjąć z niego sakrę i odzież kapłańską, a tak obnażony, zakończył byt swój haniebną śmiercią.

Te okropne wypadki wielce zasmuciły króla. Lud złorzeczył przeciwko niemu, doszło to do uszu królewskich. Co moment lękał się napadu gwałtowności ludu: mówiono nawet, iż nosił przy sobie taki rodzaj trucizny, iż zażywszy ją, mógł w kilka minut życie zakończyć. Nikt nie bywał u niego, nawet ci, co go otaczali ze świty, rzadko pokazywali się na pokojach. Jeden tylko Kicki, koniuszy wielki koronny, na krok go nie odstępował.

W kilka dni nowe niebezpieczeństwo zagroziło królowi utratą życia. Przyszła mu raz chęć, przejechania się na spacer. Dzień był pogodny, powietrze nader przyjemne, wszystko sprzyjało projektowi. O 5-tej popołudniu, zajechał sześciokonny zaprzężony pojazd, wsiadł król do niego, ubrany w mundurze gwardyi koronnej, ozdobiony wstęgą niebieską orderu Białego Orła, i z orszakiem swoim ruszył z zamku przez Krakowskie przedmieście, Bednarską ulicą ku mostowi, dając rozkaz, aby pojazd wprost jechał na Pragę. Tam przybywszy wysiada, ogląda okopy, które właśnie wówczas sypano i własną swą ręką przyczynia się do kopania. Gdy się tym sposobem zatrudniał na Pradze, aż tu raptownie roznosi się po całej Warszawie odgłos: „Król uciekł!“ Wrzawa, tumult. Krzyk okropny ludu rozlega się po całym mieście; rozruch posuwa się do najwyższego stopnia. Jeden z pozostałej świty w zamku, przebrawszy się po cywilnemu, dopada konia i w największym galopie, pospiesza do króla na Pragę, uwiada-

mając go co się dzieje w Warszawie. Zmieszany król tą niespodzianą wiadomością, waha się i nie wie co ma dalej czynić; wtem mu poradzono, aby nie tracąc i jednej chwili, powracał do Warszawy, lecz nie w pojeździe krytym ale konno, aby go widziano. Usłuchał król tej rady i wsiadłszy na konia, którego mu ktoś ze świty podał, z twarzą trwożliwą zbliżał się ku Warszawie.

Lud niecierpliwy i oburzony, z bronią w rękę nabitą, w szybkim pędzie spieszył ku mostowi. Napróżno ludzie rozsądniejsi i wojskowi wyższego stopnia, przedstawiali zapalczywym niepodobieństwo ucieczki króla, dowodząc, że gdyby miał intencję uciekać, nie czyniłby tego w dzień, nie w pojeździe sześciokonne zaprzężonym, ubrany w mundurze ze wstęgą orderową, lecz chcąc skutecznie swój zamiar, przedsięwziąłby go król w nocy, ubrany incognito, i bez żadnej świty. Wszystkie te przedstawienia, chociaż sprawiedliwe, były nadaremne. Ciżba tego nic nie słuchała, i pędem szybkim dążyła na Pragę. Właśnie wówczas z mostu na początku Bednarskiej ulicy wjeżdżał król konno. Gdy go spostrzeżono, powstały przeraźliwe krzyki. Jedni wołają:

— Wiwat! niech żyje król! Drudzy wołają:
— Niech ginie zdrajca!!

Już jeden mierzył dość blisko do króla strzelbą, i byłby pewnie wystrzelił, gdyby mu Kicki (tuż przy boku króla jadący), nie wytrącił silnie strzelby,

odzywając się jaknajgłośniej, aby był słyszany od ludu:

— Czyliż się godzi bez żadnego dowodu i bez przekonania zabijać swego monarchę?

Te słowa piorunującym głosem powiedziane, przytem kilku oficerów broniących sprawy króla, wstrzymały zapalczywość.

Wśród największego tłoku, z odkrytą głową, kłaniając się kapeluszem na obydwie strony cisnącym się tłumom, postępował król powolnym krokiem do zamku. Przybywszy, zsiadł z konia, udał się do swoich pokojów i w oknie parapetowem pokazał się zgromadzonemu, który cały dziedziniec swem przyjściem zajmowali. Kiliński, podówczas między niemi znajdujący się, profitując ze znaczenia i zaufania, jakie pozyskał u ludu, przyczynił się najwięcej do zaspokojenia, zaręczając najsoleńniej, iż nigdy nie było zamiarem króla uciekać z Warszawy; że tę wieść fałszywą rozgłosili namyślnie nieprzyjaciele króla. Sam zaś, gdy spostrzegł że się lud rozchodzić zaczyna, czyli to dla zabezpieczenia osoby królewskiej, czyli też dla ostrożności wszedł z gwardyą narodową i zajął wszystkie prawie królewskie pokoje.

Gdy się już cokolwiek uspokoiło, król udał się do spoczynku; lecz ledwo co zasnął, gdy o samej północy kilkunastu obywateli z bronią w rękę raptownie i z hałasem wpadło na pokoje, chcąc widzieć króla i zapewnić się, czy się znajduje w zamku. Szambelan pełniący służbę, ledwo ich

uprosił, aby byli moment cierpliwi i przedkładał, iż pójdzie do króla uprzedzić go, że to ich przybycie nic innego nie znaczy, i obiecał że król natychmiast im się ukaże. Z wielką trudnością pozwolili na to. Wszedł zatem szambelan do sypialnego pokoju i zastał króla już nie śpiącego, przebudzonego przez hałas przybyłych.

— Cóż znowu nowego? — zapytał król. — Szambelan powiedział o co rzecz idzie.

— Dobrze więc, bądź łaskaw, szambelanie, podaj mi szlafrok, pójdę im się pokazać.

Wziąwszy szlafrok na siebie wyszedł do nich.

— Witam was zacni obywatele! Nigdy nie myślałem, ani myślę was opuścić i proszę imieniem mojem oświadczyć narodowi: że jakkolwiek los wypadnie dla naszej ojczyzny, pomyślny, lub Boże zachowaj, przeciwny, nigdy was nie opuszczę, i wszelki rodzaj szczęścia, równie jak nieszczęścia niezachwianie z wami dzielić będę: przyrzekam to najuroczyściej.

— Wiwat! niech żyje król — zawołali — i spokojnie odeszli, a król znów udał się do spoczynku.

Nazajutrz niewiedzieć dlaczego lud zgromadził się pod statuą Zygmunta, równie i na Saskim placu. Znowu jakieś narady, zagrażające osobie króla. Jeden z naszych służących, ubrany w libery królewskiej, przechodząc właśnie przez Saski dziedziniec, był od nich zaczepiony i obelżywemi słowami zasypyany:

— Czego się, gałganie, włączysz w tej barwie — rzekli mu — czemu ją dotychczas nosisz? Rzuć liberję, idź do wojska. Czy chcesz koniecznie wisieć razem z twojami panami?

Gdy nam służący to rozpowiadał, przekonaliśmy się, że jest niebezpiecznie pokazywać się na mieście w naszym dworsko-królewskim mundurze, zwłaszcza że także strzelono do Grabowskiego adjutanta królewskiego, jadącego konno i strascano mu rękę. W takim położeniu rzeczy, kilku kolegów i ja zdecydowaliśmy się, aby niezwłocznie wejść w służbę wojskową. Zatem nie tracąc chwili (zwłaszcza, że miałem już dawno najszczerzą ochotę), tego samego poranku, udałem się do Kickiego, koniuszego koronnego, jako do tego, który szczególnie się mną opiekował. Była godzina 11-ta rano, na samym wychodzie spotkałem go: rozpowiedziawszy rzecz całą, nie opuszczając nawet zdarczenia z lokajem naszym, upraszałem, aby mi pozwolono było wejść w szeregi wojskowe. Wysłuchawszy mnie zupełnie, Kicki zaprowadził mnie na pokoje, kazał mi się zatrzymać, a sam wszedł do króla; w pół godziny wyszedł, i wprowadził mnie do gabinetu, gdzie się król znajdował.

Zastałem króla siedzącego w szlafroku i trzymającego książkę w ręku, którą czytał. Twarz jego smutna i blada, okazywała głębokie zamyślenie; włosy, które o tej porze zawsze porządnie na głowie ufryzowane i upudrowane bywały, tą razą, w największem zaniedbaniu i nieładzie tu

i ówddzie porozrzucane, spadały niedbale na pomarszczone zgryzotami czoło. Położywszy książkę na stoliku, król rzekł mi:

— Przedstawił mi pan Kicki twoje życzenie, do którego przychylając się, zezwalam. Pięknie jest z twojej strony, że masz zapał i szczerą ochotę. Jesteś młody, masz jeszcze wszystko przed sobą. Idź więc do wojska, i bądź godnym swojego powołania, ja niezapomnę o tobie.

Upadłem mu do nóg dla złożenia mego podziękowania, i zalawszy się łzami odszedłem. Później pan Kicki przywołał mnie do osobnego pokoju, wręczył imieniem króla ładunek ze stoma dukatami, list do generała i prócz tego asygnację do kasy królewskiej na złotych 14.000, które miały mi służyć na drogę i umundurowanie się.

W półtora dnia potem przybyłem do Siedlec, mil 12 od Warszawy, bo droga po okropnych piaskach, utrudniała pośpiech podróży. Sprawiwszy sobie na prędcie mundur w Siedlcach, byłem odkomenderowany do Łukowa, miasteczka o 4 mile oddalonego, gdzie się rekruci znajdowali. Służbę moją pełniłem z największą ochotą, jedna tylko rzecz, osobiwie z początku zdawała mi się przykrą, to jest, że w gargacie litewskiej gdzim się stołował, jedzenie było najniegodziwsze. Trudno mi się było oswoić z tym wiktem po wykwinnych potrawach królewskich, lecz do wszystkiego się można przyzwyczaić; tak smacznie i z apetytem jadłem kaszę grubą ze starą słoniną, jak dosko-

nale zrobiony bifszytk. Wesóły humor nigdy mnie nie odstępował, wyjąwszy, gdym smutne wiadomości odbierał z Warszawy, które mi regularnie donosił mój przyjaciel.

Znowu po moim wyjeździe, król znajdował się w najokropniejszym położeniu. Ktoś podburzył lud, przedstawiając mu, że wiele jeszcze zdrajców ojczyzny siedzi bezkarnie w więzieniu, że Rada Nieustająca, leniwa w swem postępowaniu, pobłaża i ochrania więźniów, niechcąc wymierzyć słusznej sprawiedliwości. Tłumy rozjątrzone takimi poduszczającymi wyrazami, zaczęły się gromadzić. Mowy zapalające, były powodem do popełnienia okropnej zemsty. Wśród okrzyków: „Niech żyje naród! — Śmierć zdrajcom!“ przebiegały tłumy niepowściągniętego ludu ulice miasta, stawiając szubienice, do których prowadzono ofiary. Napróżno niektórzy z spokojniejszych mieszkańców robili przedstawienia, nadaremnie przywołany sędzia opierał się wydać wyrok śmierci na winowajców schwytanych i oświadczając: że między nimi znajduje się wiele niewinnych; wszystko to żadnego skutku nie uczyniło. Rozjuszony plebs, głuchy na wszelkie przełożenia, zapalony straszliwą zemstą, winnych i niewinnych wieszał bez różnicy. Biskupa ks. Massalskiego, ks. Czetwertyńskiego, Piętkę i Boscampa na własnych pasach powieszono.

Jeden z więzienia wywiedziony tłumaczył się,

że nie jest zdrajcą, a tylko za długi osadzony w więzieniu. Odezwał się ktoś z ludzi:

— To dobrze, nie będziesz już winien nikomu.

— Wieszać go! — zawołano — i tak biedak niewinnie powieszony został!

Tylko hrabia Moszyński, marszałek koronny uszedł szczęśliwie haniebnej śmierci, bo go Zakrzewski, prezydent miasta, szanowany i powszechnie wielbiony uratował, rzuciwszy się w objęcia jego z wołaniem:

— Jeśli chcecie go wieszać, wieszajcież ze mną razem!

Lista osób, które miano wieszać była dość znaczną, i byłby lud nazajutrz skutecznił swój zamiar, gdyby nie wódz naczelny, który stał obozem pod Gorkowem, trzy milki małe od Warszawy. Kościuszko dowiedziawszy się o bezprawnym postępku tłumu, wysłał czempredzej z obozu swojego oddział wojska do stolicy, rozkazując schwytąć dowódców tego buntu i przyprowadzić ich do obozu dla wymierzenia zasłużonej kary. Złożono sąd wojskowy, a po przekonaniu ich najrzetelniejszymi dowodami, siedmiu powieszono; innych jako niewinnych uwolniono. Wtenczas to z największą boleścią serca rzekł Kościuszko: „Strata dwóch bitew, nietylę zajęła duszę moją żalem, jak bezprawia i mordy, które niesprawiedliwie, bez przekonania i sądu popełnione zostały“.

Choć się już zupełnie uspokoiło, król jednakże miotany niespokojnością, lękał się nowego jakie-

goś wybuchu. Czekał niecierpliwie przybycia naczelnego wodza do Warszawy, mając nadzieję, że pod jego skrzydłami znajdzie zupełne zabezpieczenie swojej osoby.

Przybył наконец pożądany Kościuszko. Właśnie wtenczas najpierwsi inżynierowie urządzali katafalk w kościele, bo miano odprawić egzekwie za poległych tak w rewolucyi, jako też w bataliach pod Racławicami i Szczekocinami. Wspaniały, a razem i smutny widok przedstawiał katafalk, wśród kościoła katedralnego postawiony. Armaty, moździerze, kolumny z karabinów, gorejących ponurem światłem, orły polskie, obleczone sztandarami, różne trofea, pomiędzy którymi na wielkich blachach wyryto przezwiska poległych bohaterów — wszystko to uświetniało smutny obrządek. Gdy już miało się zacząć nabożeństwo, dano znać królowi. Wyszedł zatem z zamku piechotą, kurytarzem prowadzącym do kościoła, lecz nie zasiadał w łoży swojej, tylko w prywatnej ławce ukląkłszy, modlił się przykładnie. W tem tumult ruszył się od wielkich drzwi kościoła i odgłos dał się słyszeć:

— Wódz naczelny idzie!

Kościuszko w krakowskiej białej sukmanie, przez którą zawieszony czarny skórzany bandelot z napisem: „*Wolność, Całość i Niepodległość*“ utrzymywał pałasz, z czapeczką krakowską w rękę wszedł, otoczony licznem gronem obywateli i wojskowych, do kościoła. Oglądając przepyszny katafalk, spostrzegł króla siedzącego w ławce. Wtedy

z zadziwieniem wszystkich przystąpił z największym uszanowaniem do niego, i, uczyniwszy pełen uczczenia ukłon, powitał króla. Przez cały czas nabożeństwa pozostając przy ławce, w której król siedział. Gdy kaznodzieja mówiąc z ambony o waleczności poległych za ojczyznę rycerzy, wzywał króla, by wszedł w ich szlachetne ślady, i wziął sobie za święte godło: zwyciężyć lub umrzeć z narodem! — Wówczas podniósłszy się król, głośno odpowiedział:

— Nie zawiedziesz się, szanowny kapłanie, gdyż wykonam tak, jakoś dopiero powiedział.

Po skończonem nabożeństwie, gdy król czekał aż wódz naczelny pierwaj odejdzie z kościoła, Kościuszko ustąpił, towarzysząc królowi aż do samych drzwi. Te względy publicznie okazane nie małą pociechę przyniosły królowi. Lecz niezbyt długo cieszył się tą przyjemnością, bo nowy niespodziewany cios i cały ciężar udręczeń zwałił się na głowę jego. Król pruski na czele 50.000 wojska obległ Warszawę; ciągle szturmując, puszczał bomby i granaty w miasto, lecz wszystkie jego usiłowania były nadaremne. Książę prymas, brat rodzony króla, niedowierzając ludowi i lękając się zawsze jakiego nowego zaburzenia, napisał list do króla pruskiego z błaganem, aby ratował króla i jego rodzinę, wskazał przytem sposoby, z jakiego punktu jako słabo opatrzonemu, można uderzyć i zdobyć Warszawę. Posłaniec wyprawiony, przedarłszy się przez cmentarz przy Powązkach zbli-

żył się ku lasowi. W tem przez placówki pilnie czuwające został spostrzeżony i w okamgnieniu schwytany. Zrewidowano go od stóp do głowy znaleziono list i natychmiast zaprowadzono go do namiotu wodza. Indagowany, wyznał, że prymas sam osobiście wręczył mu ten list, a nawet wskazał drogę, przez którą ma się przemknąć do obozu pruskiego. Ten postępek prymasa, zrobił wielkie wrażenie w obozie polskim. Krzyknęto:

— Zdrajca ojczyzny! Są na niego!

Księżę Józef Poniatowski przytomny temu i przekonany o zdradzie stryja swego, wpadł jak najspieszniej do króla i uwiadomił o całym wypadku. Lud w momencie dowiedział się co się stało w obozie. Okrzyki: „zdrajca prymas!“ rozległy się po ulicach. Król widząc, że niema sposobu ocalenia prymasa, posłał do niego list własnoręczny, w którym podobno była zapieczętowana trucizna, i dodane te słowa, że jeśli się czuje być winnym, niech ją zażyje, niema bowiem innego ratunku, inaczej nie uniknie haniebnej śmierci, która go niezawodnie czeka.

Prymas właśnie co skończył czytać ten list, gdy mu dano znać, że lud gromadzi się na dziedzińcu pałacu. Nie wahał się i momentu, połknął truciznę, która była tak silna i gwałtowna, że w pół godziny skutek swój wzięła. Wiadomość o śmierci prymasa rozeszła się po mieście. Tłum sądząc, że to naumyślnie rozgłaszają te fałszywe wiadomości, aby prymasowi dać sposobność

do ucieczki, wpadł do jego pokoju, a przekona-
wszy się naocznie, że już nie żyje, złorzeczając mu
odszedł. Wódz naczelny, uwiadomiony o nagłej
śmierci prymasa, nakazał zebrać wszystkie jego pa-
piery, i zalecił, aby pogrzeb był odprawiony ze
wszelkim obrządkiem, z całem duchowieństwem
tak przyzwoicie, jak należy dostojności prymasa.
Król, przez kilka dni bardziej do umarłego jak do
żywego podobny, nie jadł i nie sypiał: dziwić się
nawet potrzeba, że pod naciskiem zgryzot i naj-
okropniejszych udręczeń, doświadczających go ciągle
dusza jego pod ciężarem nie uległa.

...W tę porę ja pozostawałem ciągle przy re-
gimencie, i w zaciętej bitwie z wojskami Suwarowa
zostałem ranny. Przewieziony do Warszawy, po
przyjściu do zdrowia znów powróciłem do dworu
na służby paziowskie. Ale zaledwie kilka niedziel
upłynęło, gdy nadszedł kurjer z Petersburga, albo
raczej, właściwiej nazywając, z rozkazem carowej,
aby król wyjechał do Grodna. Dlaczego i na jak
długo, lub w jakim celu? — żadnej o tem nie
było wzmianki. Niemało zdziwiło króla, co ta po-
dróż ma znaczyć: nie spodziewał się bowiem, aby
na zawsze miał opuszczać Warszawę. Miotany tą
niepewnością, uledez musiał okolicznościom. Po ode-
branej tej wiadomości przybył nazajutrz Suwarow
do króla, zapytując, jak prędko zamyśla puścić się
w podróż.

— Będę się starał jak najspieszniej uskutecznić
żądania cesarzowej — odpowiedział król —

lecz kasa moja przez zbieg okoliczności jest w tym momencie za szczupłą do odprawienia tej podróży.

— Mam rozkaz od Imperatorowej — rzekł Suwarow — wszystko, cokolwiek Wasza Królewska Mość zażądaśz, uskutecznić natychmiast. Czekam więc tylko jego dalszych rozkazów.

Po opatrzeniu kasy królewskiej potrzebnemi pieniędzmi na drogę, zaczęto myśleć o podróży. Kicki jako marszałek dworu, zajął się przysposobieniem do wyjazdu. Król sam wymienił listę osób, które z nim pojadą. Połowa dworu mniejsza pozostała w Warszawie, z tą samą pensją, jaką dotąd pobierała. Nadszedł nakoniec dzień wyjazdu. Smutny razem i bolesny był to widok, gdy pojazdy zaszły na dziedziniec zamkowy. Mnóstwo ludu nadewszystko reszta pozostałego dworu ze łzami w oczach, w ponurem milczeniu, stała przy drzwiach wielkich zamku, aby pożegnać swojego pana, od którego w czasie swej służby nic innego, jak tylko same dobrodziejstwa ciągle odbierała...

W drodze do Grodna, a później do Petersburga, gdy ktoś z znaczniejszych obywateli zaprosił króla na obiad, król nie odmawiał, lecz zawsze jeden z kucharzy, choć w obcym domu, musiał parę potraw zrobić, stosując się do gustu królewskiego.

Trafiło się raz, iż pewien obywatel na trakcie z Grodna do Wilna, mający swoje dobra, w przejeździe królewskim do Petersburga, zaprosił go na obiad, król nie odmówił. Przy stole dano wino

węgierskie stare: król, który czasem tylko pił węgierskie, bo zwyczajnie tylko francuskiego używał, rzekł: Dobrze waćpan masz wino. — Znajdzie się i lepsze u szlachcica, najjaśniejszy panie — odpowiedział gospodarz. — To dla kogo godniejszego, tamto waćpan zachowujesz — rzekł król. Trembecki siedząc przy stole, sądząc, że wyprowadzi gospodarza z ambarasu, odezwał się: Tamto zapewne przy końcu obiadu będziem pili. Gospodarz nie nie zmieszany odrzekł: — Najdoskonalsze wino, jakie mam tylko w mej piwnicy, będziem wówczas pili, najjaśniejszy panie, gdy Wasza królewska Mość szczęśliwie i pomyślnie dla dobra kraju będziesz powracał z Petersburga do stolicy swojej.

PANI URSZULA W GRODNIE

W. C. COVER

PANI URSZULA W GRODNIE.

Pani Urszula z Ustrzyckich Tarnowska, żona marszałka konfederacyi barskiej w Sandomierskiem, wybrała się w r. 1796 do Grodna, aby ratować skonfiskowane jej przez Rosyę dobra. Było to już po abdykacyi Stanisława Augusta, a tuż przed wywiezieniem go do Petersburga. Pani Tarnowska zaopatrzyła się w najlepsze polecenie, jakie tylko można było mieć do Repnina: bo w list jej sąsiadki z Puław, ks. generałowej Czartoryskiej, z którą Repnin utrzymywał długoletni stosunek miłosny. Protekcyja pomogła: państwo Tarnowscy odzyskali z czasem utracone dobra. W dzienniczku, pisanym dla wiadomości męża, opowiada pani Urszula, osoba rozumna i energiczna, jak tam w Grodnie było.

Z tych bezpretensjonalnych, iście kobiecych, miejscami naiwnych spostrzeżeń jakże silnie przebijają wszystka niemoc króla i Rzeczypospolitej!

*

*

*

Dnia 23 czerwca, w czwartek.

Wczoraj przyjechałam do Grodna w interesie, zleconym mi przez męża, zajechawszy prosto do domu, który mi naradził Potocki, kasztelan lubelski, na spotkaniu ze mną w Białymstoku. Dom ten był duży i bardzo drogi, dwa dukaty za dobę chciano, więc kazałam sobie innego szukać; tak przez menaż pieniędzy, jako, aby złośliwe publikum nie powiedziało, że najdroższy dom wybrałam w moment nieszczęśliwej naszej sytuacji.

We czwartek znaleźli mi stancję małą i nie drogą; ubrałam się o wpół do dwunastej i pojechałam do pani Mniszchowej (siostrzenicy króla) do zamku. Tam wszystkie damy, to jest familiję, zastałam razem. Nie mogę wyrazić ukontentowania mego, jak byłam dobrze i przyjacielsko od nich przyjęta. To mi zaraz osłodziło niegrzeczność Moskali i trudy podróży, a bojaźń sprawienia interesu zamieniła się na moment w miłe omamienie. Jak tylko przywitały mnie te panie, tak pierwsza kwestya:

— Masz podobno list swej sąsiadki (ks. generałowej Czartoryskiej) do ks. Repnina? — pani Krakowska (siostra króla) zapytała.

— Tak, Pani, nie chcę temu przeczyć.

— O, bądź pewna o nas! ale kiedy tak, będzie pani bardzo dobrze przyjęta, o nic się nie turbuj, kiedy ten list masz. Książę przyjmie panią z przyjemnością, powie ci wszystko sam, nie będziesz mu potrzebowała nic tłumaczyć... A zresztą

c'est l'homme le plus juste du monde, ayant des qualités rares i bez niego byłoby nieszczęście nasze nieznośne.

Pani Krakowska i Tyszkiewiczowa (siostrzenica króla) kazały mi się zupełnie na panią Mniszchową spuścić. Uradziły te damy, aby mnie do Repnina, któregom się okrutnie bała, zawieść zaraz zrana, to jest wpół do drugiej do samej księżnej. A choć nie byłam jeszcze w sukni czarnej i wpół tylko ubrana, nie można było odwlekać, bo to był dzień czwartkowy, dzień, w którym Repnin bywa na obiedzie u króla i daje u siebie assamble.

Wychodząc od Tyszkiewiczowej do Mniszchowej, spotkałam króla na korytarzu. Powiedział mi:

— Wiedziałem już, że Pani przyjechała. Cieszę się, że ją widzę, choć sam się wcale nie cieszę...

I kazał, abym była na obiedzie, bo Repnin będzie tego dnia.

Mniszchowa zaprowadziła mnie do męża na radę, który w gotowalni był jeszcze. Wszystko się tam ułożyło. Tymczasem z panią Krakowską miałam rozmowę sam na sam w jej gabinecie. Pytała mnie o różne rzeczy: najprzód o moją matkę, o Lewickiego, o Starzyńską, o lwowskie kome-raże. Potem, jeśli w Galicyi było jakie podobieństwo do rozruchów?

Powiedziałam, że był taki moment, gdy się

we Lwowie bardzo burzyło, ale że tam bardzo roztropnie postępowano.

— A teraz jeśliby Francuzi duchy swoje a może i wojsko przez Węgry do Galicyi przysłali, czy nie rozciągałaby się ich zaraza?

Byłaby dłużej konwersacya ta trwała, ale Mniszchowa przysłała po mnie. Zajeżdżamy na Horodnicę, a mnie serce bije z żalu i bojaźni tego Repnina. A Mniszchowa:

— A list masz? Nie bój się, wszystko będzie dobrze!

Wchodzimy. Stół brudno przykryty. Repninowa tłusta, wysoka, twarz płaska, pudru naklepano na włosach, podobna do starej Szatkowskiej. Cicho gada, powolnie, słodkawo. Córką jej, księżną Wołkońska, Romancow i jakiś oficer moskiewski. Chciała Repninowa zaraz posyłać po męża, ale woleliśmy go u króla widzieć. Zaprosiła mnie na assamble czwartkowe i niedzielne, mówiąc prócz tego, abym przyjeżdżała, kiedy mnie się podobą. Prosta bardzo baba, powiadają, że zła...

Idziemy do króla. W pokoju wojewodziny podolskiej (siostry króla, Zamojskiej) wszystkie damy przed obiadem się schodzą. Król z niemi, Repnin i Mniszech. Król mnie bardzo słodko i łaskawie witał, o cały interes dopytywał się cierpliwie, potem list mu oddałam do Debolego i ukłony od Byszewskiego, sąsiada mego. O Debolim dopytywał się, czy jest od żony kochanym? że jest pocziw, ale nieładny i sapie. Byłaby dłu-

żej ta konwersacya poszła i nagotowałam się z różnemi zabawnemi anegdotkami, aż Repnin wszedł.

Nie bardzo staro jeszcze wygląda, figura trochę schylona, powierzchowność człowieka ordynaryjnego, bardzo *simple*. Król (słaby tego dnia i smutny), sam mnie prezentował Repninowi, a Mniszchowa zaraz wypaliła:

— *Madame n'a pas un moment à perdre, vous aurez la bonté, mon prince, de l'ecouter favorablement!*

I poszli wszyscy odemnie w drugi róg pokoju.

Repnin wziął mnie pod rękę do okna, miejsca wszystkich konferencyi, zaraz mówiąc:

— Upprzedzono mię o pani przyjeździe. Zrobię wszystko, by Jej wygodzić.

Ledwie miałam czas mu odpowiedzieć, jakie piękne rzeczy, że to jest celem mojej podróży, że mam list od ks. generałowej dla niego, czy mogę mu oddać? I oddałam.

A wtem obiad dali. Nie miał czasu więcej jak trochę zapytać mnie o Puławę, prosząc, abym o 7-mej przyjechała do niego przed *assamblami* i tam ze mną dokładnie rozmówi się. Ale tak nie stało się, bo król po obiedzie i Mniszech rozpowiedzieli mu cały interes, a ja z wachlarza mego, na którym ponotowałam sobie, o co go pytać miałam. Znowu przy oknie rozgadaliśmy się długo. Na wszystko z powolnością największą dał mi odpowiedź, przestrzegając 1-mo, że żadnej nadziei

mieć nie możemy, aby nam Wasylowszczyznę oddano, 2-do że trzeba, abym zaraz stąd do Imperatora i Zubowa pisała, 3-tio, że potem będzie mógł miarkować, jeśli podróż do Petersburga będzie potrzebną. Powiedział, że są dwa rodzaje występków i kar: że tym, co po przysiedze podnieśli się przeciw Imperatorowej dobra konfiskują; tym zaś, którzy nie zjechali na czas oznaczony, dobra sekwestrują.

Odetchnęłam, a te damy zaraz otoczyły mnie, pytając, jak się udała konferencya i że uważali, że z wachlarza czytałam. Król się przysunął, pytając: jak jestem kontenta? I tak się mną zatrudnił, że dał mi śliczną stancję, obiad codziennie, listy napisał i Fryzego (sekretarza swego) dodał, który latał od króla do mnie, odemnie do Repnina, od Repnina do króla.

Przy obiedzie familia, Grabowska, Repnin, adjutanci, poeta szambelan (Trembecki) i ja.

Rozmowa była zabawna. Z początku król był smutny i nic nie gadał. Repnin wiele: to o Puławach, to o ogrodzie, z ogrodu do ogrodnika, z ogrodnika do Siedlec do Narbutównej, od Narbutównej raptem o strachach. Zaczął przez stół opowiadać jakąś historję o Szwedenborgu, który w Szwecyi umarł; że jednej wdowie, która po śmierci męża turbowwała się o jakąś kartę zgubioną na jakąś znaczną sumę, Szwedenborg pokazał męża nieboszczyka, który jej powiedział: że

w tym stoliku, w tej a w tej szufladzie jest ta kartka; i tak wszystko znalazła ta wdowa.

Repnin dosyć gada, ale rozpowiada nie bardzo przyjemnie.

Król się odezwał, że w Szwecyi za króla II. w sali jednej sejmowej widziano zawsze sejm i świece zapalone w nocy i króla małego na tronie i ministrów: wszyscy bez głów siedzieli. Nie-równie to lepiej rozpowiadał. Grabowska przypomniała Elżbietę carową, że sama siebie na tronie obaczyła i wniosła z tego śmierć swoją. [Ja coś o kobiecie białej, w Berlinie w oknie ukazującej się dość niezgrabnie przypomniałam, jako z parafii dama i strachów się bojąca.

O Elżbiecie długa była materya do konwersacyi. Repnin mówił, że ją nazywali *Chlebnaja Imperatryca*, że były czasy urodzajne za jej panowania, że ona była czynna, przytomna i śmiała. A jak się dowiedziała o przegranej batalii, napisała, aby Repnin, który będąc jeszcze młodym, był wówczas w obozie, powracał jak najprędzej, bo się boi, by nie nauczył się uciekać, patrząc na uciekających; że z tej nowiny konwulsyi dostała, które trwały aż do śmierci. Król ją znał i opowiadał jej postać: że była wysoką, tłustą bardzo i miała coś wielkiego z tyłu, jakby garb; wszelako miała postawę szlachetną i widziało się w niej coś wielkiego. To z pewnością ten garb — pomyślałam sobie.

Od Elżbiety poszła rozmowa na Francuzów,

co gazety opisują; krótko o tem gadali, a potem, nie wiem jak, przyznano, że Moskiewka była na tronie francuskim. Repnin ciekawą anegdotę z tej okazji opowiadał, że ta książka w Rheims, na której przysięgali królowie francuzcy, po moskiewsku jest napisana (!) Nie do uwierzenia, a przecież tak mówiono. Król przyznał, że to być może, że w te czasy wiele na grecki język i charakterem greckim we Francyi przepisywano pism różnych. Potem opowiadał Repnin o piorunie, który teraz uderzył w Kronsztadzie i spalił 200 galerów. Na ostatek konwersacya raptem spadła na generała moskiewskiego Kamińskiego, o jego żywocie. Król już był się rozgadał i zakończył to wszystko żartobliwym rozpowiadaniem, trzpiotowatej omyłki tego generała z grafem Brühlem, który gdzieś grał komedią w jakiejś kompanii i ubabrał sobie twarz czekoladą, aby się wydać bardziej komicznym. Kamiński, który nie znał go dobrze, a chciał mu pogrądulować dobrej gry, spotkał nazajutrz Marellego, który był czarnym mulatem. Zaczyna do niego komplement i chwali. Ten się dziwuje, wymawia: a ten chwali, a tego wszystkiego narobiła czekolada. Król opowiadał to tak wesoło, że wszyscy obecni zaśmiewali się.

I na tem się stół zakończył — lecz i kawę tam pili. Szambelan wstał od stołu i podał królowi filiżankę.

Reszta etykiety dworskiej źle się wydaje w Grodnie, choć króla tu trzymają z okazałością.

180 ludzi zaciąga do niego na wartę; od Horodnicy przez całe miasto idą z chorągwiami i muzyką. Ma czterech szambelanów, trzech sekretarzy, czterech paziów, czterech koniuszych, dwóch marszałków dworskich, doktora, poetę Trembeckiego szambelana, dużo liberyi; ma pensyi jedenaście set dukatów na miesiąc i tę regularnie mu wypłacają. Egzaminują jego dłużni. Fryze, który do tego należy, powiadał mi, że większa część nieusprawiedliwionych; że jeden bilet królewski na 160 czerwonych złotych nie wart był, jak tylko 30 i że tak spadł, a drugi na 60 dukatów nic wcale nie wart.

Szanują go jak króla, ale dwa obozy moskiewskie około miasta stoją i nic mu nie wolno bez wiadomości Repnina zrobić w swoich interesach. Myślałby kto, że w niewoli go trzymają z tą okazałością — ale o tem nie wolno tu myśleć a dopieroż mówić....

Po obiedzie damy z muzyką bawiły Repnina; Mniszchowa grała, Grabowska śpiewała, a ja tymczasem bawiłam króla u małego stolika. Tyszkiewiczowa tak dobrze wygląda, jak ją tak dawno nie widziałam, *plas élégante dans sa parure et plus éveillée*; córka jej dość piękna, wyplotła, że ja umiem grać dumy ładnie, a Repnin to lubi. Wyciągnęły mnie te damy do klawikordu, który kalikował ładny chłopiec, syn Grabowskiej, podobniuteńki do księcia Józefa. Co tylko grałam, mówiłam sprytnie, że z Puław, że tam skompono-

wano, że tam było lub będzie. Król się oparł na klawicymbale i w oczy mi patrzył, a potem prosił pewną damę rosyjską, by mu zaśpiewała arję z „Figara“. Dosyć to długo trwało i do siódmej Repnin bawił u króla; mocno się żona temu dziwowała, która lubi, aby prędko do domu powracał.

Od niejakiego czasu nabożnym się zrobił i żonie wiernym. Zawsze mnie pytał o Puławach, jak żyją i kto tam bywa? Ja zawsze powiadałam: że cicho żyją, że mało kto tam bywa, że nie mają gdzie postawić gościa, bo sama księżna i wszyscy mieszkają w oficynach, że pałac zrabowany i że się tylko ogrodem zatrudnia.

Wieczorem byłam na assamblach u Repnina. Pełno ludu, ale sami Moskale; prócz pana Mniszcha i starego Dziekońskiego, ani jednego Polaka w Grodnie nie widziałam. Dam było ze trzy przystojnych, reszta matuszki; nie wiem, jak się zowią; ale dam co się zowie, dam orderowych było cztery: księżna Repninowa, grafowa Panin, Mniszchowa i ja. Miałyśmy duże podobieństwo do dam karcianych. Repninowa była podobną z kształtów do damy treflowej, Paninowa do kierowej, bo najpiękniejsza, ja do pikowej, jako ubrana czarno, a Mniszchowa do karowej.

Potem zaproponowano wista i pomimo protestu, że gram bardzo źle, przymuszono mię do gry z damami i generałem Frellier, jakąś strasznie zimną i nic nie mówiącą figurą; ale mnie to trzy

dukaty kosztowało, bom przegrała sześć robrów i znudziłam się śmiertelnie.

Kolacya była nie dobra, zimna. Gospodarz nie siedział u stołu, mówiąc, że już od 20 lat kolacyi nie jadł, ale uważałam, że jest z tych ludzi, których lada kotlecik tentuje. Zjadał sobie po trochu, stojąc zawsze między Mniszchową i mną i zawsze gadał bardzo wiele.

Dnia 24 czerwca, w piątek.

Pani Krakowska dziś wyjeżdża z Tyszkiewiczową do Białego Stoku. Król był smutny, a co większa, w takiej dystrakcyi, że nie czuł, iż miał fartuszek odpięty i w tym stroju stanął przedemną i coś mi gadał. Ale nie pamiętam, co mi gadał, bom się zmieszała z tej awantury; język plątałam, a oczami w bok byłam.

Pożegnanie nie miłe nikomu, więc chodziły z kąta w kąt damy pomieszane: Grabowska uciekła, król w oknie płakał, Tyszkiewiczowa chrząkała, pani Krakowska łzy w oczach miała, wojewodzina podolska wzdychała, pani Mniszchowa wszystkiemi zdawała się równie zatrudniać. A jakże ja byłam smutną między smutnemi.

Król potem rozkazał mnie wołać do swego gabinetu (ale nb. już był porządniej ubrany), czytał mi listy, które napisał i okrutnie się gniewał, że Repnin poprzydawał: *Horrible insurrection*. Mówił mi z gniewem:

— Nie pisz tego, to się nie należy.

Król jest smutny i jedną nogą powleka, ale ostatecznie ma dobrą minę, średnio otyły i jeszcze piękny. — Zawsze się go z przyjemnością słucha.

Wtedy też rozmawiałam przez chwilę z szambelanem Trembeckim, o którym mówiono, że taki oryginał. Pytam go, czy nie napisał co nowego? A on mi na to grubym głosem:

— A cóż? chyba treny Jeremiasza!

Poeta rozgadał się ze mną, rozumiejąc, że w polityce tęga głowa; ja jego, a on mnie chciał wymacać, powiedział mi jednak, że on ma nadzieję, że Polska tak nie zostanie, że Pitta systema nie utrzyma się i że Anglia pokój zawrze, za którym i generalny nastąpi, a przy nim coś dla nas będzie.

— Tak Waćpan rozumiesz?

— Ja spodziewam się, że i pani tak trzyma?

— O, co ja, to nie tęga jestem w polityce, nic nie rozumiem.

Z Fryzem znów inaczej gadałam; ten powiada, że nie masz nadziei dla kraju naszego, że koniec Polski; o dalszym losie króla tylko mają nadzieję, że tu w Grodnie nie będzie siedział, że podobno w Wiedniu zamieszka. Z największym moim smutkiem dowiedziałam się z tego, com mogła z Fryza wyrozumieć, że nasi trzymani w Petersburgu, nigdy nie będą wypuszczeni i do Polski wróceni; że Kościuszko siedzi już w Schlüsselburgu.

Oddałam dziś wizytę pani Grabowskiej; już

dobrze podstarzałą wygląda; zastałam ją czytającą: *Les lettres à Emilie sur la Mythologie*. Wypadało jej grzeczność z tej okazyi powiedzieć, że jednego jestem gustu z nią i nie dawno skończyłam tę księgę przed przybyciem do Grodna. Żyje ona poufale z grafową Paninową.

Dnia 25. czerwca w sobotę.

Szymanowski młody był u mnie rano, ten, co się z Potocką ożenił; dwa kroć sto tysięcy intraty będzie kiedyś miał. Tymczasem ojciec nie chce mu dać posagu. Powiedział mi, że córkę miłością a matkę spazmami potrafił sobie zjednać.

Zastałam już króla u obiadu siedzącego; wlażłam jak trusia; miejsce zastałam zostawione dla mnie. Król był smutny, bo Bekler dziś powrócił z Warszawy, dokąd swoje rzeczy pakować jeździł. Cały czas nowiny prywatne opowiadał. Nie rozumiałam nic z tego i nie znam osób. Król w mundurze kawaleryi pięknie wygląda. Po obiedzie te damy starają się, aby mu coś gadać; nic śmiesznieszego, jak wojewodzina podolska w swoim robronie. Jak ona się dusi, aby królowi coś nowego powiedzieć!

Ja sobie w drodze znalazłam książki hollenderskie i psalmy Dawida po łacinie i po grecku, pięknej edycji, które kozak po zrabowaniu biblioteki Załuskich, sprzedał na jednej poczcie pocztmistrzowi; zdawały mi się coś dobrego, wzięłam je z sobą, aby się poradzić kogo, czy można je ku-

pić. Naśmiali się ze mnie, że łacińskie książki kupuję, a tembardziej holenderskie. Była to materya do długiej konwersacyi. Król mnie egzaminował, dla kogo ja to kupuję i jak mogłam się na tem poznać? Zabawiło to całą kompanją. Kazał król, abym po nie posłała, że on sam obaczy i poradzi mi. Przynieśli książki, które król długo oglądał i rzekł: „Nie kupuj tego, bo nie wiele warte; są to tylko do kolekcyi księgi i dla amatorów“. Książki holenderskie były o rewolucyi w Holandyi, jak katolicy lutrów męczyli, co wszystko na kopersztychach wyrażone było. Czwarta była poezye łacińskie, ale nic nie warte. Potem król w lepszym był humorze i oglądał moje ubranie. Chwalił mój kaftanik czarny, mówiąc: „Nie wiem, co pani masz tam, ale to mi się ogromnie podoba. *c'est fort joli*“. — Właśnie jakby wiedział, że przed godziną Mniszchowa z Grabowską ganiły go.

Konwersacya u małego stolika zaczęła się coś bardzo *a propos*: wypadło mi powiedzieć, że widziałam w Puławach *le voyage de Macartney en Chine*. Tu wojewodzina przerwała swoje haftowanie obicia, które od dwudziestu lat haftuje, jakby Penelopa, czekając na powrót tego, co się nie powróci dla niej; przerwała, aby mnie upewnić z miną tryumfującą, że księżna generałowa pewnie nic nie umie po angielsku. Ale król mnie poparł w tym niebezpiecznym razie, że wiele rozumie, i tyle, żeby mogła tę książkę czytać. Mówi, że wątpi, aby co nowego w niej było, nad to, co

już czytał w gazetach; nie mają jej jeszcze w Grodnie.

Jak się król ukłonił, to każdy do siebie, a ja zaczęłam pisać te nieszczęśliwe listy, aż tu wchodzi Repnin i sam na sam byliśmy z sobą. Rozmowa była ucieszna, przeplatana: interes z kokieteryą i znów interes i znów kokieterya. Oglądał portret, mężu, pytał się, wiele lat masz i dlaczego ja cię się tak boję w interesach, że Polki nie zwykły się bać mężów. Na tę facecyą ja też nawzajem facecyą odpowiedziałam: że mam żal do niego, że nie słuchał dość z uwagą aryi, choć skomponowana jest przez księżnę generałową, że nadto kokietował z panią Tyszkiewiczową. Powiedział mi, że nie jest rzeczą przyjemną przypominać rzeczy, które minęły, a nie powrócą.

Bardzo to wszystko zabawne było, cośmy gadali. Nie zapomina on, że jest stary, zawsze o tem gada, ale to zręcznie i figlarnie.

Wyrobiłam sobie nareszcie, że opuści ten brzydki termin *horrible insurrection*, który on sam włożył w liście do Zubowa, ale to wszystko gładko i wesoło poszło.

Przeplatana ta konferencya trwała dość długo; brał swój kapelusz i znów zostawał i śmieszne rzeczy gadał; mówił: że jestem zawsze na dworze, przy obiedzie, lecz on prosi, bym spędziła wieczór u nich.

W godzinę potem przyjechały do mnie damy: księżna Wołkońska, Paninowa i młoda Morawska;

ciągnęłam im kabałę z kart hieroglificznych, które na stole zastały, — bardzo się tem ubawiły. Wołkońska się śmiała, Paninowa płakała, na smutek jakiś, pierwsza okrutnie wesoła ale brzydka, druga smutna ale ładna i pełna talentów; te damy bardzo mnie pokochały za tę kabałę: Paninowa mi oświadczyła, że będzie mi użyteczną w Petersburgu, jak tam przybędzie. Ona z domu Orłowa, wnuczka sławnego łotra Orłowa.

Kolacyą zjadłam u siebie, aby mieć czas to napisać.

Dnia 26. Czerwca, w Niedzielę.

Na nabożeństwo miałem jechać z Morawską, na mszę, ale wolałam pójść piechotą i przy tej okazji obaczyć trochę miasto, które jest mocno do Lublina podobne, ale porządniejsze i więcej ma kamienic. O wyjeździe myśleć zaczęło się; aż mi mówią, że trzeba paszportu od samego Repnina, wziął to Fryze na siebie.

Godzina obiadowa. Pojechałam do zamku; Paninowa zegnała króla, który ją na obiad zatrzymał. Mąż jej wysoki, młody, chudy, klucz ma złoty na fałdach: bardzo się z sobą kochają.

Repnin mnie pytał przez stół: czy dobrze zakończyłam listy, czy jakiego nieszczęścia nie było, lub inkaustu nalanego zamiast piasku? Potem o księciu de Nassau zaczęła się mowa, jak on lata po świecie — że sam o sobie powiedział:

że nim flota wszystka z morza Bałtyckiego na morze północne pod Anglię podeszła, on tymczasem na koniu tę drogę obleciał i stanął równie z flotą; potem o jego żonie, że z Wenecyi ucieknie przed Francuzami, jeżeliby tam mieli zbliżyć się. Król powiadał o jej ubraniu różne rzeczy śmieszne, że jednego razu nakładła tyle szmat na głowę, aż mąż jej powiedział: Cóż to, całą altanę masz na głowie?

Znów mnie do klawicymbału wypromowano; kazali piosnkę z Puław grać: Repnin znalazł ją śliczną, ale że wesół dla niego nadto, a on lubi same dumy.

Król Jegomość: „Czy nie umiesz WPani tej?“ — i zaczyna mi śpiewać nad uchem bardzo blisko; znalazłam szczęśliwie coś podobnego. Potem kazał mi grać menueta, starego jak świat, i tego nie umiałam. Mniszchowa go musiała grać, potem Gilotynę, której autora gilotynując, grali mu ją przy śmierci. Król tymczasem wziął mój wachlarz i wszystko wyczytał, co tam było zanotowane. Wojewodzina podolska z Grabowską tymczasem grały tryktraka, Chreptowicz z niemi gadał i uważał moją muzykę, Mniszech kwaśny się nudził, wzdychał, że ma jechać do Galicyi na homagium. Repnin poszedł — poufałość większa; u małego stolika król trochę pogadał o Suwarowie, powiadał, że raz przed Repninem Suwarów chwalił się, jak mu się wszystko udaje i powodzi. — „Prawda, odpowie Repnin, że ci się wszystko

udaje, tylko jednej rzeczy nie możesz dokazać: że chcesz udawać duraka, a nikt cię nie ma za niego."

Powróciłam do siebie o szóstej. Oddał mi wizytę Romanzow, pił u mnie kawę, dawał mi dobre rady względem drogi petersburskiej, i że to wielka bajka, aby ta podróż tak wiele kosztować miała; że wszędzie być mogę w czarnej sukni, prócz dworu, a że tam wcale drogich sukien nie mam sprawiać; że w białej gładkiej mogę się prezentować imperatorowej; że mam się udać do pana Wielohorskiego, on powie dworskiej pannie, która będzie na służbie, i ta będzie mnie prezentować imperatorowej, że to najkrótsza droga.

Grabowska oddała mi wizytę, pojechaliśmy o ósmej razem do Repnina, w mojej remizie, na assamble i kolacyą. Czas był piękny, Repnin namówił mnie łatwo do ogrodu. Repninowa na kanapie tymczasem gości przyjmowała. Ja z Grabowską poszłyśmy, przybyła Paninowa i Morawska; wielka czereda orderowych generałów i oficerów szła za nami. Ogród na Horodnicy, publicznym nazwany. Repnin w tonie swym nie ma tej elegancji ani też tej dumy Stackelberga, lub jakiego dworaka; w obejściu się prosty, twarz dosyć otwarta; mówi dobrze po francuzku, ale bez zwykłej Francuzom wytworności i elegancji, i bez tej nadzwyczajnej łatwości, którą wielu Polaków posiada. Wesół jest, włosy ma zupełnie białe,

figura trochę pochylona, twarz dość przyjemna. Mówił, że czas już przeszedł dla niego, aby się damom podobał, dość Grabowska mnie zapewniała, że ma on doskonałą figurę; świetnie ułożone nogi, i że tańczy bardzo ładnie. Grabowska mówiła mi także, że dobra, które mu niedawno cesarzowa podarowała, oddał synowi, którego miał z M..., a że syn ten był w Grodnie. Że to dla mnie była nowina wielka o tym romansie M...skiej, bardzo chciała widzieć tego syna, ale właśnie tego dnia się absentował. Nie wiem dla czego zawsze ciekawość bierze widzieć takie dziecię miłości.

Tańczono w drugiej sali, alem się z tego wyprosiła; Repnin chciał i sam prosił mnie w taniec, ale miałam przyczynę wymówić się, obiecałam, że przyjadę tańcować, gdy odbiorę respons pomyślny. Same oficery kręcili się dość zręcznie. Szymanowski, jeden Polak i Matuszewicza brat w moskiewskiej służbie, oficer pruski, wysoki jak kolumna egipska, z długim bardzo akselbantem *faisaient les pilliers du bal*. Jeszcze Prusaka nigdy tak wiele tańczącego nie widziałam.

W środku balu pomieszanie nastąpiło, dano znać, że księżniczka Repninowa zemdliała w kąpieli. Jest to panienka dorosła i mająca słabość nerwów osobliwszą, z którą się urodziła; nogi się jej plątają, gęba konwulsye miewa, żadnej władzy nie ma w języku, ani w nogach. Chodzi jak sama skrzywiona, ale w bok zawsze; mówi źle czasem.

Powiadano mi, że matka będąc z nią w ciąży, była na polowaniu i zapatrzyła się na sarnę dobitą, której niemocy i konwulsyi w twarzy, podobnych do tego zwierzęcia córka doznaje.

Kolacya lepsza trochę, jak we Czwartek. Repnin chodząc bawił damy; mówił mi, abym księżnej generałowej przypomniła wino stare, które pił u niej. O lipcu gdy mowa była, uważał że chcę dostać go w Grodnie; kazał mi przynieść butelkę, i tę już po kolacyi musiałam z nim kosztować. Pochwaliłam, i darował mi dwadzieścia butelek na drogę; alem się wstydziła tak wiele od Moskwicina przyjąć i wymawiałam się bardzo, o dwie tylko prosiłam. Jednak nazajutrz rano te wszystkie butelki były już u mnie; wzięłam cztery, choć ludzie moi namawiali mnie na wszystkie, i Moskał nie chciał odnosić.

Dnia 27. Czerwca w Poniedziałek.

Pan Fryze przyniósł mi paszporta i moja ekspedycya skończoną była zupełnie; nie mogłam temu sprawnemu i grzecznemu człeku niczem innem, jak wzajemną grzecznością zapłacić za jego pilność około mego interesu. Tyszkiewiczowa mi powiedziała, że pieniędzy nie przyjmie, kiedy od króla jest komu przydany. Byłam więc z wizytą u jego żony; król przysłał, abym jeszcze na obiad do niego przyszła, ale mi się nie chciało ubierać i bałamucić z wyjazdem, do którego już miałam wszystkie przygotowania. Przysłał mi więc

różnych prowiantów na drogę, tak z mięsa, jak z wina i chleba, jakby wiedział, jak to żonę mąż w drogę wyprawia. Wyjechałam więc dziś z Grodna o siódmej wieczór w poniedziałek; gdy przyjechałyśmy do Niemna nad przewóz, droga była zapchana pojazdami i żołnierzami moskiewskimi; powiedzieli mi, że Repnin jest nad brzegiem i ogląda most nowy. Ledwie się przecisnęła przez ten tłok paradny, prosiłam najbliższego oficera, (którego już znałam trochę i zdawał mi się z najładniejszych Moskalów w Grodnie), aby powiedział Repninowi, że ja tu jestem i chcę się jeszcze pożegnać. Poleciał piorunem, księżę przyszedł do karety, całą czereda orderowych stała: wysiadłam z karety. Pokazywał mi statki, pożegnaliśmy się wzajemnie, wsadził mnie do karety, zamknął drzwiczki i Dobrusię pogłaskał mówiąc:

— To zadziwiające, że damy polskie nie potrafią nigdy podróżować bez piesków!

Potem prosił mię, abym zapytała ks. gen. Czartoryską, czy ma jeszcze pieska Mufty'ego.

Tak opuściłam ponure Grodno, gdzie tyle smutnych wrażeń i nieprzyjemnych spotkań z Moskalami znieść musiałam.

KUGLARZ NA POCIECHĘ!

THE HISTORY OF THE

11

Imć Michał Matuski, dworzanin królewski w Grodnie, zostawił nam „pewną y ciekawą relację” o dziwnych sztukach kuglarza Pinettego.

...Jeszcze w pierwszych dniach miesiąca sierpnia 1796, zapowiedziane było przybycie z Wilna sławnego kunstmistrza i magika, Imci pana Pinettego, który się tytułował dworzaninem wielu monarchów, a także wielkim czarnoksiężnikiem sułtana egipskiego. Kiedy powiadano, że zbliżał się do miasta, ruszyło się wszystko na jego spotkanie, to pieszo, to jezdno. Z naszego dworu pojechała pani wojewodzina Podolska (siostra króla) z córką, zięciem i wnukami, pan kanclerz Chreptowicz, pan szambelan Trembecki, jako że twierdził, iż dawnym jest znajomym Imci magika z francuskich jeszcze krajów. Pan koniuszy nadworny Kicki i siła innych panów, do których przyłączył się genaralitet rosyjski ze swojemi paniami. Kawalkata była tak duża, iż ją składało dziewięć poczwórnych powozów, nie licząc w to kabryoletów, a większa część panów jechała wierzchem przy powozach.

O czwartej z południa tuman kurzū podniósł

się wielki: wjeżdżała do miasta cała kawalkata. Przodem jechali noga za nogą wojskowi, tuż po obu stronach tłoczył się lud pieszy. W karecie o sześciu oknach, złoconej całej i pomalowanej w różne zygzaki, słońca, gwiazdy, węże, żaby i tym podobne gady, siedział sam Imć pan Pinetti w złocistych sukniach, pudrowanej peruce, z harcapem. Na głowie miał trójgraniasty kape-lusik z czerwonym pióropuszem. Dwaj woźnice popędzali z konia cug poszóstny, na kozle zaś siedziało trzech ludzi czarnych z afrykańskich krajów, co ich negrami albo murzynami zwą i dęli bez ustanku w instrumenta. Kawalkata posuwała się noga za nogą przez miasto, z niemalą uciechą tłoczącego się ludu, aż na przedmieście Hlorodnicę do domu szlachcica Krzyżanowskiego, gdzie mieszkał książę Łapanow-Rostocki, który zaprosił na kwaterę tego pana czarnoksiężnika.

Nazajutrz zjawił się Pinetti na zamku u króla Jegomości, ubrany we frak bogaty z guzami z drogich kamieni, a szpadę niewielką miał przy boku, z rękojeścią bogato kameryzowaną; król przyjmował go w żółtym gabinecie, rozmawiał z nim pół godziny, i tegoż dnia przybył na obiad z ks. Łapanowem w jego powozie. Mag jest niewielkiego wzrostu, tuszy dość okrągłej, ruchliwy; chodzi żwawo, ciągle w pokłonach, po polsku zaledwie kilka wyrazów przekręca. Gdy zasiedli do stołu, ja byłem tego dnia na dyżurze dla do-

zorowania służby lokajskiej, którą przewodził kamerdyner Wójcicki.

Podano zupe, a mag nie je. Król pyta dlaczego? Mag się wymawia, że nie ma łyżki. Spojrzymy z Wójcickim, brakuje łyżek przy kilku jeszcze nakryciach. Co prędzej poskoczyli lokaje po łyżki, przynoszą, kładą na serwisach, ale znów ich nie staje. Rwetes robi się straszny, podajemy łyżki, a one giną w oczach, lokaje tracą głowę. Król Jegomość śmieje się i każe łyżki podawać dalej. Pobiegł kredencierz, zapasowe pudła ze srebrzem otwierać, konsternacya pomiędzy służbą była wielka. Aż mag, za pozwoleniem króla, wstał z miejsca, począł niby tych łyżek szukać, naprzód panu szambelanowi Trembeckiemu wyjął ich kilkanaście z kieszeni, marszałkowi koronnemu (Mniszchowi) wyjął także kilka z harcapa, a pani krakowskiej kilka z woreczka, co nosiła przy sobie. Pyta teraz Pinetti kamerdynera Russo po francusku, czy się łyżeczek doliczono? Jednej brakowało. On wówczas, przeprosiwszy króla, wyjął mu tę łyżkę z futerała od szpady.

Śmiech był wielki, nawet i służba od śmiechu wstrzymać się nie mogła.

Pinetti dalej różne kuglarstwa pokazywał, co mu podadzą wino, on wypije, kieliszek rzuci do sufitu, aż zabrzęczy, a potem znów go gdzieś w całości odszuka. Na pieczyste były przepiórki, które król bardzo lubił, On wziął parę, poroz-

krawywał, a z każdej wylaciąła żywa, tak, że obie złapaliśmy. Musieli panowie głodni wstać od stołu, bo cały czas śmieli się z przeróżnych sztuk, które tworzył.

Na kilka tygodni przed przyjazdem czarno-księżnika, budowano z rozkazu gubernatora wielkie teatrum w gmachu niegdyś przedzalni podskarbiego Tyzenhauza, która stała pustą, a zamieniono ją w piękną salę. Było wywyższenie, które sam pan Pinetti przyozdobił materyami i tureckimi kobiercami; ustawiono jakieś kolumny dziwaczne, bogate sprzęty, rośliny zamorskie, wypchane ptaki, węże i rozmaite zwierzęta. Dwie łóża: z prawej strony dla króla Jegomości, na przeciw dla Repnina, przystrojono bogato. Wszelako królewska była piękniejsza, bośmy się około tego pilnie krzątali. Ściany powleczono hiszpańską brokatelą, na suficie była makata turecka, po bokach srebrne lustra weneckie. Na głównej ścianie zawiesiliśmy z zielonej komnaty obraz z amorków, co najbardziej ornamentowało.

Pierwsza reprezentacya rozpoczęła się 16 sierpnia o godzinie szóstej, lecz pomimo dnia sala była ciemna i oświetlona lampkami różnych kolorów, bardzo kunsztownie i z gustem. Cała scena gorzała w ogniu, i żeś długi czas na niej oczu nie utrzymał. Pinetti miał na sobie suknię długą z szerokimi rękawami, na niej wyszywane srebrem i złotem różne dziwolągi, na głowie już niepudrowanej dużą czapkę, spiczasto zakończoną u wierz-

chu. Począł sztuki od tego, że przez całą salę rozrzucał karty, a kto tam ze spektatorów o jaką zawołał, czy „niżnika dzwonkowego“, czy „kralkę czerwioną“, wnet mu ją rzucił z kupki, nie patrząc, a karta leciała, jakby kamień z procy ciśnięty. Następnie łykał noże, szpady, puginy i różne ostre narzędzia, gryząc je tak, że mu w zębach chrupały jak obwarzanki. Tłukł w móźdierz zegarki i różne kobiece precioza i klejnoty, a potem, czart wie skąd, dobywał. Przy mnie nawet znalazł za kołnierzem zegarek pana szambelana Strzembosza i manele pani marszałkowej koronnej, ażem się przeląkł. Przy magiku stało czterech sługusów, niby jak on ubranych, ale biedniej, a na wierzchołkach wysokich czap gorzały w nich globusy ogniste, jak lampy. Jakim cudem to się działo nie pojmuję, bo cała zabawa trwała ze trzy godziny, a owe globusy ciągle gorzały. Od czasu do czasu wydobywała się jakby z pod ziemi smętna muzyka, rodzaj mgły, wydającej woń mocną, lawendową, pomieszaną z benzoeseem i piżmem. Odór tak był odurzający, iż panie słabsze musiały od czasu wydalać się na korytarze, żeby nie zemdleć.

Wszystkich sztuk opisać trudno, ale dwie z nich szczególnie mi się podobały: Wziął kuglarz sześć małych jajek, jakby wróblích, mówiąc, że to są jaja kanarków, w oczach wszystkich nabił niemi garłacz, a podszedłszy do łoży królewskiej prosił króla, aby raczył strzelić z tego garłacza,

do krzewu znajdującego się na środku sceny. Król Jegomość śmiejąc się zadosyć uczynił tej prośbie, a gdy strzał padł, na krzewie ukazało się sześć kanarków, któreśmy wszyscy oglądali, że żywe i prawdziwe. Potem prosił Pinetti widzów o złote monety. Król, sięgnąwszy do kieszeni dał mu garść dukatów. On natychmiast przeliczył było ich 57. Poszedł potem do drugich panów, ci mu także sypali złotem. Potem misę całą dukatów postawił na sali, przykrył ją jakąś płachtą i tymczasem inne sztuki pokazywał. W czas jakiś wrócił do misy i poprosił któregoś z panów, aby odkrył misę. W niej, zamiast złota, trzepała się wielka ryba, którą on rozplatał i w oczach widzów wysypał z niej wszystko złoto: zaraz zaniósł do króla, aby dług wypłacić. Ale król Jegomość z grzecznością mu powiedział we włoskiej mowie, iż prosi, aby to zatrzymał na przyprawę złotodajnej ryby. Za przykładem króla poszli inni panowie i ryba dla kuglarza w istocie stała się złotodajną. My tam niektórzy bardzo się przelekli, bo w istocie samej był z niego psotnik nielada, a z nieczystą siłą miał sprawę.

Na konkluzję Pinetti najlepszą sztuką nas ubawił. W zagłębieniu teatru, nawprost sceny ulokował się na końcu Rugino, miejscowy conditor, który wyprosił sobie u króla tytuł nadwornego cukiernika i limonadzisty, a często na wystawne obiady cukry dla naszego dworu preparował. Rugino miał w teatrum kredens gustownie

ozdobny z cukrami i limonadami, było dla amatorów wino i różne łakocie, ale szczególnie smaczne były małdzyki z konfektami, w których sam król i inni panowie wielce gustowali. Owoż przy końcu pan Pinetti, pokłoniwszy się królowi i całej publice zaprosił wszystkich na posilenie się do bufetu, dokąd sam się udał, a za nim król i inni. Prawi Pinetti do Rugina po włosku (a byli oni kompatrioci, bo i cukiernik Włoch):

— A po czem, panie rodaku, sprzedajesz małdzyki?

— Po dudku.

(Taka była w istocie cena, gdy zaczęły małdzyki panom smakować, bo wprzód je sprzedawał po trojaczku.

— Ej, nie chcę cię krzywdzić, mój kompatrioto, zapłacę po złotemu, bo widzę, że wyśmienite.

I wziął pierwszy małdzyk, rozłamał, wyjął zeń dukata, podał z atencją królowi, a dukat do kieszeni. Drugi małdzyk pani hetmanowej tak samo, trzeci, piąty, dziesiąty gościowi, a dukaty sobie. Zadziwiony stanął cukiernik, a snadź żał mu się zrobiło dukatów, chwyci nagle tacę z małdzykami i pod stół, a prawi:

— Już więcej nie sprzedaję małdzyków!

Wszyscy w śmiech, a Pinetti do niego:

— Masz więc, kompatrioto, dukat za małdzyka.

Wydobył mu Rugino jednego, on rozłamał,

a z wnętrza wyskoczyła mysz. Damy się przestraszyły, panowie w śmiech do rozpuku, a biedny Rugino, kazawszy słudze zabrać bufet, oddalił się. Na tem się skończyło to pierwsze cudowne, a, odpuść Boże grzechu, szatańskie widowisko.

Otóż tom sobie obiecywał pociechy z tego kuglarstwa, bo nazajutrz pan magik zaproszony był do dworu, aż tu jak na biedę odebrałem z rana ordonans udania się niezwłocznego w interesie pani hetmanowej po Białegostoku i Warszawy. Zabawiłem tam przeszło miesiąc, to jest czas bytności pana Pinettego w Grodnie. Już mi tylko opowiadano o dziwach, które pokazywał, to przy dworze króla Jegomości, to u księcia feldmarszałka, tudzież w teatrum, a zawsze był jakowyś figiel na wyłudzenie złota, bo sadzili się panowie, aby mu hojnie sypać.

Opowiadano mi także, że w trakcie tego, rozgniewał się za coś Repnin na maga i kazał mu opuścić miasto, a swoim policyantom dopilnować spełnienia rozkazu. Tymczasem z rana strażnicy czterech bram meldują księciu, że Pinetti przez cztery bram o jednym czasie wyjechał z miasta! A kiedy to mówią, on sam wyrasta, jak z pod ziemi i z submisją melduje księciu o swoim wyjeździe. Przez to rozbroił gniew Repnina i otrzymał zezwolenie dalszego pobytu *alias* połowu złota.

OSTATNI PORTRET.

THE HISTORY OF THE

... of the ...

... of the ...

... of the ...

... of the ...

OSTATNI PORTRET.

Znakomita malarka francuska pani Vigée Lebrun, bawiła w czasie wygnania królewskiego w Petersburgu. Tyle o tem wspomina w swoich pamiętnikach:

... Chcę tu powiedzieć o człowieku, którego często widywałam i byliśmy z sobą w przyjaźni, a który, wpierw nim został królem, żył jak zwykły śmiertelnik w Petersburgu. To Stanisław August Poniatowski, ostatni król polski. W dniach mej młodości słyszałam dużo o tym księciu od osób, które go widywały na obiadach u p. Geoffrin. Wszyscy chwalili bardzo jego uprzejmość i urodę. Na swoje szczęście czy nieszczęście — trudno o tem decydować — pojechał do Petersburga, gdzie go bardzo wyróżniała Katarzyna II. i dopomogła mu, by został królem polskim.

Taż sama Katarzyna zburzyła wkrótce swoje dzieło i obaliła protegowanego monarchę. Po upadku Polski Repnin i Stakelberg ambasadorowie rosyjscy rządili faktycznie w tym nieszczęśliwym kraju do dnia, kiedy przestał istnieć. Dwór ich był znacznie liczniejszy, niż króla którego prze-

śladowali i pozwalali mu tylko na zachowanie tytułu.

* * *

Stanisław Poniatowski był to człowiek miły i dobry. Może tylko za mało energiczny, by uśmierzyc niepokoje w swoim kraju. Robił wszystko by sobie zjednać szlachtę i lud, i nawet w części mu się to udawało, ale wobec zamieszek wywołanych przez trzy mocarstwa sąsiednie w celu zniszczenia Polski tryumf jego musiałby być chyba cudem. To też uległ i usunął się do Grodna, żył z pensyi wypłacanej przez Rosyę, Prusy i Austryę, które podzieliły się jego królestwem.

Cesarz Paweł I. po śmierci Katarzyny II. zaprosił Stanisława Augusta do Petersburga na swoją koronację. Całej tej bardzo długiej ceremonii musiał eks. król asystować stojąco, co ze względu na wiek podeszły, przykre na obecnych robiło wrażenie. Paweł uprzejmiejszym był później, gdy zaprosił go, by został na stałe w Petersburgu i zamieszkał w pałacu marmurowym nad Newą.

Mieszkanie było godne króla. Dobrał sobie nawet przyjemne towarzystwo, złożone przeważnie z Francuzów i kilku innej narodowości. Król wyróżniał mnie szczególnie. Zapraszał na zebrania w małym kółku, i, podobnie jak księżę Kaunitz, nazywał *sa bonne amie*. Nic mnie tak nie wzruszało, jak zapewnienie, że byłby bardzo szczęśliwym gdybym za czasów jego panowania była przyjechała do Warszawy. Wiem rzeczywiście, że

w tej epoce, gdy mu wspominalo, że przyjadę do Polski, zapewniał, że mnie przyjmie z wyjątkowym wyróżnieniem. Teraz powrót do wspomnień przeszłości był mu widocznie bardzo przykrym.

Stanisław Poniatowski był wzrostu wysokiego, piękna twarz monarchy wyrażała słodycz i dobroć. Głos miał przejmujący, a ruchy pełne godności. Mówił z szczególnym urokiem, a na literaturze znał się i kochał ją. Z zapalem studiował sztuki piękne, a za czasów swego panowania odwiedzał stale pracownie wielkich artystów.

Dobroć króla była zadziwiająca. Wstydzę się wspominać chwilę, w której dał jej niezwykle dowód. Zdarza się często, gdy maluję, że świata po za mym modelem nie widzę, i wskutek tego nieraz bywam bardzo niegrzeczną dla odwiedzających moją pracownię. Pewnego ranka odwiedził mnie król polski w chwili, gdy kończyłam jakiś portret. Usłyszawszy zajeżdżającą karete domyśliłam się, kto składa mi wizytę; ale wobec nawału pracy wprawiło mnie to w zły humor do tego stopnia, że do wchodzącego króla zawołałam:

— Niema mnie w domu!

Król nie rzekł ani słowa, ubrał płaszcz i odjechał. Po skończeniu malowania, gdy z zimną krwią zastanowiłam się nad swoim postępkim, wyrzucałam sobie gorzko brak taktu. Tego samego wieczora pojechałam więc do pałacu, by się wytłumaczyć i przeprosić króla.

— Aleś mnie pani ładnie rano przyjęła! —

zawołał król widząc mnie. — Zaczem dodał: — Rozumiem to doskonale, że gdy się przeszkadza artyście w pracy, to się go zniecierpliwia. Proszę mi wierzyć że najmniejszego żalu niemam do pani!

Zatrzymał mnie na kolacyi i mowy już o tem nie było.

Często bywałam na wieczornych zebraniach u króla. Razem ze mną bywali lord Withworth ambasador angielski w Rosyi, i markiz de Riviére. Wszystkim nam trojgu bardziej odpowiadały te zebrania w małym kółku, niż tłumne przyjęcia. Po kolacyi snuło się zawsze przemiłą pogadankę, którą król bardzo ożywiał dowcipnemi anegdotami.

Raz przybywszy na takie zwykłe zebranie, zdziwiłam się ogromnie, ujrawszy dziwną zmianę wyrazu w oczach naszego drogiego króla, szczególnie lewe oko było tak nieruchome, że aż się przeraziłam. Po wyjściu podzieliłam się na schodach mem spostrzeżeniem z lordem Withworth i markizem de Riviére.

— Wiecie panowie — rzekłam — że mnie król bardzo niepokoi.

— Czemuż to? — odparł markiz — wyglądał doskonale i rozmawiał jak zwykle.

— Na nieszczęście jestem dobrą fizyonomistką — odrzekłam — zauważyłam w jego oczach dziwny lęk. — Król umrze niedługo. Niestety! zbyt dobrze odgadłam: nazajutrz dostał król ataku apoplektycznego, a w parę dni potem pochowano go na cytadeli obok Katarzyny. Na wieść o śmierci

jego zmartwiłam się szczerze i mam to przekonanie że ci co go znali, dzielili także moje uczucia.

Król Stanisław nie był żonaty, miał siostrzenicę i dwóch siostrzeńców. Starszy z nich to książę Józef Poniatowski, znany ze swych zdolności wojskowych, a dla niezwyklej brawury przewany polskim Bajardem. W chwili, kiedym go poznała w Petersburgu mógł liczyć 25 do 27 lat. Jakkolwiek czoło świeciło mu już łysiną, twarz miał niezwykle piękną. Regularne rysy wyrażały dobroć i szlachetność duszy. Taką zdolność militarną okazał w ostatniej wojnie z Turcyą, że opinia publiczna widziała w nim sławnego wodza, a ja nie mogłam się wydziwić, że w tak młodym wieku można mieć już tak głośnie imię. Rozrywali go sobie na przyjęcia i ucztę. Na jednym zebraniu gdzie i ja byłam, wszystkie panie namawiały go, by dał się u mnie portretować. Ks. Józef odpowiedział z charakteryzującą go skromnością:

— Muszę jeszcze kilka bitew wygrać nim się dam malować przez panią Le Brun.

Gdym później zobaczyła ks. Józefa w Paryżu zaledwie go poznałam, tak był zmieniony. Nosił obrzydliwą perukę która go bardzo szpeciła, ale sławę miał tak wielką, że mógł się pocieszyć po stracie urody. Wybierał się z Napoleonem na wojnę z Niemcami. Wiadomo jak dzielnie walczył w 1812 do 1813 r. i jak tragicznie zakończył swoją świetną karierę.

Brat ks. Józefa (stryjeczny, ks. podskarbi Sta-

nisław) zupełnie był do niego niepodobny. Wysoki, suchy i zimny. Mało go znałam w Petersburgu, ale wiem, że raz przyszedł oglądać portret hrabiny Strogonoff i zajęły go jedynie ramy. Trzeba wiedzieć że miał pretensye jako znawca sztuki, a sądem jego kierował malarz, kopiujący stale Rafaela i gardzący szkołą francuską.

Siostrzenica króla pani Mnischowa, była dla mnie zawsze bardzo uprzejma i z przyjemnością zobaczyłam ją znów w Paryżu. Portretowałam w Paryżu jej córkę, dziecko wtedy jeszcze. Malowałam ją bawiącą się z psem, obok stał król polski w kostyumie Henryka IV. Natomiast pierwszy portret króla Stanisława Augusta zachowałam dla siebie na pamiątkę.

Z POBYTU KRÓLA W PETERSBURGU.

*Z dyaryusza współczesnego, wydane-
go przez Ł. Siemieńskiego, wyjmujemy
kilka ustępów o boleśnie upokarzającym
życiu królewskim na wygnaniu:*

Petersburg, 16. marca 1797.

Na dniu 16. marca król w towarzystwie państwa Mnischów, pani Tyszkiewiczowej i księcia Stanisława pojechał zwiedzić Ermitaż, będący częścią palacu carskiego i mieszczący galerję obrazów, muzeum, gabinet osobliwości, również galerję gdzie są skopiowane arabeski watykańskie Rafaela. Obszerność tych gmachów jest tak wielką,

że tylko przechodząc się z sali do sali i oglądając w przelocie, potrzeba najmniej dwóch godzin. Król w dniu tym skończył swój przegląd na obejrzeniu pokoiów mieszczących model domu Woltera w Ferney i całą jego bibliotekę, z tego względu ciekawą, że wielka liczba książek starożytnych autorów równie jak współczesnych, opatrzoną jest własnoręcznymi przypiskami Woltera, dającymi poznać jego osobiste zdanie w rzeczach obchodzących religię, moralność, politykę. Król zastrzegł sobie dokładne przejrzenie wszystkiego w szczegółach za powrotem z Moskwy, teraz bowiem oglądał pośpiesznie i z grubsza.

19. marca.

Król w towarzystwie dwóch pań z rodziny swojej z hrabią Mniszchem, również z kawalerami należącymi do orszaku, udał się na zwiedzenie pracowni sławnej pani Le Brun, która od wielu osób zgromadziła portrety robione przez siebie, aby je pokazać królowi; jakoż oglądając można powiedzieć, że sława tej głośniejszej artystki nie ucierpiała bynajmniej. Zdaje się jakoby nie chciała dłużej zostawać w Rosyi, gdyż mówi o podróży do Anglii.

21. marca.

Król w pałacu marmurowym zajmował się w sali przeznaczonej na bibliotekę, ustawieniem książek przywiezionych ze sobą, i tych, co należą

do Imć panów Trembeckiego, Wolskiego, Poniatowskiego, Puzyny, Grabowskiego. Ostatni ci dopomagali królowi w tem zatrudnieniu, które było bardzo pracowitem.

10. kwietnia.

Ambasador austriacki Kobentzel, poseł angielski Withworth, ksiązę Repnin z żoną i córką, i księżna Radziwiłłowa z domu Przeddziecka, byli na wieczyrzy u króla. Nazajutrz księżna Gagari-nowa z domu Galicyn (żona tego Galicyna, który byłznaczony przez Imperatora do przyjmowania go w domu, gdzie teraz mieszka) hr. Karol Brühl, hr. Jan Potocki, ów wojażer co jeździł po Afryce, a dziś jest delegowanym z Braclawia, dwaj bracia Chreptowicze także wieczerzali u króla. W tymże dniu popołudniu arcybiskup połocki łać. obrządku Siostrzeńcewicz, i wielu polskich delegatów z wszystkich prowincyj przybyli przedstawić się królowi. Był między nimi i starszy hr. Działyński, co powrócił z wygnania, prawie z nad lodowatego oceanu, skąd przywiózł rozmaite osobliwości w ubiorach, futrach zwanych piesaki i błękitne lisy.

4. maja.

U dworu wielki bal; odbył się on w pałacu księcia Bezborodka, gdzie dwór rezyduje. Na balu po menuecie, tańczonym przez rodzinę cesarską, jedna z W. Księżniczek zaprosiła ambasadora Kobentzla do menueta i tańczyła z nim; następnie

Imperatorowa zaprosiła króla, aby z nią poszedł Polskiego, i król tylko ten jedyny raz tańczył. Po innych polonezach i kontredansach, gdy się bal kończył już około godziny 9-tej, król wrócił do siebie, uprosiwszy wprzód Naj. cesarstwa i ich rodzinę, aby raczyli naznaczyć dzień, w którymby mógł ich przyjąć obiadem. Naj. Państwo wybrali dzień niedzielny (8. maja) wynurzając ukontentowanie z tak miłego zaproszenia.

8. maja.

Król czekał ich na schodach. Kiedy oznajmiono, że waza na stole, król przypuszczał, że Naj. cesarstwo wejdą w pierwszej parze, lecz Imperator nalegał aby Imperatorowa podała ramię królowi i był przekonany, że król zajmie miejsce między cesarzem a cesarzową, jak to zwykle bywało na obiadach dworskich, lecz przeciwnie się stało, albowiem gdy cała rodzina cesarska umieściła się plecyma do okien, aby światło nie raziło w oczy, król zajął miejsce naprzeciw Naj. Państwa. Po prawej ręce króla, był p. Mniszech, obydwaj mając przed sobą wazy z zupą, nalewali takową i podawali cesarstwu; uważano bowiem na zwyczaj, zachowywany przy cesarskich obiadach, wymagający aby przed Naj. Państwem stawiano wazę, z której sami sobie nalewali. Talerze z zupą obnosili Szambelanowie Trembecki i Wol-ski; lecz Naj. Państwo nie życzyli sobie być obsługiwanymi przez nich w ciągu obiadu, i prosili

do In-
towsk
pomaj
bardz

A
gielsk
i księ
na wi
nowa
był na
go w
hr. Ja
a dziś
Chrep
dniu p
Siestrz
stkich
Był m
wrócił
anu, s
rach, t

U
księcia
po me
jedna
bentzla

ich, aby usiedli do stołu. Panowie Grabowscy służyli rodzinie Cesarskiej przez resztę obiadu i wice-marszałek królewski podawał półmiski paziom dworskim, a ci takowe roznosili swoim panom i paniom. Samym biesiadnikom podawali półmiski kamerdynerzy, podług zwyczaju przyjętego u króla. W środku obiadu Naj. Cesarstwo, wzniesli toast na zdrowie króla, który wkrótce potem odpowiedział stosownym toastem. Imperator, chcąc komplementem ująć p. Tremo, kuchmistrza, oświadczył, iż kuchnia królewska w niczem nie odrodziła od tej, jaką poznał w Wiśniowcu.

4. czerwca.

Król w towarzystwie państwa Mniszchów pojechał obejrzeć port, gdzie okręty przybijają; leży on blisko giełdy, która tego dnia nie była otwartą, zazwyczaj bowiem uczęszczaną bywa we wtorek i piątek. Trafiło się, że właśnie do portu zawinęło najwięcej okrętów gdańskich; najznacniejsza część ich ładugi składała się z ptaszków w klatkach; rokrocznie prowadzą niemi największy handel, i nie na same papugi, kanarki, słowiki ale i na pospolite nasze ptaszki znajdują tu zapalonych amatorów. Lada skowroneczka płacą po 25 rubli.

11. lipca.

Podwieczorek wydała Imperatorowa na uczczenie solenizanta. Król, złożywszy powinszowanie imienin Imperatorowi, dał mu na wwiązanie dwie

wielkie grupy marmurowe, dotąd zakopane w Łazienkach, który to dar wdzięcznie był przyjęty. Król prosił księcia Bezborodka o napisanie do barona d' Asch, aby zajął się odebraniem tych grup i przesłaniem ich do Petersburga. Po podwieczorku Naj. Państwo wzięli z sobą króla do linijki i pojechali do teatru na operę komiczną francuską. Gaillard grający długi czas w Warszawie rolę basu, zastąpiony był przez Mondiniego, niegdyś sławnego aktora trupy włoskiej w Paryżu. Libretto skomponował Francuz niejaki Gaston, a muzykę Martini. Z rozkazu Cesarza, trio powtarzano w ciągu sztuki i po sztuce zakończonej kupletami, odpowiednimi uroczystości. Po teatrze pojechano na kępę, będącą na środku jeziora; precudny widok sprawiło oświecone dokoła jezioro, również jak namiot postawiony.

Z pod tego to otwartego na wszystkie strony namiotu, dwór przypatrywał się iluminacyi. Sześć do siedmiu tysięcy ludzi siedziało amfiteatralnie dokoła jeziora; brzegiem zaś samym przesuwwały się cztery wielkie rydwany, zaprzężone po ośm koni, na każdym były osoby przedstawiające jedną z czterech pór życia. Przed rydwanami postępowały grupy z narzędziami używanymi w zatrudnieniach wiejskich, jako to: rolniczemi, łowieciami, rybackiem i. t. p.

Wszystkie te osoby wyprawiły potem tańce przy odgłosie muzycznych chórów, rozrzuconych tu i ówdzie dokoła jeziora po klombach i gai-

kach. Tańce połączone były ze stosownemi śpiewami. Były także gonitwy rycerzy zbrojnych w kopie, czyli karuzel. Dwór używał tego widoku podczas kolacyi zastawionej pod namiotem; poczem przeniesiono się do innej części ogrodu, wyłożonej posadzką, na której tańczono same polonezy. Imperatorowa jednego poloneza tańczyła z królem.

23. lipca.

Król z dworem swoim pojechał na „daczę“, należącą do prokuratora księcia Kurakina; były to imieniny jego żony, obchodzone w Aleksandrowsku, daczey należącey do księżnej Dołgorukowej, jej przyjaciółki, która ma zwyczaj rokrocznie wyprawiać fetę w dniu jej imienin.

Całe zebrane grono gości udało się do gaiku, gdzie z gałęzi porobiono kramne budy, a w nich siedziały dzieci jednej i drugiej księżny; na każdym kramie był zamiast szyldu napis z godłami, wziętemi z najznakomitszych autorów i zastosowanemi do osoby solenizantki. Jedno dziecko miało krótką oracyjkę, poczem wyprawiono tańce, a nakoniec udano się do pałacowego teatru. Księżna Dołgorukowa z niezmienionem powodzeniem odegrała jedną scenę z komedyi: „Szalona z miłości“, z tej próbki można było powziąć wyobrażenie o jej scenicznym talencie. Następnie były przedstawienia z latarnią czarnoksięską za kortyną z gazy, podobnie jak w magicznym obrazie Zemiry i Azora.

Pokazujący tę latarnię zapowiedział wschód słońca, a słońcem tym był sam ambasador, ubrany w złotogłów; twarz jego, oprawna w promienie ze złoczonego papieru, przesunęła się przez scenę, przedstawiając początek i koniec dnia. Mondini pierwszy śpiewak włoski, pokazał się pod postacią księżycy, potem Mondini z p. Riviére, szwagrem pani Le Brun przedstawiali pożegnanie Oresta z Piladem w sposób nader komiczny. Następnie p. Riviére pokazywał na p. Mondinim operacyę rwania zębów, czem wszystkich do śmiechu pobudził. Po wielu podobnych scenach z latarnią czarnoksiężką, przedstawiono kilka żywych obrazów; między innemi, Achillesa odkrytego przez Ulisesa w gronie towarzyszek Deidamii. Pani Le Brun przedstawiała Achillesa, a księżna Dołgorukowa Deidamię. W obrazie Stratoniki u łoża swego pasierba, zrobiła księżna Dołgorukowa niezmierne wrażenie. W namiocie Dariusza podług obrazu sławnego Le Brun, pani Le Brun przedstawiała Lisigambisę; szata jej była białą zamiast żółtej jak na obrazie. Inne osoby z towarzystwa przedstawiały figury wchodzące do tego obrazu, ułożonego pod kierunkiem pani Le Brun; umiała ona wybornie go oświecić, i każdej figurze nadać odpowiednią pozycyę. Wspaniała kolacya zakończyła tę fetę.

RELACYA DOKTORA BEKLERA.

Pocziwy nasz pan, umarł wczoraj na apopleksyę nerwową, jaka się wywiązać musiała

z pracy nader żmudnej i nieprzyjemnej nad oczyszczaniem się z kłopotów rządzonych niegodziwymi projektami, które umiał zawichrzyć wszystkie układy o długi i dochody. Sama już ekspedycja poczty do Warszawy tak zmordowała mego króla, że po wyjeździe moim ztąd we dwa dni doznał kilkakrotnych zawrotów głowy, powiększających się każdą razą, gdy przychodziła poczta, a z nią niemiłe wiadomości, odbierane z Warszawy. Staralem się o ile możności zapobiedz złym skutkom przez upuszczenie krwi i inne odpowiednie środki lekarskie i udało mi się przynieść mu niejaka ulgę; ale na nieszczęście każdy dzień pocztowy dawał nową przyczynę choroby, tak dalece, że po odczytaniu ostatniej ekspedycji z Warszawy, król przez kilka chwil siedział jak martwy w krześle, i ziścił, com mu przepowiadał jeszcze w Grodnie. Ani klimat, ani nic innego nie jest przyczyną śmierci królewskiej. Aż do początku tego roku najlepsze sprzyjało mu zdrowie; lecz od stycznia trapiiony i szarpany na wszystkie boki i to najnielitościwiej, uległ pod ciosem. Przy otwarciu jego zwłok nie znaleziono nic nadzwyczajnego wewnątrz, tylko to, co zwykle bywa u osób kończących na apopleksyę, to jest, napętnienie się wodą komórek mózgowych; zresztą wszystko znalazło się w najlepszym stanie, bez żadnego śladu jakich narośli w naczyniach.

KONIEC.



15,00



✱KSIEGARNIA✱

ANTYKWARIAT

301

DOM
KSIĄZKI
DOM



456730



E



XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Miejska Biblioteka Publiczna
w Jaworznie

94(438)



801-007189-00-0